MYŚL NARODOWA

MIESIĘCZNIK.

Styczeń 1916. Tom I № 1.

PETROGRAD

MYSL NARODOWA

Styczeń 1916.

Treść:

L'IDÉE NATIONALE

Janvier 1916.

Sommaire:

MYŚL NARODOWA



MIESIĘCZNIK

Styczeń—Czerwiec 1916 Rok I № 1—6

PETROGRAD.

Spis rzeczy,

zawartych w tomie I. MYŚLI NARODOWEJ.

ROZPRAWY i ARTYKUŁY

MATERYAŁY i POSZUKIWANIA.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

ROZBIORY i SPRAWOZDANIA.

Z PRASY.

Z T-WA MIŁOŚNIKÓW HISTORYI i LITERATURY.

KOMITET REDAKCYJNY

Dr. Piotr Bańkowski, Klemens Jędrzejewski, Wacław Kryński. Dr. Bohdan Winiarski.

WARUNKI PRENUMERATY

Rocznie . . . . 12 rb.
Półrocznie . . . . 6 „
Kwartalnie . . . . 3 „
Numer pojedyńczy . . . . 1 rb. 50 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Petrograd, Kowieński zaułek 26, m. 7, tel. 687-10.

Wydawca: **Dr. Bohdan Winiarski.** Redaktor: **Dr. Piotr Bańkowski.**

Druk Wł. Lesmana, Petrograd, 2 Rożdestw. 14.

* *

Zeszyt pierwszy „Myśli Narodowej“ wychodzi z parotygodniowem opóźnieniem. Wielka wojna, wstrząsnąwszy do podstaw całem życiem współczesnem, odbiła się również dotkliwie i na ruchu wydawniczym, hamując a nawet dezorganizując jego bieg normalny. Wszystkie wysiłki redakcyi, aby pismo doszło rąk czytelnika we właściwym czasie, rozbijały się co krok o piętrzące się przeszkody. Do trudności, spowodowanych wojną, dołączyły się warunki ściśle miejscowe, prawie zupełnie nie odpowiadające potrzebom obecnego naszego ruchu wydawniczego.

Mimo niesprzyjające okoliczności, mimo spowodowane przez nie opóźnienie, stajemy przed czytelnikami z pierwszym zbiorem prac, zrodzonych z polskiej myśli twórczej, rozsianej po olbrzymich obszarach Rosyi.

Od pierwszej chwili podjęcia wydawnictwa spotkaliśmy się zewsząd ze słowami uznania i zachęty. Życzliwe poparcie i pomoc wybitnych pracowników na niwie naukowej jest dla nas pocieszającym dowodem, że podjęte przedsięwzięcie było wynikiem istotnej potrzeby i ma przed sobą doniosłe do wypełnienia zadanie. Z wiarą stajemy na posterunku, przeświadczeni głęboko, że raz rozpoczęta praca posuwać się będzie nadal ciągiem nieprzerwanym i skupi pod swym sztandarem coraz liczniejsze koła naszej inteligencyi, wzbogacając w miarę sił skarbnicę duchowego życia narodu.

REDAKCYA.

Dr. Józef Flach.

UDZIAŁ TRZECH CZĘŚCI POLSKI W KULTURZE CAŁOŚCI.

Trzeci rozbiór zastał duchową kulturę Polski w ożywieniu, w jakiem się nie znajdowała od czasów Złotego wieku. Długi szereg poetów europejskiej miary z Ignacym Krasickim na czele, — zawiązki teatru polskiego, — ruchliwa twórczość artystyczna, zwłaszcza w dziedzinie budownictwa pałacowego i malarstwa portretowego, nie polska wprawdzie jeszcze, ale polskim służąca celom, — początki prasy peryodycznej, — Komisya edukacyjna, reformująca wszystkie stopnie szkolnictwa od elementarnego do najwyższego — bogata biblioteka publiczna fundacyi Załuskich, jedna z czterech w ówczesnej Europie najzasobniejszych, — poważny poczet historyków, przez Naruszewicza prowadzony, — świetna, piórem Kołłątaja i tylu innych szczycąca się literatura polityczna, — wcale poważne zawiązki przyrodoznawstwa, uprawianego już wówczas przez Kluka: oto dowody, że w chwili politycznego i państwowego upadku Polski jej duchowa kultura zajmowała w świecie poczesne stanowisko i nie do śmierci, a do jeszcze bujniejszego życia zdążała. Jej ogniskiem była Warszawa. Jeśli w państwie Piastów i Jagiellonów, a nawet jeszcze i późniejszych królów elekcyjnych, centralizacyi w ścisłem znaczeniu w tych sprawach nie było, chociaż w praktyce decentralizacyjne objawy były i rzadsze i słabsze, niż np. w Niemczech, to w upadającem Królestwie Stanisława Augusta była pod tym względem i świadoma teorya i widoczna praktyka centralistyczna: Warszawa, jej dwór i jej sejm były tem ogniskiem, skąd duchowa kultura promieniowała na cały obszar Rzeczypospolitej. Poza Warszawą tej kultury było

niewiele, a co było, to wszystko ku temu jedynemu słońcu się obracało, z niego brało i początek i rozwój dalszego życia.

Utrata państwowego bytu nie zabija duchowego życia Polski. Przeciwnie: wzmacnia ona świadomość jego potrzeby Staje ono wobec dwóch nowych zadań, których naród nie znał, dopóki był państwem.. Oto naprzód w umysłach najbardziej oświeconych i patryotycznych Polaków musiało się z konieczności zrodzić tem gorętsze pragnienie kulturalnego rozwoju: straciliśmy państwową niepodległość, ratujmy się przynajmniej jako naród, ratujmy się za pomocą narodowej kultury; ponieważ zaś w owych czasach, z wyjątkiem nielicznych jednostek, nie zdawano sobie jeszcze sprawy ze znaczenia materyalnej kultury, zatem myślano przedewszystkiem i niemal wyłącznie o utrzymaniu i rozwoju kultury duchowej. Powtóre—rozdarta na trzy części Polska z konieczności, świadomie czy bezwiednie, musiała spojrzeć w oczy konsekwencyom tego stanu rzeczy i na polu kulturalnem; decentralizacya była nie tylko prostem następstwem rozbiorów, ale zarazem i potrzebą, jeżeli odcięte od dotychczasowego wspólnego ośrodka pozostałe dzielnice Polski umiały również żyć jakiemś życiem kulturalnem. Zagadnienie to było bardzo trudnem, ta decentralizacya bowiem mogła być równocześnie niebezpieczną, mogła do rozdziału terytoryalno-politycznego dołączyć również i narodowo-kulturalny. Że z obu tych zadań wybitne umysłem i sercem ówczesne osobistości zdawały sobie jasno sprawę, to poprzeć można historycznymi dowodami. Jeżeli np. kontynuowanie literatury pięknej i po rozbiorach uważać można za fakt naturalny, niejako przyrodniczy, bo przecież w roku 1795 nie wymarli nagle wszyscy poeci Stanisławowskiego okresu, to założenie w Warszawie w roku 1800-ym «Towarzystwa Przyjaciół Nauk» jest już świadomym celu czynem narodowo - kulturalnym; nie bez intencyi mówi ustawa instytucyi o zachowaniu czystości języka polskiego i o przechowywaniu i pomnażaniu duchowych skarbów narodu. A jeśli

Józef Maksymilian Ossoliński, korzystając ze sposobności, kiedy rząd austryacki, zająwszy Galicyę, kasował wiele klasztorów i biblioteki ich częścią do Wiednia przenosił, częścią na licytacyi sprzedawał, jeżeli ten patryotyczny magnat polski na przełęczy XVIII i XIX wieku położył podwaliny pod lwowski zakład naukowy imienia swojej rodziny, to było to najrozumniejsze i najpiękniejsze rozwiązanie narzuconego nam przez dzieje trudnego problemu decentralizacyi duchowej kultury.

Te pierwsze dwadzieścia lat po trzecim rozbiorze stwierdzają wogóle wyraźnie, że wspólność i jednolitość narodowej kultury przetrwała polityczną katastrofę. Nienapisane jeszcze dzieje cywilizacyi polskiej udowodnią kiedyś, jak żywym jest pod tym względem związek poszczególnych dzielnic Polski. Z jednej bowiem strony Warszawa, czy to pod krótkotrwałymi rządami pruskimi, czy później jako stolica Księstwa, jest nadal ogniskiem ducha polskiego, skąd on promieniuje daleko na wschód, by niebawem stworzyć sobie główną ostoję w stolicy Litwy, z drugiej gród Zygmuntów wchłania w siebie i bądź u siebie zatrzymuje, bądź dalej na kresy wysyła kulturalne elementy innych ziem polskich. Tak np. astronom i matematyk Jan Śniadecki jest profesorem Akademii Krakowskiej, zanim drogą na Warszawę pojedzie do Wilna, a znakomity brat jego Jędrzej, chemik i fizyk z pod pruskiego zaboru przeszedszy na studya do Krakowa także potem jaśnieje nauką na uniwersytecie wileńskim; tak Samuel Bogumił Linde genialną myśl Słownika poweźmie we Lwowie, wykona w pierwszem wydaniu w Warszawie, w drugiem znowu we lwowskim Zakładzie imienia Ossolińskich.

Z ustanowieniem Królestwa Polskiego na Kongresie wiedeńskim w roku 1815, obraz ten doznaje pewnej zmiany. O ile sądzić można według dotychczas zebranego materyału, związek kulturalny pomiędzy nowym organizmem a pozostałemi częściami Polski słabnie. Wytłumaczyć się to da: Europa uważała ówczesne załatwienie sprawy polskiej za poniekąd definitywne: Polska

jako odrębna jednostka miała istnieć tylko pod formą owego Królestwa pod berłem Cesarzów rosyjskich; inne jej części miały być włączone po wszystkie czasy do dzierżaw dwóch państw zaborczych, Prus i Austryi («wolna» Rzeczpospolita Krakowska była kreacyą bez znaczenia). Oba te mocarstwa usiłowały w swoich poddanych wpoić przekonanie, że tak jest i na zawsze już pozostanie, pruscy zaś i austryaccy Polacy zbyt byli wówczas jeszcze słabi, a nawet i niedostatecznie narodowo uświadomieni, by wbrew oporowi tych obcych rządów chcieć i módz utrzymywać żywszy związek narodowo-kulturalny z metropolią. Samo zaś Królestwo jako nowopowstające zajęte było rozlicznemi ważnemi organizacyjnemi problemami, które pochłaniały jego całkowitą energię, zwłaszcza, że z jednej strony wysunięto wtedy naprzód zagadnienie ekonomicznego rozwoju, z drugiej zaś skrępowane zależnością od rosyjskich władz centralnych, a także i miejscowych tej wspólności w pełnej mierze pielęgnować nie mogło, choćby nawet miało po temu i czas i chęć. To też w latach 1815 — 1830 występują na jaw po raz pierwszy i w dziedzinie życia kulturalnego skutki terytoryalnego rozdziału, przyczem wobec ogólnej martwoty narodowej kultury pod pruskim i austryackim zaborem wybitniejszą rolę odgrywa tylko Polska z pod berła rosyjskiego. Warszawa jest zrazu główną placówką tej kultury. Tu w lektoryach uniwersytetu, gdzie wykłada stary Osiński i młody Brodziński (jeden z niewielu już wówczas «galicyan» na warszawskim gruncie), na posiedzeniach Towarzystwa przyjaciół nauk i na łamach pism peryodycznych rozgrywa się owa pamiętna walka pomiędzy klasykami a romantykami. Ale następne lata czynią już Wilno kolebką nowych idei. Po raz pierwszy w dziejach Polski uniwersytet nabiera tego osobliwego znaczenia: dzięki nietylko uczonym profesorom, jak obaj Śniadeccy i Lelewel, ale w wyższym jeszcze stopniu dzięki młodzieży uniwersyteckiej; i to jest także zjawisko, nigdy dotychczas nie widziane w Polsce, gdzie zawsze tylko dojrzałe pokole-

nie było przedstawicielem narodowej kultury. Ta wileńska zaś, w młodzieży uosobiona, łączy harmonijnie pierwiastki czysto intellektualne z moralno-ideowemi, patryotyzm z wszechludzkiem poczuciem.

Rola Wilna trwa krótko, bo już w 1832 tamtejszy Uniwersytet kończy swój zaszczytny żywot, ale jego kulturalna atmosfera nie odrazu się ulatnia, równie jak żyje jeszcze i w następnych dziesiątkach lat posiew idei przez Czackiego w Krzemieńcu rzuconych; Litwa i «kraj południowo-zachodni» długo jeszcze zasilać będą polską kulturę literacką (Kraszewski, Rzewuski, Michał Grabowski, Chodźko, Korzeniowski, Syrokomla) i trwać to będzie nawet po katastrofie roku 1863. Główną jednak placówką kultury duchowej staje się po roku 1830 nie polska ziemia ale obczyzna: najliczniejsi i najwybitniejsi przedstawiciele narodowej kultury z konieczności lub dobrowolnie opuszczają Polskę. Emigracya w Paryżu, Szwajcaryi, Bruksel1i, w Niemczech i we Włoszechześrodkowuje w sobie zwłaszcza sam kwiat tej kultury — poezyę. Co w kraju z niej zostało, to z nielicznymi wyjątkami, wegetuje tylko (np. tak zwana «cyganerya warszawska» około roku 1840).

Na szczęście jednak okres ten trwa niedługo Jeszcze nie przebrzmiała pieśń emigracyjna, a już budzi się w ojczyźnie coraz żywsze życie kulturalne, nietylko poezya, ale, i nauka, ba nawet z nieznacznych początków rozwija się i sztuka polska, najprzód malarstwo, potem i inne jej gałęzie. I wszystkie trzy dzielnice Ojczyzny przyczyniają się do tego ogólnego rozwoju, chociaż w rozmaitych kierunkach i stopniach. Ten udział poszczególnych części w kulturze całości reguluje się według ich politycznych warunków bytu. I to w podwójnem znaczeniu: bo nietylko w bezpośredniem, odrazu widocznem, że mianowicie tam, gdzie polityczne warunki umożliwiają Polakom pełniejsze narodowe życie, tam i ta kultura bujniej rozkwita; ale w innem pośredniem znaczeniu: oto nietylko stopień, ale i rodzaj kultury danej dzielnicy zależny jest od warunków jej narodowo-

politycznego bytu; to położenie ogólne powodowało częstokroć zanik jednego rodzaju, a potrzebę i możność wyjątkowego rozwoju innego rodzaju kultury.

Okazuje się to zaraz na tej dzielnicy polskiej, która powszechnie przyjętem zdaniem i w XIX i w bieżącem już stuleciu najmniej przyczynia się do wzbogacenia narodowego kulturalnego stanu posiadania. Mowa tu oczywiście o Poznańskiem i o całym zaborze pruskim. Przywykło się mówić z przekąsem o tej polskiej «Beocyi». I rzeczywiście Poznańskie miało przez cały ten czas jeden tylko okres świetniejszego rozwoju duchowego, kiedy około roku 1840 było centralnym punktem polskiej filozofii, zapewne zrodzonej pod wpływami berlińskiemi (Hegel) ale właśnie dążącej do przezwyciężenia ich (Trentowski, Libelt, Cieszkowski), kiedy Edward hr. Raczyński zakłada swoje Muzeum, a Karol Marcinkowski «Towarzystwo Pomocy Naukowej», kiedy w poezyi czynni są Franciszek Morawski i Ryszard Berwiński, kiedy istnieje kilka bardzo poważnych pism literackich («Tygodnik literacki», «Orędownik», «Rok» i in.). Potem kultura ta upada, poezya milknie, oba towarzystwa naukowe, w Poznaniu i Toruniu, na nizkim stoją poziomie, teatr i sztuki piękne ledwo oddychają—i dopiero w ostatnich latach są słabe nadzieje lepszej przyszłości. A jednak, czy mimo to te drwiny z «Beocyi» są usprawiedliwione? Nie mówię tu tylko o okolicznościach, któremi Poznańskie może w zupełności wytłumaczyć, że jest nią rzekomo: gdzie rząd niemiecki nietylko nic nie robił aby dopomódz, lecz przeciwnie wszystko robił, aby przeszkodzić rozwojowi polskiej kultury, tam ona z trudnością mogła jako tako żyć; gdzie społeczeństwo polskie,prześladowane właśnie dlatego, że jest nim i nim chce pozostać, musiało bronić się przed germanizacyą, ba nawet przed eksterminacyą w dosłownem znaczeniu i musiało zużywać cały zasób narodowej energii w walce ekonomicznej, tam nie można mu robić sprawiedliwych zarzutów, że zaniedbało duchową kulturę, bo «nie czas żałować róż, gdy płoną lasy». To jednak tylko tłumaczy

fakt nizkiego poziomu tej kultury, lecz rzeczy samej merytorycznie nie zmienia. Istotniejszym argumentem w obronie «Beocyi» jest już przypomnienie, że niebywały rozkwit Poznańskiego w dziedzinie ekonomicznej, szczególniej w zakresie uprawy ziemi i kooperatywy, posiadający oczywiście przedewszystkiem praktyczne znaczenie, równoznacznie dał i duchowej kulturze Polski cenne przyczynki, kształcąc jedną z nie najpośledniejszych jej gałęzi, naukę ekonomii, która w zaborze pruskim mogła korzystać z doświadczeń w szerszej mierze, niż w innych dzielnicach Polski. A dalej uprzytomnić sobie należy, że i w sferze czystej duchowej kultury, Poznańskie i sąsiadujące z nim ziemie polskie, nie dając i nie mogąc dawać swoim rodzinnym talentom pola odpowiedniego rozwoju, nie były jednak i pod tym względem bez korzyści dla narodu. Bo one takie talenty rodziły, tylko je do innych części Polski wywoziły, gdzie one nietylko biorą żywy udział w narodowej kulturze miejscowej, lecz co więcej wnoszą do niej pierwiastki, zaczerpnięte z ich ściślejszej ojczyzny. Tak jest na polu literatury pięknej, gdzie wystarczy wymienić dwóch pisarzów, pod pruskim zaborem urodzonych: Stanisława Przybyszewskiego i Jana Kasprowicza. Nie tutaj jest miejsce na wszechstronną artystyczną ocenę tych poetów, którym nawet przeciwnicy — zwłaszcza pierwszemu ich, nie brak — przyznają wybitne stanowisko we współczesnej literaturze polskiej.

Tutaj trzeba tylko podkreślić, że oni obaj, niezależnie od swojej większej czy mniejszej wartości bezwzględnej, wnieśli do poezyi polskiej jeden wprost z Poznańskiego i Kujaw się wywodzący pierwiastek: rasowość, złączoną z wgłębianiem się w tajnie wszechludzkiej duszy. Gdzie z zamierzchłej przeszłości pozostały na dnie duszy polskiej wspomnienia, iż się było kolebką Polski piastowskiej, bardziej słowiańskiej, niż pozniejsza Jagiellońska i elekcyjna; gdzie teraźniejszość przypomina codziennie rasowe przeciwieństwa pomiędzy światem słowiańskim a germańskim, a ich wyrównanie widzi się tylko w głębinach ogólno ludzkiej duszy, tam ta rasowość ży-

wiej musiała się odezwać niż w Galicyi, gdzie społeczeństwo polskie przywykło do pokojowego lub oportunistycznego załatwiania sporów z niemczyzną i żywiej niż w Królestwie, gdzie polityka rządu rosyjskiego przeczyła poczuciu słowiańskiego pokrewieństwa. I stąd ta rasowość jest jednym z zasadniczych składników duszy obu dopiero co wymienionych, z pod pruskiego zaboru pochodzących poetów. Nawet skądinąd wpływom niemieckiej kultury podlegający Przybyszewski ma ją, bodaj teoretycznie, gdy w swojem «Confiteor» zwalcza w sztuce prawa narodowe, ale uznaje rasowe, a w swej poezyi rasowość wyraża w kierunku dążenia do odtworzenia «nagiej duszy»; Kasprowicz zas w tę rasową nutę uderza silnie w całej swej poezyi. Ale nie poetów tylko dało i daje Poznańskie całej Polsce: szereg pochodzących z tych stron uczonych polskich, pracujących potem w innych dzielnicach Polski, zwłaszcza na uniwersyteckich katedrach w Krakowie i we Lwowie jest jeszcze liczniejszy i może jeszcze cenniejszy. Gdy zaś wymienimy nazwisko jednego z nich, Kazimierza Morawskiego, znakomitego filologa klasycznego wszechnicy Jagiellońskiej, to przekonamy się, że ci uczeni poznańczycy, stojąc na współczesnej międzynarodowej wyżynie naukowej, równocześnie silniej nieraz i rozlewniej wypowiadają w swych studyach myśl i uczucie narodowe, niż Polacy innych dzielnic. Ale nie na tem koniec. Ta rzekoma «Beocya», broniąc się przed dławiącym ją uciskiem politycznym, dała polskiej kulturze duchowej czynniki, które dwie inne dzielnice z własnej, czy obcej winy zaniedbały. Oto, widząc jedyny ratunek we wciągnieniu wszystkich warstw społeczeństwa do pracy narodowej, zabór pruski musiał podjąć się w ostatnich dziesiątkach lat systematycznego uświadamiania mas ludowych i w tym celu stworzył i wykształcił prasę ludową, jakiej równej Polska nigdzie poza Poznańskiem i Śląskiem pruskim nie posiada. Jeśli więc duchową kulturę pojmiemy w jedynie demokratycznem znaczeniu, jako kulturę nietylko przodujących jednostek, ale całości, to tym jednym darem

rzekoma «Beocya» polska zapisała się chlubnie w księdze fundatorów nowoczesnej polskiej kultury duchowej.

Że w księdze tej złotemi głoskami upamiętniła się po wszystkie czasy Galicya, o tem wie cały naród, chociaż nie zawsze należycie ocenia to szczęście i tę jej zasługę. Bo jest w tem jedno i drugie. Szczęściem, skutkiem wyjątkowo sprzyjających warunków politycznych i zrządzeniem losu, raz przecież dla Polski łaskawego, jest ten olbrzymi udział Galicyi w narodowej kulturze, ale i zasługą, bo ona i pracowała sama, by te warunki politycznego bytu wytworzyć, a pracowała nieraz z mozołem i zaparciem się i wyzyskiwała je potem celowo dla narodowej kultury. Jeżeli bowiem w innych dziedzinach życia publicznego można zarzucić Galicyi, że nieraz była tylko... Galicyą, że objawy tego życia były nieraz nacechowane bądź partykularyzmem, lub jakąś duchowi polskiemu obcą «galicyjskością», to w zakresie kultury duchowej Galicya nigdy nie była c. k. austryackim krajem koronnym, ale zawsze była częścią Polski, nieraz nawet całą, jedyną Polską. Ocenimy to należycie, gdy sobie na chwilę wyobrazimy, coby było się działo z tą kulturą po roku 1863, gdyby nie było stało Galicyi, lub gdyby ona była miała mniej szczęścia i mniej zasługi... Gdzie byłaby się schroniła dawniejsza kultura Polski, nieskrępowana w swym pełnym wyrazie, dostępna dla wszystkich? I gdzie byłaby się swobodnie i wszechstronnie rozwijała przyszła kultura Polski?

Tę podwójną służbę strażniczki i pomnożycielki narodowej kultury duchowej szczęście i zasługa przeznaczyły Galicyi jeszcze w ostatnim dziesiątku lat emigracyjnej poezyi. I od przechowywania dawnej pieśni i wyśpiewywania nowej zaczyna ona swe szczytne zadanie, by potem stopniowo je rozszerzać na wszystko, co wchodzi w zakres kultury ducha. Od roku 1848 zaczynają zwolna coraz swobodniej przechodzić do Galicyi echa romantycznej poezyi, do której Wasilewski, Pol, Ujejski i in. nowe dodają melodye. Na dawniejszych, Wiszniewskiego i Helcla sięgających tradycyach wsparta, odzywa

się z Małeckim na czele nauka polska, jeszcze nieraz przez austryacki rząd tłumiona. Z zarodków przeszłości rośnie i zakwita polskie malarstwo z łzawym sentymentem Grottgera i potężną siłą Matejki. Wzmacnia się to wszystko i rozpowszechnia, aż nastaje rok 1867, przynoszący całej monarchii Habsburgów konstytucyę, a Polakom dominujące stanowisko w Galicyi. Oba te momenty trzeba w równej mierze uwzględnić: ów wielki bowiem udział Galicyi w ogólnej polskiej kulturze duchowej stał się możliwym nietylko dzięki swobodom narodowym, z jakich Polacy odtąd korzystali, ale i skutkiem spowodowanej przez konstytucyę demokratyzacyi społeczeństwa, przez co wydatnie zwiększyły się i szeregi kulturalnych pracowników. Rzućmy po kolei okiem na rozmaite pola tej galicyjskiej terytoryalnie, ale polskiej duchowo kultury. Więc naprzód szkolnictwo najniższe może jeszcze stosunkowo najmniej jest polskiem, bo jest oparte w zupełności na ogólno-austryackiej ustawie, której mało samodzielne nauczycielstwo głębiej w narodowym duchu przetworzyć nie może; ale średnie, chociaż zewnętrznie także c. k. austryackie, jest już zupełnie polskie w swej istocie, równie jak i obie galicyjskie wszechnice, po zwinięciu warszawskiej Szkoły Głównej jedyne polskie najwyższe uczelnie. Z krakowskiego «Towarzystwa Naukowego» powstaje w roku 1873 Akademia Umiejętności, która chociaż w tytule także «c. k.» i chociaż ma zawsze któregoś z habsburskich arcyksiążąt za «protektora», jest w zupełności polską. Pod jej i uniwersytetów egidą rozwija się bogata literatura naukowa, zwłaszcza historyczna (następcy Szajnochy — Szujski, Smolka, Bobrzyński, Wojciechowski i całe młodsze pokolenie), badania nad prawem polskiem (heraldyk Piekosiński, historycy Balzer, Ulanowski), oraz historya literatury (Tarnowski, Pilat, Kallenbach i w. in.), słabiej nieco nauki przyrodnicze i filozoficzne. Stąd idą naukowe ekspedycye do archiwów w Rzymie, Paryżu, nawet Szwecyi; tu jest patronat licznych wydawnictw naukowych, z których zakrojona na wielkie rozmiary, niedawno rozpoczęta

«Encyklopedya polska» będzie dziełem pomnikowem; stąd wyższe wykształcenie popularyzuje się w «Powszechnych wykładach uniwersyteckich», do których później przystępuje i «Uniwersytet ludowy im. A. Mickiewicza». Obok nauki kwitnie coraz bardziej literatura piękna, od Asnyka do Wyspiańskiego i najmłodszych poetów, skupiając w sobie i patryotyczne bóle i radości, rozpacze i nadzieje, wspomnienia, i tęsknoty i najnowsze idee Zachodu, stając silnie na krakowskim gruncie, ale zarazem spożytkowując też po raz pierwszy na większą skalę nie wyzyskane dotychczas motywy zakopiańskie, w ostatnich latach i we Lwowie, wytwarzając lokalną, a przecież tak polską literaturę. Wszystkie nowoczesne prądy, niosące z sobą zapewne nieraz i męty, ale częściej orzeźwiającą kryniczną wodę, z Krakowa rozpływają się po całej Polsce. Oba galicyjskie teatry, a zwłaszcza krakowski, w repertuarze służą i wielkiej narodowej poezyi, której wstęp na inne sceny jest wzbroniony, i nowożytnej, poza niemi w Polsce niewidzialnej sztuce scenicznej. W odrodzonej krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych mają one, zwłaszcza malarstwo, najdostojniejszą placówkę, a krakowskie stowarzyszenie «Sztuka» jest i dla zagranicy koncentracyą nowożytnego polskiego malarstwa. Na krakowskich zabytkach sztuki i krakowskich historykach sztuki (Maryan Sokołowski) kształci się polskie zamiłowanie przeszłości i umiejętność jej konserwacyi. Muzyka w Galicyi wydaje nietylko Żeleńskiego, ale i pierwszych w Polsce prawdziwie naukowych historyków muzyki. Wreszcie w ostatnich czasach tutaj jest kolebka i główna siedziba polskiego zdobnictwa.

Znaczenia tego bogatego kulturalnego dorobku Galicyi, jej szczęściem i jej zasługą w ostatnich pięćdziesięciu latach uzbieranego, nie zmniejszają wcale uwagi i spostrzeżenia, powstające w umyśle obserwatora, głębiej się w ten świetny obraz wpatrującego. Tak np. faktem jest, że mimo tej ogólnej. kulturą duchową przesiąkniętej atmosfery, Galicya wykazywała jeszcze do ostatnich lat znaczną liczbę analfabetów; były to jednak jeszcze skutki daw-

nego zaniedbania Galicyi przez rząd austryacki, skutki, które autonomia krajowa z roku na rok łagodziła i zmniejszała. Poważniejszym już może brakiem było nierównomierne uwzględnianie kultury materyalnej obok duchowej: objawiało się ono w dwuch, równie szkodliwych kierunkach: po pierwsze, kraj w duchowej kulturze tak bardzo wysoko stojący, w materyalnej nie nadążał kroku i innym dzielnicom Polski i krajom obcym, powtóre zaś, o ile tamta duchowa kultura Galicyi była, jak widzieliśmy, nawskroś narodowa, polska, o tyle materyalna była niemal całkowicie w rękach, albo zupełnie obcych, albo pod wielu względami pośrednio tylko z polskością związanych. I o tem nie wolno zapominać, że ta duchowa kultura, bardzo szlachetna i dostojna, była udziałem stosunkowo nielicznych jednostek, nie w tem znaczeniu, by one należały do uprzywilejowanych warstw społeczeństwa, ale że pomiędzy temi przodującemi jednostkami a szerszą warstwą t. zw. inteligencyi rzeczywistej łączności było niewiele; tak np. w żadnej dzielnicy Polski nie było tylu «piszących» co w Galicyi, ale też w żadnej nie było tak mało czytających; Galicya produkowała literaturę i belletrystyczną i naukową, ale jej nie konsumowała (dowodem tego np. znikoma liczba prenumeratorów pism naukowo - literackich w Galicyi, lub stosunkowo bardzo skromny rozwój tamtejszego ruchu wydawniczego). Natomiast czyż na «minus» Galicyi mamy zapisać fakt, również niezaprzeczony, że wśród mieszkających w niej przedstawicieli nauki, literatury i sztuki tylu było Polaków, urodzonych nie w tej dzielnicy Polski, ale dopiero przybyłych do niej z Poznańskiego czy z Królestwa, czy nawet z dalekiej Litwy? To chyba jedno świadectwo więcej, jak rzetelnie po polsku Galicya pojmowała swą historyczną misyę strażniczki i pomnożycielki polskiej kultury duchowej. Że wśród nich tylu było Polaków z Królestwa, Litwy i Rusi, to samo jest już dowodem, że i te ziemie polskie w ostatniem półwieczu nie były tylko odbiorcami, ale i same ze swej strony zasilały skarb kul-

tury narodowej. Udział tych ziem w wytwarzaniu kultury narodowej był jednak i bezpośrednio w tym okresie znaczny. Rok 1863 był katastrofą, był zawieruchą, niszczącą plony i na tem polu wyrosłe, ale gruntu wyjałowić nie mógł. W roku 1869 zamknęły się podwoje Szkoły Głównej w Warszawie; zagasło to ważne ognisko kultury duchowej, ale i wtedy i później jeszcze aż do ostatnich dni płonęły inne, z dawniejszych lat pozostałe, a nawet nieraz zapalały się nowe, jak np. założona w roku 1881 «Kasa pomocy naukowej im. Mianowskiego», lub powstałe już po roku 1905 instytucye naukowe. Szukając ogólnych znamion tej całej epoki w sprawach, o których tutaj mówimy, dostrzeżemy je przedewszystkiem w samodzielności ducha, jaka tę «warszawską» (oczywiście mówimy tu nie o jednem mieście tylko, ale o całym kraju, dla którego ono jest punktem środkowym) kulturę duchową cechuje. Pozbawiony opieki rządowej, co więcej, zmuszony do izolowania się od obcego otoczenia i sąsiedztwa, duch polski tej krainy wzmocnił się sam w sobie, stanął o własnej sile. Z tego wspólnego gruntu wyrósł, naszem zdaniem, i warszawski pozywityzm pierwszych kilkunastu lat po roku 1863 i późniejszy realizm, przejawiający się nawet w powieściach Prusa i młodego Sienkiewicza, uosobiony w potężnej niegdyś postaci Świętochowskiego. Nieraz może ten twardy, trzeźwy realizm byłby się stał zbyt krańcowym: na szczęście jednak płynący z Litwy cieplejszy uczuciowy prąd był mu przeciwwagą, co w powieści tak znakomicie uwydatnia ze starego pokolenia Orzeszkowa, z młodszego Weyssenhoff. Poezja warszawska z musu nie mogła sięgać tych najwyższych szczytów polskiego ducha, jakie dostępne były galicyjskim poetom; więc albo nurzała się w ideałach wszechludzkich (Świętochowski), albo żyła wyłącznie w świecie wytwornej imaginacyi artystycznej (Felicyan Faleński, a później Miriam i jego «Chimera»), albo dla krzepienia słabych i pociechy zbolałych malowała poetyckie obrazy historyczne o dawnej chwale polskiej (Deotyma). W nauce Warsza-

wa zdobyła się na swój «styl» w podwójnem znaczeniu. Nie mając uniwersytetu, a przez długi czas nawet polskiej szkoły średniej, kształciła się jak samouk. czytała dużo, a ponieważ niewiele znała obcych języków, — więc u tych, którzy je znali, zamawiała tłumaczenia z obcych dzieł, tak z zakresu naukowego, jak i belletrystycznego; fakt, że tutaj właśnie wychodziły takie wydawnictwa, jak przekłady Taine'a, Buckle'a, Darwin'a, że tu była siedziba redakcyi «Biblioteki najcenniejszych utworów» czy «dzieł wyborowych», jest dla kultury warszawskiej równie charakterystyczny, jak ogłaszanie przeróżnych encyklopedyi naukowo-popularnych (powszechna, ilustrowana, staropolska, kościelna, wychowawcza i t. p.). Powtóre zaś, nie będąc jak Galicya pod wyłącznym niemal wpływem literatury naukowej niemieckiej, Warszawa żywszy niż inne dzielnice Polski utrzymywała związek z kulturą dalszego Zachodu, szczególnie Francyi i Anglii, w ogólnym polskim obrachunku chroniąc nas zatem przed szkodliwą jednostronnością. Nie stykając się zaś przyjaźnie z sąsiednią kulturą rosyjską, ustrzegła się naogół i przed zależnością z tej strony (z wyjątkiem krótkiego czasu w powieści: Żeromskiego «Dzieje grzechu» i t. p. utwory). Słabiej przedstawia się oryginalna literatura naukowa humanistyczna. I tutaj wprawdzie nie brakło pierwszorzędnych pracowników, że wymienimy w historyi literatury Chmielowskiego i Chrzanowskiego (którzy jednak później przenieśli się do Galicyi), w filozofii Struvego, w historyi Korzona, ale tym jednostkowym usiłowaniom brakło wspólnego, koordynującego podłoża. Nie na samym szczycie, ale na pośrednich wyżynach przedstawia się natomiast bardzo pokaźnie warszawska nauka przyrodoznawstwa i matematyki, a dzięki rozwojowi dziennikarstwa, duży rozmach wzięła krytyka literacka i artystyczna. Poważny typ miesięcznika naukowo - literackiego nie rozwinął się w Królestwie w stopniu proporcyonalnym do obszaru kraju (jedna «Biblioteka warszawska», obok niej przez jakiś czas «Ateneum» i w ostatnich latach «Sfinks»), natomiast tygodniki ilustrowane

(dawniej «Kłosy», «Niwa», «Wędrowiec», później «Tygodnik ilustrowany» i «Świat») zaspakajały odnośne potrzeby całej Polski. Warszawski przemysł wydawniczy zajmował i zajmuje pierwsze miejsce w całym polskim ruchu księgarskim, chociaż bezwzględnie biorąc nie doszedł jeszcze do wyższego stopnia doskonałości, jaką widzi się w Niemczech, Anglii lub Francyi. Niezbyt pomyślnie rozwijały się w Warszawie sztuki piękne. Teatr ilościowo, a poniekąd i w personelu, przodował innym scenom polskim, ale w repertuarze i kunszcie scenicznym był raczej zacofany. Plastyka miała bardzo szczupłe pole rozwoju.

* * *

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia udział poszczególnych części Polski w duchowej kulturze całości, w przeszłości porozbiorowej i w teraźniejszości. Co do tej ostatniej, to oczywiście mieliśmy przed oczyma przedewszystkiem przedwojenny stan rzeczy. Wielka zawierucha dziejowa, szalejąca nad całą niemal Europą, a tak okrutnie pastwiąca się nad Polską, nie mogła nie powstrzymać i jej kulturalnego rozwoju. Stosunkowo najmniej, bo tylko pośrednio, dotknęła ona dotychczas zabór pruski, a więc tę dzielnicę, w której życie kulturalne najsłabszem biło tętnem. Najwięcej zaś ucierpiała właśnie najruchliwsza część Polski—Galicya, gdzie jedynie w Krakowie podczas szczęku broni muzy ani na chwilę zupełnie nie umilkły. Królestwo pod tym względem zajmuje pośrednie miejsce. Po chwilowym zastoju pod pierwszem wrażeniem wojny źródło duchowej kultury Warszawy w pierwszej połowie 1915 roku znowu zaczęło bić, a chociaż wkroczenie Niemców zatamowało w wielu miejscach jego bieg, to z drugiej strony spowodowało całkowite spolonizowanie szkół i założenie uniwersytetu i pokrewnych szkoł, instytucji popularyzujących. Równocześnie przymusowe i dobrowolne wychodźtwo

z Królestwa i Litwy tylu przedstawicieli polskiej kultury wywołało zjawisko, w tych rozmiarach nigdy dotychczas w dziejach nie występujące; Moskwa, Petrograd, Kijów, Charków i wiele mniejszych miast Cesarstwa są w obecnej chwili ogniskami polskiej kultury duchowej, świetnością talentów niewątpliwie niższej od paryskiej emigracyi po roku 1831, ale przewyższającej ją intensywnością i wszechstronnością, bo obejmującą poezyę i naukę, szkołę i teatr.

Taka jest teraźniejszość. A przyszłość polskiej kultury? Ona, jak przyszłość Polski, jak przyszłość Europy, a poniekąd i całego świata, jeszcze zakryta nieprzejrzystą zasłoną, którą odsunąć nawet kusić się nie można. A jednak są pewniki, z którymi na spotkanie tej nieznanej przyszłości iść możemy. Oto wiemy naprzód, że każda z dzielnic Polski przyczyniała się do rozwoju tej kultury, jedna w ten, druga w inny sposób, ta w wyższym, tamta w niższym stopniu. To zapowiada, że jeśli one złączone będą, nasza narodowa kultnra duchowa wspólną pracą i twórczością dotychczasowych trzech części spotężnieje i zdolną będzie do podjęcia ważnych i trudnych zadań, jakie na nią czekają. A oto najważniejsze z nich: szybsze niż dotychczas tępienie analfabetyzmu na ziemiach polskich — ugruntowanie prawdziwej kultury wśród t. zw. inteligencyi—pogłębienie studyów naukowych, zarówno w zakresie humanistycznym, jak i nauk ścisłych, by polska nauka nietylko ojczyste potrzeby zaspakajała, ale i w wyższym niż dotychczas stopniu stała się i obcym potrzebną — żywszy rozwój sztuk pięknych, szczególnie budownictwa i rzeźbiarstwa.

Że ważne te i trudne zadania w przyszłości spełnione będą, to da Bóg — sprawi Geniusz Polski.

W Riazaniu, w styczniu 1916 roku.

Prof. Uniw. petrogradzkiego Tadeusz Zieliński.

FILARECKA POEZYA A. MICKIEWICZA.

Wydane przed kilku laty «Nieznane pisma A. Mickiewicza» (Kraków, 1910) są nietylko ciekawym i charakterystycznym materyałem do poznania młodych lat poety, ale rzucają również, chociaż i pośrednio, nieco światła na chronologię jego poezyi filareckich. Ponieważ pisma te nie były dotychczas, o ile mi wiadomo, rozpatrywane z tego punktu widzenia, chciałbym podzielić się z wielbicielami Mickiewicza i czytelnikami «Myśli Narodowej» szeregiem mych osobistych uwag i spostrzeżeń na ten temat, a jednocześnie dotknąć kilku zagadnień, nie będących w bliższym z «Nieznanemi pismami» związku, lecz dotychczas niezupełnie dostatecznie wyświetlonych. Podkreślam jednak zastrzeżenie, «o ile mi wiadomo», ponieważ przy braku stosunków literackich z Polską, musiałem się ograniczyć w badaniach materyałem, dostępnym mi w Petrogradzie, nie mając przytem pewności, czy inni nie podjęli wcześniej badań w omawianej dziedzinie. Z góry zastrzegam się na wypadek, jeśli praca ta została może wykonana już przez innych.

I.

Pośród filareckich poezyi Mickiewicza specyalną uwagę zwracają dwa, znane wszystkim, utwory: «Pieśń Filaretów» i «Oda do młodości». Koleje ich losu były jednakowe: ujrzawszy światło dzienne we wczesnej epoce twórczości poety, utwory te przez długie lata krążyły w rękopisach, bądź były przedrukowywane po czasopismach i dopiero stosunkowo niedawno weszły do wydania zbiorowego pism, wskutek czego poeta, będący u szczytu sławy i oceniający okiem obojętnem

próby młodości, przejrzał i skorygował je ze starannością mniej dokładną, niżbyśmy sobie tego życzyli. Stąd długi szereg kwestyi spornych i trudnych do rozwiązania. Szczególnie trudności te dotyczą pierwszego z wyżej wymienionych utworów, co zresztą jest zupełnie naturalne. W rzeczywistości bowiem oba te utwory mimo podobnej treści i podobnego nastroju odmienny mają charakter. «Pieśń» ma charakter ezoteryczny, a «Oda» — egzoteryczny: ta ostatnia była przeznaczona dla całej młodzieży polskiej, pierwsza zaś zwraca się do ścisłego grona kolegów i przyjaciół uniwersyteckich, porozumiewających się, jak to zwykle bywa w związkach młodzieży, — w gwarze niezupełnie zrozumiałej dla szerszego ogółu. Dlatego to spotykamy się w «Pieśni» z rozmaitego rodzaju zwrotami i wyrażeniami, których sens musimy odgadywać, podczas, gdy dla każdego Filarety w okresie wileńskim były one mową zupełnie zrozumiałą i jasną.

...Filareta czy Filomata?

Tu kwi pierwsza trudność charakteru chronologicznego... Jak wiadomo, towarzystwo Filaretów zostało założone dopiero w jesieni 1820 roku (por. naprz. P. Chmielowski Ad. Mickiewicz I, 169, wyd. 3). Tymczasem o «Pieśni Filaretów» wiemy, że Mickiewicz przywiózł ją do Wilna swym przyjaciołom na Boże Narodzenie 1819 r. (Domeyko: Filareci i Filomaci, str. 10). Opierając się na tem prof. Pogodin (Ad. Mickiewicz I, 123) twierdzi, że «projekt nowej nazwy» (t. j. Filaretów zamiast Filomatów) był obmyślony przez Mickiewicza i «przywieziony przez niego jeszcze przed rokiem 1820 przyjaciołom wileńskim z Kowna». Ale to przypuszczenie jest w sprzeczności ze świadectwem zupełnie wiarogodnem, według którego nie Mickiewicz, lecz Jeżowski był autorem wyrazu Filareta, któremu jako filologowi-klasykowi mogło to przyjść najłatwiej.

Zdaje mi się jednak, że prof. Pogodin, jak i inni badacze przezeń cytowani sami stworzyli trudność, którą usiłują rozwiązać. Skąd pewność, że «Pieśń» była ułożona jako pieśń filarecka? Że sam tytuł «Pieśń Filaretów» po raz pierwszy ukazuje się w wydaniu z roku 1844, — nie jest to dla nich tajemnicą; w dwóch zaś wcześniejszych drukach mamy tytuły odmienne (a mianowicie w czasopismie warszawskiem «Motyl» z roku 1828 czytamy: «Anakreontyk», a w «Kurjerze Polskim 1830 r.—«Piosnka w czasie toastu na imieninach improwizowana przez...»; ob. Dzieła Ad. Mickiewicza, wyd. T. M. I, 250).

Trzeba zaznaczyć, że nazwę Filaretów spotykamy jeszcze w ostatnim wierszu pieśni:

> To oko zamknie Feli,
> To filarecka dłoń.

— co nasunęło prof. Tretiakowi (Młodość Mickiewicza I, 247, 1898 r.) myśl, że ta ostatnia zwrotka była dorobiona później. Zdaje mi się jednak, że w tym wypadku czcigodnego i zasłużonego badacza zawiodła poprostu pamięć. Przecież to on właśnie o dwa lata wcześniej udowodnił w wyżej wymienionem krytycznem wydaniu pism Mickiewicza (I, 217), że w «Motylu» zamiast «To filarecka dłoń» znajdujemy «A to przyjaźni dłoń», a w «Kurjerze Polskim» — «A to przyjaciół dłoń». Nasza zaś redakcya ukazuje się po raz pierwszy w wydaniu z roku 1844.

Naturalnie, nie mam zamiaru twierdzić, że «Pieśń» przed rokiem 1844 nie była uważana za filarecką; sądzę nawet, że była ona filarecką jeszcze przed rokiem 1828 i, że tylko aureola nieprawomyślności politycznej, unosząca się nad Filaretami po procesie 1823—24 roku, zmusiła wydawców obu wyżej wymienionych czasopism do zaniechania tego tak niebezpiecznego w oczach cenzury wyrazu.

W każdym bądź razie jedno jest pewne, że «Pieśń» inny otrzymała przy powstaniu tytuł.

II.

I oto mamy przed sobą interesujące zjawisko: «Pieśń» uległa metamorfozie w czasie między grudniem 1819 roku i chwilą nadania jej ostatecznej formy; pomyślana jako biesiadna piosenka dla niewielkiego kółka Filomatów, najbliższych przyjaciół poety, z czasem została przystosowana do potrzeb licznego i rozgałęzionego związku Filaretów. Czy możliwa, ażeby tej zmianie uległ tylko wiersz ostatni? Jeżeli nie, to czy możemy ją zrekonstruować, jeżeli nie całkowicie, to przynajmniej w większym stopniu?

Zanim odpowiemy na to pytanie, należy rozejrzeć się w kompozycyi «Pieśni». Główna zasługa i tu należy się wyżej zacytowanemu prof. Tretiakowi: on to niezbicie dowiódł, że strofka: «Wymowa wznieść nie zdoła» etc., błędnie pominięta w wydaniu paryskiem z roku 1844 (pierwszem, w którem «pieśń» wogóle się

ukazała), a w wydaniach pośmiertnych drukowana na miejscu niewłaściwem, powinna się znajdować za zwrotką: «Ot tam siedzą prawnicy» etc. [1]).

Spostrzeżenie to rzuciło sporo światła na całą kompozycyę «Pieśni»: okazało się, że jest ona zbudowana ze zwrotek podwójnych i, że każde dwie zwrotki tworzą całość pod względem treści; wskutek tego posiadamy, ściślej biorąc, nie 14 czterowierszowych, ale 7 ośmiowierszowych zwrotek. Przyczynę tej «podwójności» wyjaśnił Chryz. Ładzic w Pam. Tow. Mick. z roku 1888 (II, str. 191): rzecz polega na tem, że melodya «Pieśni» obejmuje mianowicie dwie krótkie zwrotki, czyli razem 8 wierszy. Tembardziej, że sam prof. Tretiak zmniejszył znaczenie swego odkrycia tym schematem kompozycji, który podaje w swej edycyi krytycznej (I, 250).

Układ prof. Tretiaka jest następujący: 1) Wstęp — *trzy* pierwsze zwrotki, 2) Przemowa do filologów — *jedna* zwrotka, 3) do prawników — *dwie* zwrotki etc. Z tego wynika, że na początku niema podwójności. Czy to możliwe? Mojem zdaniem, podwójność zachowana jest od samego początku. Do wstępu odnoszą się tylko dwie pierwsze zwrotki, mające za przedmiot «czarę złotą»; co zaś do trzeciej:

Poco tu obce mowy?
Polski pijemy miód;
Lepszy śpiew narodowy,
I lepszy bratni ród,

— to ona bezwątpienia poświęcona jest filologom i stanowi całość ze zwrotką czwartą:

«W ksiąg greckich, rzymskich steki» etc.

Właśnie na wydziale filologicznym studyowano «obce mowy», począwszy od obu starożytnych, i od nich to odciąga poeta ku mowie ojczystej przyjaciół podczas ko-

---

1) Godząc się całkowicie z twierdzeniem prof. Tretiaka, nie rozumiem jednak, na jakiej podstawie przedrukował on omawianą zwrotkę w sposób następujący:

Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na w o l n o ś c i szczyt.

Tymczasem według jego własnego świadectwa (Dzieła Ad. Mickiewicza I, 217) w obydwóch wcześniejszych wydaniach mamy zgodnie: «na w i e l k o ś c i szczyt», w następnej zaś edycyi paryskiej z roku 1844 cała zwrotka jest usunięta. Rozumiemy doskonale, że młodzież 1830—31 i 63 roku wolała czytać n a w o l n o ś c i, metoda jednak krytyczna zmusza nas do stwierdzenia faktu, że Mickiewicz napisał w i e l k o ś c i, tembardziej, że w takiej redakcyi i metafora (szczyt) występuje bardziej obrazowo.

leżeńskiej uczty przy miodzie staropolskim; słuszność takiej interpretacyi potwierdza pierwotna forma ostatniego wiersza omawianej zwrotki. Brzmi ona w obu wcześniejszych wydaniach w sposób następujący:

Lepszy śpiew narodowy
Od greckich, rzymskich ód.

Poźniej poeta wiersz ten zmienił w sposób bardziej szczęśliwy, idący za nim początek następnej zwrotki: «W ksiąg greckich, rzymskich steki» zawierał bowiem powtórzenie nieco nieestetyczne.

W każdym bądź razie, wiersz ten stwierdza, że autor już w trzeciej zwrotce zwraca się ku filologom.

Tak więc schemat kompozycyi podany przez prof. Tretiaka należy zmodyfikować w ten sposób: 1) wstęp— *dwie* pierwsze zwrotki; 2) do filologów — *dwie* zwrotki; 3) do prawników — *dwie* zwrotki i t. d., po dwie aż do końca.

A teraz—dalej.

III.

Ze zwrotek zwróconych ku matematykom pierwsza para brzmi tak:

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość!

Zwrotki te zostaną wyjaśnione później, tutaj chcę tylko zwrócić uwagę na fakt następujący.

Ostatnie dwa wiersze wskazują całkiem niedwuznacznie na *wielką* liczbę braci; czyż można to zastosować do ścisłego Kółka Filomatów, obejmującego zaledwie 11 członków? Sądzę, że nie; należało z początku zorganizować tłumne majówki Promienistych (maj 1820), a następnie i liczne związki Filaretów, zanim poeta mógł wypowiedzieć te dumne słowa. Jeżeli tak, to nie należy uważać za przypadek braku obu zacytowanych strof w najwcześniejszym przedruku w «Motylu» (1828); wypadnie natomiast przypuścić, że nie było ich jeszcze w rękopisie, a nie było dlatego, że jako filareckie, w pierwot-

nej, filomackiej pieśni były nieobecne i powstały dopiero na końcu.

W powyższem przekonaniu utwierdza nas jeszcze wzgląd następujący, na który również nikt nie zwrócił uwagi.

Po wstępie poeta zwraca się 1) do filologów w dwu zwrotkach; 2) do prawników w dwu następnych; 3) w dwu do chemików; 4) w dwu do mechaników (zwrotki te wynotowane wyżej); 5) w dwu do matematyków po których dopiero następuje 6) zakończenie — również w dwu zwrotkach. Ponieważ chemicy, mechanicy i matematycy tworzyli razem jeden wspólny wydział fizyko-matematyczny, przeto projektowane przez poetę towarzystwo dzieliło się na trzy sekcye.

Jest to najzupełniej w zgodzie z tem, co wiemy o towarzystwie Filaretów: «ponieważ jednak matematyków i naturalistów było bardzo dużo, utworzyli oni aż trzy grona, odznaczone barwami: zieloną, amarantową i różową» (Chmielowski I, 179). Zgodność ta ostatecznie zdaje mi się, rozstrzyga kwestyę [1]; należy przypuścić, że zwrócenie się w *trzech* podwójnych zwrotkach było w związku z filareckiemi zmianami omawianej pieśni.

Podział niewielkiego kółka Filomatów był o wiele prostszy: składało się ono z dwu sekcyi, filologicznej i fizyko-matematycznej. Stąd wynika, że obie zwrotki, skierowane ku filologom, odnoszą się do redakcyi pierwotnej, filomatycznej. Ale stąd wynika również, że z trzech par zwrotek, przeznaczonych dla fizyko-matematyków, do niej należy tylko jedna. Któraż to może być? Stwierdziliśmy już, że zacytowane zwrotki do mechaników odnoszą się do redakcyi późniejszej — filareckiej, wobec czego pozostaje para zwrotek, chemiczna i matematyczna. Sądzę, że w wyborze nie może być wahania: para zwrotek do chemików tak samo harmonizuje z pierwotnym niefrasobliwym nastrojem epikurejskim wstępu i zakończenia, jak zwrotka do matematyków odpowiada nastrojowi późniejszemu o charakterze poważnym i stoickim.

Rzeczywiście — i tu zawiera się najdonioślejszy re-

---

[1]) Zaznaczam, że prawnicy zorganizowali dwa grona: białe i liliowe, lecz ponieważ charakter nauk prawnych był jednakowy, więc poeta ograniczył się do jednego wspólnego wezwania, skierowanego ku obu gronom. Co zaś do grona medycznego (granatowego), to o niem zupełnie niema wzmianki; ale ta trudność pozostanie trudnością niezależnie od jakiegokolwiek pochodzenia «pieśni».

zultat naszego badania — *stopiły się w pieśni*, wskutek jej stopniowego tworzenia się, *dwa nietylko różne, ale i biegunowo przeciwne nastroje*. Ażeby o tem przekonać czytelnika, podamy najpierw redakcyę pierwotną, rdzeń pieśni, który przywiózł poeta swym przyjaciołom — Filomatom na Boże Narodzenie 1819 roku:

Pieśn Filomatów (1819).

Wstęp.

Hej, użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz!
Niechaj ta czara złota
Nie próżno wabi nas.
Hejże do niej wesoło!
Niechaj obiega wkoło,
Chwytaj i do dna chyl
Zwiastunkę słodkich chwil!

I. wydział (literatury).

Poco tu obce mowy?
Polski pijemy miód,
Lepszy śpiew narodowy,
Od greckich, rzymskich ód.
W ksiąg greckich, rzymskich steki
Wlazłeś, nie żebyś gnił;
Byś bawił się jak Greki,
A jak Rzymianin bił.

II wydział (nauk mat.-fizycz.)

Kto metal kwasi, pali,
Kwasi metal i czas;
My ze złotych metali
Bacha ciągnijmy kwas.
Ten się śród mędrców liczy,
Zna chemię, ma gust,
Kto pierwiastek słodyczy
Z lubych wyciągnął ust.

Zakończenie.

Hej! użyjmy żywota!
Wszak żyjem tylko raz,
Tu stoi czara złota,
A wnet przeminie czas
Krew stygnie, włos się bieli,
W wieczności wpadniem toń.
To oko zamknie Feli,
A to przyjaciół dłoń!

Tłomacząc w pierwszych czterech wierszach początek «burszowskiej pieśni niemieckiej», poeta utrzymał jej

charakter i w wierszach następnych: mamy tam ten sam swobodny ton burszowski, to samo hasło: *Wein, Weib und Gesang*, stanowiące zasadniczy motyw niemieckiej poezyi studenckiej. Porównajmy teraz z tą pierwotną pieśnią okresu filomackiego tę jej metamorfozę, która była wywołana założeniem towarzystwa filareckiego. Dla zaoszczędzenia miejsca nie powtarzam obecnie zwrotek filomackich, już wyżej zacytowanych:

Pieśń Filaretów (1821).

Wstęp.

Hej! użyjmy żywota..
..Zwiastunkę słodkich chwil!

I grono błękitne.

(*filologowie*)

Poco tu obce mowy?..
...A jak Rzymianin bił.

II i III grona, białe i liliowe

(*prawnicy*)

Ot tam siedzą prawnicy,
I dla nich puhar staw:
Dzisiaj trzeba prawicy,
A jutro trzeba praw.
Wymowa wznieść nie zdoła
Dziś na wielkości szczyt;
Gdzie przyjaźń, miłość woła,
Tam, bracia, cyt! tam cyt!

IV grono zielone.

(*chemicy*)

Kto metal kwasi, pali...
..Z lubych wycisnął ust.

V grono amarantowe.

(*mechanicy*)

Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.
Dziś, gdy chce ruszyć światy
Jego Newtońska Mość,
Niechaj policzy braty
I niechaj powie: dość!

VI grono różowe.

(*matematycy*)

Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił!
Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem uniesień duch
Dobro powszechne skalą
Jedność większa od dwuch.

VII grono granatowe.

(*medycy*)

(*V a c a t*)

Zakończenie.

Hej, użyjmy żywota...
To — Filarecka dłoń.

Tu występuje przed nami zupełnie inny Mickiewicz: «Kwas Bacha, pierwiastek słodyczy» poszły w zapomnienie. Przed nami staje poeta tytanicznych dążeń, który podporządkował i przyjaźń, i miłość nadludzkim celom — stworzenia nowego biegu świata, w przeświadczeniu, że ten olbrzymi zamiar da mu potrzebne siły, słowem, występuje poeta «*Ody do młodości*». Do jej rozbioru przejdziemy w rozdziale następnym.

IV.

Młodość... I cóż jest młodość z punktu widzenia etycznego? Jest to okres życia, kiedy wzrok człowieka jeszcze nie przytępiony, zdolny jest «przeniknąć ludzkości całe ogromy od końca do końca»; jest to wiek, gdy duch ludzki, nieskrępowany jeszcze skorupą egoizmu, zdolny jest bezpośrednio odczuć radość i ból duszy bratniej.

I oto młodość wzrokiem orlim, którym ją obdarzyła natura, spogląda ze szczytów marzeń na ziemię, w dół, w odmęt kłócących się, zachłannych dążności egoistycznych. Duch poety dostrzega je doskonale, wcielone w kształt płaza w skorupie. Zdaje mi się, że poeta skorzystał tutaj ze wspomnień dzieciństwa w Nowogródku, kiedy pochylony nad sennym stawem śledził wzrokiem odrażające, drapieżne życie płazów wodnych.

Ale Mickiewicz skorzystał tu jeszcze i z czego innego, a mianowicie ze znajomości z Owidyuszem. Któż z nas nie zna charakterystyki egoisty, który ani nikogo nie potrzebuje, ani nikomu nie jest potrzebny, bo «sam sobie sterem, żeglarzem, okrętem»! Nikt jednak, zdaje się, nie zwrócił uwagi na to, że owa charakterystyka została zapożyczona z listu Leandra u Owidyusza (Heroides XVII, 148): idem navigium, navita, vector ero... Czy można jednak przypuścić, że Mickiewicz znał ten utwór Owidyusza? Niewątpliwie, — i w tym względzie «Nieznane pisma» rzucają sporo światła na studya klasyczne młodego poety, o czem wypadnie nam jeszcze nieraz mówić.

Takim jest egoizm. O jakże szczęśliwy jest ten, komu dusza nie zamarła jeszcze w skorupie egoizmu! Taka jednostka nietylko nie zapragnie szczęścia dla siebie jedynie, ale przeciwnie — będzie nawet cierpieć, nie mając możności podzielenia się niem z bliźnimi, choćby szczęście to było nawet nektarem niebieskim.

Młodości! Tobie jest nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi w dziele,
Serca niebiańskie nie poi wesele,
Kiedy je razem nie powiąże cnota.

Zwracam tu uwagę, że zwrotkę powyższą zacytowałem tak, jak brzmi ona w poznańskiem wydaniu Muczkowskiego z roku 1828, — pierwszem wydaniu zbiorowem, do którego «Oda» ta została włączona. Zwykle brzmi ona tak:

Młodości! Tobie nektar żywota
Natenczas słodki, gdy z innymi dzielę:
Serca niebieskie poi wesele,
Kiedy je razem nić powiąże złota.

— zgodnie z wydaniem paryskiem 1838 roku, które jest powtórzeniem pierwotnej edycyi w Polihymnii r. 1827, ale z zamianą wyrazu «niebiańskie» na «niebieskie».

Wyraz «niebiańskie» należy uważać w każdym razie za pierwotny i czytelnik zauważy wkrótce, że szczegół ten nie jest bez znaczenia.

Co do reszty, tekst poznański również budzi większe zaufanie. Wprawdzie połączenie «serca» (biernik l. mn.) «nie poi» niezupełnie jest bez zarzutu z punktu widzenia składni, ale łatwiej jest się z tem pogodzić, aniżeli ze skrytykowaną słusznie przez St. Krzemińskiego redakcyą: «Tobie jest... gdy z innymi d z i e l ę (P. T. M. III 179 i nast.). Zwrot przeczący «nie poi... kiedy nie powiąże» jest bardziej energiczny i tem samem piękniejszy, aniżeli

zwrot twierdzący w tekście zwykle używanym przyczem i wyraz «cnota» nadaje się bardziej do przyjęcia: w niej bowiem, w owej republikańskiej «vertu» Montesquieu i rewolucyi francuskiej,—zawiera się hasło Filaretów, w imię którego nadali oni sobie nazwę «przyjaciół cnoty».

Teraz zwracam uwagę na obraz. Poeta przedstawia nam człowieka, którego niebianie (stąd «niebiańskie» a nie «niebieskie») poją nektarem, napojem nieśmiertelności. Nie jest jednak dlań słodkim ów nektar, nie jest mu «słodką» i nieśmiertelność, cierpi on bowiem na samą myśl, że nie może podzielić się owym nektarem z przyjaciółmi. Taką musi być młodość, oddychająca wspaniałomyślnością i altruizmem.

Czy znamy skądkolwiek ten obraz? Czy znamy skądkolwiek to cierpienie? Tak. *To są męki Tantala.* Nie te, o których jest mowa w Homerze, że Tantal stał pod jabłonią w wodzie, głodny i spragniony, a za każdym razem, gdy się nachylał ku wodzie, woda znikała, a gdy chciał schwycić jabłko, gałąź unosiła się w górę. Nie. Starożytność znała również i inne cierpienia Tantala, lecz o nich podaje wiadomość tylko jeden poeta, Pindar, w pierwszej odzie olimpijskiej. Umiłowawszy Tantala, Zeus przyjął go na ucztę olimpijską, ofiarował mu nektar i ambrozyę, czyniąc go tem samem nieśmiertelnym. Lecz myśl o przyjaciołach, pozostałych na ziemi, nie dawała spokoju Tantalowi: ten drugi Prometeusz porwał napój niebieski i podzielił się nim z przyjaciołmi, za co został ukarany przez Zeusa.

Sądzę, że każdego uderzy podobieństwo tego obrazu z obrazem Mickiewicza: i tu nektar żywota, i tu niebiańskie wesele (czytelnik zrozumie, dlaczego przywiązuję wagę do takiej lekcyi); i tutaj niezadowolenie wywołane niemożnością podzielenia się z bliźnimi (oto dlaczego uznaję zwrot przeczący ostatniego dwuwiersza). Zależność jest oczywista. Ale zapyta ktokolwiek, czy można Mickiewiczowi przypisać znajomość tak rzadkiego waryantu podania i tak niedostępnego poety, jakim jest Pindar? Nietylko można, odpowiem, ale i należy, a jak najcenniejszą pewność dają nam w tym względzie «Nieznane pisma».

Nie dość tego: znając datę zapoznania się Mickiewicza z tym autorem i utworem, będziemy mieli możność rozstrzygnąć sporną kwestyę chronologii «Ody do młodości».

W sprawie tej chronologii posiadamy skrzętne i szczegółowe badania Finkla (P. T. M. III, 154 i nast.). Finke

słusznie opiera się na wszystkim znanem świadectwie — samego Mickiewicza u Al. Chodźki, według którego autor «Ody» napisał ją przed wypuszczeniem z druku swych poezyi (t. j. przed r. 1822) i posłał ją z Kowna przyjaciołom (t. zn. po jesieni 1819 r., gdy przeniósł się do Kowna). Na zasadzie wywodów subjektywnych, głównie na podstawie przypuszczeń, że poeta nie mógł po zerwaniu z Marylą latem 1820 r., stworzyć takiej drgającej radością życia ody, Finkiel przypuszcza, że «Oda» była napisana wiosną 1820 r. Ale subjektywno-psychologiczne przesłanki nigdy nie są dowodem dostatecznym; obecnie «Nieznane pisma» dostarczają niezbitego kryteryum objektywnego. Z listu Mickiewicza do Jeżowskiego w styczniu 1821 r. widać (str. 328), że poeta wtedy mianowicie zajmował się Pindarem i właśnie pierwszą jego odą olimpijską, gdzie jest mowa o Tantalu. Mickiewicz przetłomaczył nawet początek jej wierszem i posłał tłomaczenie Jeżowskiemu, jako klasykowi: «posyłam—pisze poeta — ile uchwyciłem Olimpji Pindarskiej; porównaj, poczyń uwagi, daj zdanie, czy warto dalej tłumaczyć» (tekst tłumaczenia został podany na str. 201—03). Z zakończenia listu widać, że poeta tłumaczył podług wydania Thierscha; ponieważ wydanie to ukazało się dopiero w r. 1820, to Mickiewicz, naturalnie, wcześniej nie mógł się z niem zapoznać. Jeżowski nie odpowiedział mu odrazu i poeta z pewnem niezadowoleniem pisze do niego w miesiąc później: «O Pindarze moim coś... nic nie bąknąłeś» (str 352). Tak więc, terminus post quem jest zima 1820—21 roku. A ponieważ cały rok szkolny 1821—22 spędził Mickiewicz w Wilnie i oczywiście nie mógł posłać swej ody z Kowna przyjaciołom w owym czasie, więc wynika, że b y ł a o n a n a p i s a n a n a w i o s n ę 1 8 2 1 r o k u i wtedy wysłana przyjaciołom. Wkrótce potem przyjechał i sam poeta. Oto dlaczego w korespondencyi (Nieznane pisma) niema wcale mowy o Odzie.

V.

Zestawiając w rozdziale poprzednim wyżej omawianą zwrotkę z odą Pindara, wykryliśmy popierwsze głębszy i ściślejszy jej sens, a następnie udało nam się ustalić datę powstania całego utworu. Teraz idźmy dalej.

Słowo «razem», wypowiedziane z naciskiem w ostatnim wierszu tej zwrotki, jest treścią zwrotki następnej, stając się, dzięki trzykrotnie wypowiedzianemu z siłą

«razem, młodzi przyjaciele», jak gdyby zasadniczym hasłem ody.

Razem, młodzi przyjaciele!
W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele.

W tem miejscu, każdemu przyjdzie na myśl zwrotka z «Pieśni»:

Bo gdzie się serca palą,
Cyrklem — uniesień duch,
Dobro powszechne — skalą,
Jedność — większa od dwuch

i przypomni się, sądzę, również, żeśmy zwrotkę tę odnieśli do późniejszego «filareckiego» okresu «Pieśni», współczesnego z datą powstania «Ody». Niech nam wolno będzie dodać, że piękny paradoks «jedność większa od dwuch» jest również zapożyczony z dosyć głośnego i podniosłego wiersza Hezyoda (Opera et dies, 40), brzmiącego w tłumaczeniu w ten sposób: «Nierozsądni, o tem oni nawet i nie wiedzą, o ile połowa większa jest od całości!» Co prawda, polski poeta wycieniował powyższy paradoks grą słów — nadając podwójne znaczenie wyrazowi «jedność» (jedynka i połączenie).

Ale to mniejsza; kwestya istotnie zasadnicza — to hasło «dobro powszechne», jednoczące we wspólnym filareckim nastroju i «Pieśń» i «Odę». Niestety, w dzisiejszych czasach zbladła aureola tego słowa i serce odczytującego oba filareckie utwory Mickiewicza nie będzie już na dźwięk ich biło w tempie przyśpieszonem. Lecz wtedy, przed stu laty, rzecz się miała inaczej. Pojęcie to było pojęciem centralnem w popularnych wówczas na całym świecie, a szczególniej na Litwie) etycznych, prawnych i ekonomicznych poglądach Jeremia'sza Bentham'a.

Na Litwie popularność dla Bentham'a wyrastała jeszcze i na gruncie blizkich stosunków jego z kuratorem ks. Al. Czartoryskim, który w swoim czasie marzył nawet o tem, ażeby zbliżyć Bentham'a z cesarzem Aleksandrem I-ym i wyzyskać go dla pracy nad kodyfikacyą prawa rosyjskiego, co oczywiście musiało skończyć się na niczem po ustąpieniu Sperańskiego i dojściu do władzy Rosenkampfa.

Czy ta dygresya o Bentham'ie posiada jakikolwiek związek z Mickiewiczem? Bardzo wielki. Nie należy zapominać, że Mickiewicz był w Kownie również i nauczycielem *prawa*, którego na życzenie Czartoryskiego uczono wówczas w szkole średniej i, naturalnie, w duchu Bentham'a.

Jak się ta nauka odbywała, znajdujemy świadectwo w książce Kraczkowskiego («Historyczny rzut oka na działalność Wileńskiego okręgu naukowego», 1803—1903, t. 1, str. 270), odnoszącego się do tej strony ówczesnej nauki szkolnej z właściwą owemu gadzinowemu dziełu nieżyczliwością: «Zadaniem prawa politycznego było poznanie braków w prawodawstwach wszystkich krajów i poznanie środków, wiodących do udoskonalenia praw. Nauczycielowi nietylko wolno było, ale mu nawet zalecano, aby razem z uczniami komentował każde nowe rozporządzenie, t. j. aby ćwiczył uczniów w krytyce praw, kładąc za zasadę «prawdę wyższą» (naturalną) i aby poddawał ocenie braki każdej formy ustroju państwowego, *kierując się zasadą «szczęścia narodów»*. Na takim tle rozwinęły się i na tem tylko tle mogą być zrozumiane filozoficzne ideały Mickiewicza. Czy Mickiewicz znał dzieła Bentham'a? Bardzo wątpliwe. Na kontynencie zapoznawano się z nim z trudnością i jedynie za pomocą francuskich tłumaczeń. W dodatku, przy bliższej znajomości Bentham nie wydałby się sympatycznym; dość było bowiem jednego określenia poezyi, jako «fałszywego wyobrażenia», aby odstraszyć od Bentham'a entuzyastycznego autora «Romantyczności». Ale teorye Bentham'a unosiły się naówczas w powietrzu i Mickiewicz musiał o nich usłyszeć od swych profesorów wileńskich, co mu najzupełniej mogło wystarczyć dla ukształtowania się jego poglądów.

VI.

Zwrotka z potrójnym apelem: «Razem, młodzi przyjaciele!» kończy się energicznem wezwaniem: «A ze słabością łamać uczmy się za młodu!» które jest jednocześnie treścią zwrotki następnej. I tutaj znowu widzimy, w jak wielkim stopniu żył poeta w świecie idei starożytnych. Jako ideał człowieka, który «za młodu» pokonał słabość i w ten sposób dał podstawę i kierunek czynom swego życia, wysuwa on Herkulesa: «Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał Hydrze»... Właściwie, to owe węże, uduszone przez Herkulesa, będącego jeszcze w powijakach, nie miały nazwy; z Hydrą (lernejską) bohater ten stoczył walkę już w wieku dojrzałym. Czy się tu poeta pomylił, czy też może mamy tu świadomą fikcyę? Cokolwiekbądź, dalej poeta już czerpie z najistotniejszej treści starożytnego podania: «...Ten młody zdusi Centaury»; (Herkules pokonał Cen-

taurów na Foloi, w Tessalii); «Piekłu ofiarę wydrze» (Herkules, wstąpiwszy do podziemi wślad za Cerberem, uwolnił swego przyjaciela Tezeusza i wyprowadził go na świat); «Do nieba pójdzie po laury» (Herkules uczcił na rydwanie swego ojca Zeusa zwycięstwo bogów nad dzikimi synami ziemi — gigantami). O tem wszystkiem mógł przeczytać Mickiewicz u Eurypidesa w «Herkulesie». Czy jednak czytał? Czy należy uważać za całkiem przypadkowe także i to podobieństwo, że i Eurypides w swej tragedyi po powrocie Herkulesa z podziemi zanucił swoją «Odę do młodości», — ową wspaniałą pieśń (str. 637, i nast.), rozpoczynającą się od słów: «Drogą mi jest młodość; ale starość ciężarem większym od skał Etny przygniata mi głowę, zarzuciwszy ciemną na oczy moje zasłonę».

Im dalej, tem wyżej i wyżej radosny podnosi się zachwyt:

«Hej! ramię do ramienia! Spólnemi łańcuchy
Opaszmy ziemskie kolisko!
Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
I w jedno ognisko duchy!
Dalej z posad, bryło świata!
Nowemi cię pchniemy tory...»

I oto znów spotykamy myśl, znaną nam już z «Pieśni», naturalnie z tej pary zwrotek, którąśmy odnieśli do filareckiej metamorfozy utworu. Jest to ustęp o Archimedesie. Obecnie kolej na wyjaśnienie tego ustępu:

«Mierzący świata drogi,
Gwiazdy i nieba strop,
Archimed był ubogi,
Nie miał gdzie oprzeć stop.

Dziś, gdy chce ruszać światy
Jego Newtonska mość,
Niechaj policzy braty,
I niechaj powie: dość!»

O Archimedesie wiemy wszystko szczegółowo: uradowany wynalazkiem dźwigni, pozwalających na zwiększanie sił do nieskończoności, Archimedes zawołał: «Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę z posad ziemię» (dos moi pu sto, kai ten gen kineso).

Jednak Archimedes pożądanego oparcia nie znalazł i dlatego został «ubogim».

Jego obecny następca jest szczęśliwszy pod tym względem: posiada on punkt oparcia. Jeśli tylko zapragnie «ruszać światy», to wystarczy mu obejrzeć się na swoich, «policzyć braty» — i wtedy sam powie: «Dość.

Z pomocą tych zastępów wypełnię zadanie Archimedesowe. A więc — dalej z posad, bryło świata!» Jest to jasne, że ów punkt oparcia, to są Filareci. Dobrze,—ale kto w takim razie Jego Newtońska Mość? Czyżby sam Newton? Byłoby naiwnością sądzić w ten sposób. Newton zmarł przed półtora wiekiem i niema najmniejszego związku między nim i Filaretami. Już raz wyżej zaznaczyłem, że «Pieśń», ułożona w mowie, zrozumiałej tylko dla członków Kółka, nosi charakter ezoteryczny. Stąd znajdujemy w niej: i «cyt», i «Feli», i omawiane w tej chwili wyrażenie. Jestem przekonany, że po odśpiewaniu tego ustępu, wszyscy Filareci, jak jeden mąż, kierowali wzrok swój na przewodniczącego, wydając radosne okrzyki: Wiwat Arcy! Wiwat *Zan*!

Rzeczywiście, Jego Newtońska Mość — to nikt inny, jeno Tomasz Zan. Swą «teoryą promionków», uznaną przez Filaretów za symbol ich wiary, Zan przypomniał i odnowił teoryę ciążenia i optykę wielkiego fizyka angielskiego, stosując ją do zjawisk świata duchowego. Warto jest przeczytać w tym względzie skierowane pod adresem Zana wynurzenia Filaretów, przytoczone przez Władysława Mickiewicza w biografii ojca (I, 541). W świetle tych zachwytów i uwielbienie Mickiewicza nie będzie również przesadnem. A że powyższy tytuł dowcipny był całkowicie w duchu Mickiewicza, dowód tego mamy choćby w jego liście petersburskim do przyszłej teściowej Szymanowskiej, gdzie poeta nazywa siebie: «Jego Romantyczna Mość», a ją: «Jej arcy-muzyczna Mość (Koresp. 1, 25).

W końcu zwrócę mimochodem uwagę na to, że myśl o starości ziemi, której poeta radzi, aby sobie «zielone» przypomniała «lata», okres bujnej płodności i okres siły twórczej, — mogła ona być zapożyczona u Lukrecyusza (II ex.). Zaznaczam «mogła», ponieważ dowieść tego ściśle nie można; odpowiedniość bowiem i zależność nie rzuca się tutaj tak przekonywająco w oczy. Każdy jednak, kto przeczyta odpowiedni ustęp z Lukrecyusza, zgodzi się, że istnieje między nimi zupełne podobieństwo.

VII.

W dwu ostatnich zwrotkach mamy przeciwstawienie świata fizycznego i duchowego. Nie dość na tem: przeciwstawienie to przeprowadzone zostało tam z taką śmiałością i siłą, że ono jedno wystarczy do usprawiedliwienia rzu-

conej przez Konopnicką myśli, że «Oda» jest pierwszą zapowiedzią Improwizacyi Konrada. (Bluszcz 1883)

Chaos fizyczny, wynikający z wzajemnej waśni żywiołów, został ukrócony, twórczem słowem Wszechmocnego, który wyprowadził z niego świat rzeczy; ale chaos moralny jeszcze nie ustał, jeszcze trwa wojna żywiołów chęci, jeszcze, przypomnijmy, wszelkiego rodzaju płazy w skorupie uganiają się za żywiołami drobniejszego płazu.

Czegoż więc potrzeba, aby i ten chaos ustąpił, żeby i z niego wyłonił się świat ducha? Do tego potrzebne jest płomienne słowo *miłości*. Ale z takim słowem nie wystąpi egoistyczna starość.

«*Młodość* go pocznie na swojem łonie». Tu tkwi rozwiązanie całej «Ody», korona, wieńcząca etyczną koncepcyę młodości.

Skąd poeta wziął atoli tę paralelę przedziwną?.. Nie należy jednak stawiać pytania w takiej formie naiwnej, boć naturalne, że zrodziła się ona w młodzieńczej, płomiennej duszy Mickiewicza. Można natomiast postawić pytanie, skąd wziął poeta elementy tej paraleli? Każda twórczość bowiem sprowadza się do połączenia w całość harmonijną pewnych elementów. Konst. Wojciechowski (P. T. M. VI., 329) chciał w tem miejscu ustalić wpływ na Mickiewicza jego «przyjaciela» warszawskiego — Koźmiana, a szczególnie jego «Ody na pokój roku 1809» napisanej na cześć Napoleona. W utworze zaś autora «Ziemiaństwa» dopatruje się Wojciechowski wpływu Rousseau'a, a mianowicie jego «Grandeur de Dieu». Zestawienie to nie wydaje mi się jednak przekonywującem: obaj ci poeci mówią tylko o twórczem słowie Boga, wyrzeczonem do chaosu, o co przecież Mickiewicz nie potrzebował zwracać się ani do Koźmiana, ani do Rousseau'a,— ponieważ znał je doskonale z Biblii. Nie. Kwestya ta jest bardziej skomplikowana i dotyczy istoty wyobrażenia o chaosie, odmalowanego przez poetę w omawianych zwrotkach. Stan i charakter chaosu uwarunkowane w nich są wzajemną «kłótnią» elementów,—i w tem zawiera się właśnie zasadnicza treść Mickiewiczowskiego wyobrażenia. Takiego rodzaju chaos już panował według niego niegdyś, w świecie fizycznym —

> w krajach zamętu i nocy
> Skłóconych żywiołów waśnią, —

a dziś podobny stan mamy jeszcze w świecie duchowym:

> W krajach ludzkości jeszcze noc głucha,
> Żywioły chęci jeszcze są w wojnie.

Twórcze słowo i tu i tam dąży do ukrócenia owej walki elementów między sobą. Z tego widzimy, że Mickiewiczowskie wyobrażenie o pierwotnym chaosie nie ma nic wspólnego z legendą biblijną, w której jest mowa tylko o próżni i ciemnościach. U Rousseau'a i u Koźmiana również nic tu innego nie znajdujemy. Obaj idą śladami podania biblijnego.

Skąd więc Mickiewicz wziął to wyobrażenie o pierwotnej «waśni», tak nieodzowne dla jego paraleli? Odpowiem: ze starożytnej Kosmogonii, a mianowicie z *Owidyusza.* Dla łacińskiego poety (na początku jego «Metamorfoz») chaos sprowadza się właśnie do *waśni* żywiołów wszechświata:

> «Non bene junctarum discordia semina rerum...
> *Obstabatque* aliis aliud, quia corpore in uno
> Frigida *pugnabant* calidis, humentia siccis...

A boski akt stworzenia dokonywa przerwania tej waśni żywiołów:

> Hanc deus et melior *litem* natura diremit.

I oto znów widzimy w Mickiewiczu ucznia starożytności: jego Bóg-Stwórca, to nie Jehowa biblijny, ale — bóg starożytny, który położył koniec żywiołów waśni i ukształtował harmonijny kosmos na zrębie pierwotnego chaosu.

VIII.

Jeżeli czytelnik uważnie śledził do końca bieg naszych roztrząsań o młodzieńczych utworach wieszcza i — jak mi się wolno spodziewać — przyzna, że rzuciły one pewne światło na genezę tych utworów, to, sądzę, nie mógł nie zauważyć, że opieraliśmy się głównie na zależności Mickiewicza od studyowanych przezeń wzorów starożytnych. Autorowi tych uwag, jako filologowi — klasykowi, łatwiej niż innym udało się dostrzec tę zależność; tembardziej przeto uważał on za swój obowiązek podzielić się z czytelnikami swemi spostrzeżeniami.

Co się tyczy zastosowanej tutaj metody, to jest ona najzupełniej odpowiednia. Jeżeli, — zgodnie z ogólnie znanem twierdzeniem Goethego, na które godził się i Mickiewicz, — każdy kto pragnie zrozumieć poetę, musi poznać jego kraj ojczysty, to i my powinniśmy zwrócić szczególną uwagę na *duchową* krainę naszych poetów, z której czerpali oni siły ożywcze dla swego ducha. Kto chce poznać Mickiewicza musi wystudyować to, co studyował poeta,

a mianowicie starożytnych pisarzy, któremi wyjątkowo gorliwie zajmował się Mickiewicz w epoce Wileńskiej i Kowieńskiej.

Dawniej można było o tem nie mieć dokładnych wiadomości. Obecnie «Nieznane pisma» nie pozostawiają w tym względzie żadnej wątpliwości. Są one nieocenionym materyałem dla nieodzownego w przyszłości opracowania zagadnienia o stosunku Mickiewicza do świata starożytnego. Wyjątkowo cennym dla wyświetlenia tej kwestyi jest referat poety z dnia 26 marca 1820 roku (N. p. 62 i nast.), w którym 21-letni Mickiewicz gorąco staje w obronie wszechstronnego poznania literatury starożytnej. «Nie miejsce tu rozprawiać o pożytkach starożytnej Literatury; nikt im jak się zdaje zaprzeczyć nie śmie... Wkorzeniony głęboko jest przesąd, że można z przekładów greckie pisma i łacińskie rozumieć. Bić należy przeciw takiemu przesądowi, wystawić w ogólności niedołężność przekładów z greckiego, a niedostatek przekładów z łacińskiego etc.».

Słowa te są pięknym, nowym objawem odległej tradycyi humanistycznej, będącej niegdyś chlubą naszej ojczyzny. Jeszcze w w. XV włoski humanista Andrea Brenta opowiadał mieszkańcom Rzymu, że ongi, gdy był jeszcze chłopcem, słyszał od swego nauczyciela Greka Demetriusa Chalcondylosa o «sławnem i potężnem państwie Sarmackiem, gdzie język nasz brzmi tak ponaszemu, że jest to największa rozkosz wsłuchiwać się, kiedy mieszkańcy tego kraju rozmawiają między sobą, jak gdyby byli obywatelami Rzymu starożytnego».

Dawna i stara jest ta piękna tradycya humanistyczna. Cóż stało się z nią w czasach dzisiejszych?.. Nie rzucajmy kamieniem potępienia na niewinnych.. Jeżeli szkoła klasyczna hr. Tołstoja nawet wśród uczniów Rosyan wyhodowała niechęć do języków starożytnych i świata starożytnego, mimo udzielanej im nauki w języku ojczystym, to podobne skutki tembardziej były nieuniknione wśród młodzieży polskiej, której podawano obcy nektar w czarze zupełnie jej obcej. Ale i nasi rodacy niech nie rzucają kamieniem potępienia na niewinnych... Wszystkie narody Europy czerpały moc duchową dla swego odrodzenia z gleby starożytnej, owej fecunda libertatis terra. I gdyby dzisiaj stanął przed nami autor «Ody do młodości», to tę, a nie inną, wskazałby nam napewno drogę: in hoc signo vinces!

Julian Krzyżanowski.

ZE STUDYÓW NAD TWÓRCZOŚCIĄ M. SARBIEWSKIEGO.

(Cykl «Silviludiów»).

Znany aforyzm «tout comprendre c'est tout pardonner», głoszący zasadę całkowitej rezygnacyi z tych środków, które w walce życia są najbardziej cenne, z samorzutnych porywów uczuciowych, na których tle rośnie czyn,—zasadę więc ze stanowiska jedynie prawdziwego, aktywnego życia. zgoła nie ciekawą. posiada dość dużą wartość jako wskazówka metodologiczna w badaniach literackich, domaga się bowiem zrozumienia zjawiska, a więc dokładnego roztrząśnięcia wszystkich, w skład jego wchodzących czynników, przestrzega przed pośpieszną, nie na wszystkich i niedostatecznie wyświetlonych przesłankach opartą generalizacyą, słowem chroni od przesady wartościowania, zwłaszcza ujemnego.

Przesada ta właśnie dużo szkody przyniosła historyczno-literackim badaniom naszej przeszłości, rozpatrywanej bardzo niedokładnie, bez należytego uwzględnienia warunków, wśród których dane zjawiska powstawały, z narzuceniem natomiast czasom minionym punktów widzenia całkowicie im obcych, wytworzonych w kółku sekty, czy koteryi, do której badacz należał. Wskutek tego dwa niezwykle ciekawe momenty dziejów kultury polskiej, piśmiennictwo religijno-polityczne w. XVI, oraz t. zw. Towianizm były przez długi czas kozłem ofiarnym, na którym tępiły się pióra przekonane, że fanatyzm lub ortodoksya religijna dają patent na monopolizowanie źródeł narodowego ducha. O żywotności tego ducha świadczy to choćby, że owo stadyum «badań» należy dziś do anachronizmów co najmniej.

Wymienione wyżej epoki nie są wyjątkiem; piśmiennictwo stanisławowskie dopiero w niedawnym czasie

znalazło szermierzy, którzy wywalczyli mu prawo obywatelstwa w dziejach kultury polskiej, przez wykazanie, jakie wartości ono w niej przedstawia; poprzedzająca je natomiast epoka baroku dotychczas jest w dziejach literatury tylko kopciuszkiem. Pomimo świetnych badań uczonych tej miary, co Brückner, Chlebowski, Porębowicz. Windakiewicz—piśmiennictwo barokowe nie jest znane i uznane tak, jak tego historya wymaga. Przyczyną prawdopodobnie jest ta okoliczność. ze lwia część dorobku duchowego owej dziwnej, tak niezmiernie bogatej i tak głęboko smutnej epoki, kryje się dotąd po szafach bibliotecznych, od Petrogradu począwszy aż do Rzymu, mnóstwo zaś tych «białych kruków» i rękopisów nieprędko chyba ukaże się na półkach księgarskich.

Jeśli się uwzględni ogrom pracy, dokonywanej, na polu odgrzebywania z pod pyłu zapomnienia duchowej fizyognomii XVII stulecia od połowy ubiegłego wieku po dni dzisiejsze (w r. 1837 wydrukowano Paska; już w czasie wojny prof. J. Łoś wydał Petrycego i Szymonowicza, przygotowywał zaś do druku «Moralia» Potockiego), pracy podejmowanej przeważnie w imię czystego ukochania przeszłości dziejowej — musi się przyznać, że zrobiono wiele, więcej niż pozwalały warunki; niemniej przeto tylko nieznajomością zarówno syntetycznych cech epoki, jak i pojedyńczych twórców, objaśnić można te dziwne komunały, utrwalone przez podręczniki w świadomości ogółu, głoszące, że Kochowski nie jest Kochanowskim ani Birkowski Skargą, choć właśnie cała ich wartość polega na tem, że byli sobą. Innemi słowy treścią komunałów jest przekonanie o zasadniczej niższości epoki Baroku w porównaniu z poprzednią Humanizmu.

Przyczyny tego fałszywego wartościowania są, w części przynajmniej, jasne: wiek XVII obfituje w kontrasty, sławie wielkich wypadków odpowiada niekiedy mała treść, typy zaś ujemne silniej działają na wyobraźnię badacza czy czytelnika, niż dodatnie; jest to owo złudzenie optyczne, które tak wybitnie występuje w powieściach Sienkiewicza, gdzie wobec Zagłoby znika Kordecki, wobec ks. Janusza blednie Czarniecki. Sprowadzenie wypadków i ludzi do właściwych im wymiarów, zdobycie odpowiedniej ilości faktów, wykazujących jak dalece piśmiennictwo owych czasów było funkcyą życia, jak w miarę jego falowania i przekształcania się literatura ulegała zmianom, inaczej: oznaczenie stanowiska jej w dzie-

jach kultury, położy oczywiście kres nieporozumieniom i nieprawdzie. Przyśpieszyć tę chwilę, wydobyć z zapomnienia możliwie najwięcej charakterystycznych rysów owego piśmiennictwa — wydaje mi się godnem uwagi zadaniem dla każdego, na kogo kiedykolwiek ów fragment przeszłości wionął swym fascynującym czarem.

Takie są pobudki, skłaniające mię do przypomnienia jednego z dzieł ks. Macieja Sarbiewskiego, który imię polskie rozniósł szeroko po świecie i już z tego choćby tytułu ma prawo do pamięci potomnych. Dzieło to, «Silviludia», łabędzi śpiew poety, tem więcej zasługuje na uwagę, że stojąc na poziomie ówczesnej myśli i sztuki europejskiej, wyrosło z rodzimego gruntu i—przez dziwny zbieg okoliczności — doznała losu swych polskich braci, na całe sto lat pozostało ukryte w rękopisie.[1])

I. Cyzelerska zdobność formy.

Na podstawie chronologii, stanowiącej zresztą bardzo, poważne, bo najpełniej objektywne kryteryum, zalicza się Sarbiewskiego do «poetów Baroku», nikt jednak nie pokusił się dotąd przyjętego milcząco stanowiska dostatecznie uzasadnić. Tymczasem tego rodzaju uzasadnienie,

[1]) Zdaję sobie zupełnie jasno sprawę z całego szeregu niedokładności, których w obecnym szkicu uniknąć nie mogłem. Zastępowanie źródeł, wydań i bibliografii pamięcią, brak dzieł pomocniczych, wyjaśniają niedostatki, choć nie usprawiedliwiają ich. Poruszone w toku uwag różne szczegóły byłyby jasne na tle innych rozdziałów książki o Sarbiewskim; dla wykończenia ich jednakże trzebaby mieć dostęp do Krak. bibl. XX. Czartoryskich, przechowującej manuskrypty poety; warunki obecne, choćby tylko różnica w długości geograficznej, każą odłożyć pracę do lepszych czasów. Wobec tego, wskazać należy, że wyjaśnienia i bliższe uzasadnienie niektórych wzmianek znaleźć można w cennych studyach prof. S. Windakiewicza o «Liryce Sarbiewskiego» oraz «Teatrze Władysława IV», nadto w «Szkicach historycznych» W. Czermaka.

Przy pisaniu posługiwałem się starowiejską edycyą «M. C. Sarbiewski Poemata omnia» z r 1892 oraz «przekładami poetów polsko-łacińskich» W. Syrokomli w ich pierwszem. wileńskiem wydaniu. Przytoczone z tego przekładu wyjątki oznaczam przez (S); co zaś myślę o samym przekładzie, mówią następne przypisy.

Miło mi wreszcie zaznaczyć, że pobudki obecnej pracy zawdzięczam starej Wszechnicy Jagiellońskiej; do zajęcia się rękopiśmienną spuścizną polskiego Horacyusza zachęcał mię przed kilku laty nieodżałowanej pamięci prof. Adam Miodoński; Sarbiewskim zajmowali się również dwaj koledzy z ławy uniwersyteckiej—E. Zdrojewski, który w czytanej na seminaryum prof. Chrzanowskiego rozprawie o «Przyrodzie w poezyi polskiej XVII w.» omawiał i «Silviludia» oraz J. Ejsmod, autor nader szczęśliwych przekładów kilku aktualnych pieśni Sarbiewskiego, ogłoszonych w dziennikach warszawskich jesienią 1914 roku.

o ile pragnie się uzyskać możliwie dokładny obraz duchowego oblicza epoki, jest niezbędne, a nadto nie przedstawia zbyt wielkich trudności, już bowiem dość powierzchowne nawet przerzucenie tomu jego poezyi pozwala dostrzedz szereg cech, wspólnych z całą grupą poetów, dotąd niestety mało znanych i ocenianych wedle pozorów, tyle posiadających wspólnego z rzeczywistością, ile sumaryczni znawcy «psującego się smaku» z poczuciem piękna.

Chodzi mi właśnie o ujęcie jednej warstwy tych cech, dość zewnętrznych na pozór, w istocie sięgających korzeniami w głąb duszy twórcy,—o ornamentykę, ściślej biorąc, o jeden z jej działów, posługiwanie się obserwacyą przyrody dla celów zdobniczych. Z góry przytem należy zaznaczyć, że Sarbiewski współczesnych w dziedzinie tej przerasta, że do pewnego tylko punktu idzie z nimi razem, poczem oddala się, wierny dumnej zasadzie: «im droga bardziej utarta, tem mniej jest pewna».

Przyczyny tej wyższości szukać należy zarówno w doskonałości do mistrzostwa doprowadzonej techniki artystycznej, jak i w wrodzonych skłonnościach Mazura, który z ojcowskiego dworu wyniósł umiłowanie przyrody i umiejętność jej obserwowania, co z czasem przez koleje życia utrwaliło się i uszlachetniło. Długo jednak przemagała domowa «wieśniaczość», stanowiąca tak wybitną cechę współczesnych, przejawiająca się u Sarbiewskiego przewagą najprostszych, artystycznie słabo opracowanych szczegółów, podchwyconych wzrokiem czy słuchem.

Wśród psychicznych uzdolnień Sarbiewskiego wybitne miejsce zajmuje wrażliwość na barwy. Skala ich nie jest bogata, uwagę jego zwracają szczególnie barwy błyszczące: złota, srebrna, mieniący się błękit. Że nie jest to coś przypadkowego, lecz bezpośrednio wiąże się z naturą wyobraźni, świadczy uparte kilku tych barw używanie; wypadki zresztą tego rodzaju są znane psychologii wyobraźni, wystarczy wskazać na Słowackiego. Wyrażenia więc takie, jak «błyszczące słońca (candidi soles), «złociste deszcze», «grad perłowy» spotykamy na każdej niemal karcie; deszcz w oczach poety spływa «z błękitnych obłoków», zdala dostrzega «modre miasta muzy» i t. d. Niekiedy barwy łączą się z wyobrażeniem klejnotów—więc w opisie Wschodu czytamy:

Krasnym koralem błyszczy tam Kreta,
owdzie skrzą Indye szmaragdów blaskiem...

Upodobanie w barwach jaskrawych wyrosło u Sarbiewskiego na podłożu dużej wrażliwości na zjawiska świetlne, w których siła blasku zastępuje bogactwo odcieni. Środkiem pomocniczym staje się tu wybitny kontrast oświetleń i barw, łamiących się z sobą w jakiejś przedziwnej walce żywiołów. Myślę tu o wspaniałym obrazie wizyi Bogurodzicy, jawiącej się wśród orgii błyskania i ognia na tle czarnych mroków, jako białe widziadło, uciszające zamęt burzy. Słychać okrzyki i widać:

sonantes
Caeruleum per inane currus,
Tristosque fumos et nebulae globum
Late serenas rumpere copias,
Auroque florentes et igni et
Missilibus radiorum acutis

Jest to jeden z tych obrazów, które z trudem tylko dają się przełożyć, bez zatracenia wierności, styl bowiem Sarbiewskiego ma w sobie istotnie coś z siły Tacyta.

Ogółem biorąc, posiada Sarbiewski zdolność barwnego widzenia, pszczoły więc dlań—to «żółte wiosny córy w zielonej żyjące ojczyźnie», rzeka przed nim «zielone po brzegach rozściela kobierce», barwne jednakże przedmioty nie zlewają się w barwny obraz, poeta nie posiada tego daru, który stworzył przedziwne karty «Pana Tadeusza», nie jest pejzarzystą. Tem właśnie objaśnia się okoliczność, że pejzaż Sarbiewskiego nie wykracza poza ramy klasycznych, Wergiliuszowych wzorów. Są jednakowoż przedmioty, których barwy na wyobraźnię jego działają bardzo silnie i wcielają się w odpowiedniej szacie słowa—są to klejnoty i kwiaty.

Sarbiewski radzi sobie niekiedy bardzo dowcipnie, staje bowiem na stanowisku jubilera, któremu materyał, jakim rozporządza, każe zastępować farby dobranymi odpowiednio klejnotami, przyczem siła i natężenie kolorów zastępuje ich rozmaitość. Dlatego właśnie Sarbiewskiemu najpiękniej udają się obrazki o jednym, zasadniczym motywie barwnym, roztęczonym w migotaniu bezcennych światełek.

I tak w jednej z pieśni (IV.30) umieszcza typowy dla poezyi Baroku polskiego, natchniony przykładem Tassa, obraz raju, pojętego jako jeden świetny ogród:

Pośrodkiem pola, wkrąg którego ścianę
p e r e ł mur tworzy— z rozwartemi wroty —
drzew l ś n i ą kędziory i łąk przepych z ł o t y
i fiołków łuny p e r ł a m i dzierzgane.

Skłonność ta do niezmatowanej jaskrawości, do pełni światła posiada coś wschodniego—istotnie też ze wschodnich źródeł częściowo wypływa. Sarbiewski bowiem jest u nas pierwszym bodajże przed romantykami znawcą i wielbicielem nieprzebranych skarbów «melodyi żydowskich». Na twórczości jego bardzo silnie zaważyła «Pieśń nad pieśniami», przedmiot ciągłego, niegasnącego zachwytu i niewyczerpane źródło natchnień.

W cyklu pieśni *Ex sacro Salomonis Epithalamio* rozmiłowanie w barwności święci swoje najpełniejsze tryumfy; radosny śpiew rozkochanej, młodej duszy ludzkiej dzieli się swem szczęściem z przyrodą całą, od niej blasków dla uświęcenia swej radości zapożycza — a przyroda na wołanie człowiecze przychodzi i uczestniczy w święcie duszy przejasnem lśnieniem słońca, hojnie rzucającego całunki na zielone murawy, — poświatą księżyca smętnie błądzącą po sennych jeziorach, wonią drzew i łąk rozkwitłych, purpurą wzrok cieszących owoców.

Rozmiłowanie w «Kantyku» wiąże się dość mocno na specyficzną właściwością Sarbiewskiego, ukochaniem kwiecia. Związek obydwu upodobań stanowi moment romantyczny w twórczości poety — wprowadza w nią wdzięk naiwnej nowości. O tyle przynajmniej, o ile słuszne jest spostrzeżenie Wilde'a, że miłość kwiecia i dzieci stanowi wybitną cechą sztuki romantycznej, «dla obydwu bowiem sztuka klasyczna miała bardzo mało miejsca, pozwalając im zaledwie rozwijać się i kwitnąć».

Dla Sarbiewskiego kwiaty są czemś równorzędnem, raczej droższem od brylantów. W pięknym wierszu «Do Fiołka» użala się—jest tu coś z miękkości rzewnej piosnki ludowej—nad małą figurynką Dzieciątka Jezus, któremu ciężyć muszą klejnoty na złotej sukience, więc główkę jego wianuszkiem fiołków zdobi. Podobnie posążek Bogarodzicy różami wieńczy, ozdobą głów dziewczęcych — boć i Bożej Dziewicy one przystoją.

Miłość kwiatów przybiera niekiedy formy nawet zabawne — oto po zrealizowaniu rozmaitych pomysłów politycznych, na świecie zapanuje pokój, czego wyrazem będą kwiaty, barwne, świetne kwiecie, pokrywające zdeptane przez wojnę ugory, kwiecie łączące się z łunami złocistego zboża. Poeta więc powiada zwycięzcom:

Białe lilie, róże purpurowe,
narcyzy sinie przy wiatru powiewie
wdzięcznie przed wami pochylą głowę —
skłoni się bujne zboże na niwie...

Syn łanów, żywiących świat cały pszenicą, nigdy zapomnieć nie może ich głębokiej melodyi, gdy zginane powiewem ścielą się w długich falach i mienią w przedziwnych odcieniach. Obraz ten należy do najczęstszych, ulubionych motywów.

I wogóle Sarbiewskiego nie zadawala dostępny mu pejzaż, jako obraz jedynie wzrokowy — łąka, las, pole posiadają dlań muzykalne życie, wyrażające się najprościej w poszmerze źródeł i strumieni. Motyw ten, częsty w sielance klasycznej, powtarza się u Sarbiewskiego niejednokrotnie — najpiękniej zaś może występuje w zakończeniu wiersza do jednego z przyjaciół:

a wierzch urwiska
lilie zdobią; kwiecie czerwone
krasą wiosenną błyszczy w zieleni
uśmiechem wtórzy potoku fali...
Woda wśród fiołków srebrem się mieni —
nadbrzeżna łąka cicho się żali...

Nie jest to wyjątek, przyroda w poezyi Sarbiewskiego nigdy nie jest niema, niemota bowiem jest równoznaczna z martwem, tajemniczem bytowaniem grobowców i ruin. Ucho poety chwyta dźwięki żywe gaju czy pola nawet w upalne, letnie południe — jeśli bowiem wśród skwaru boże śpiewaki, ptaszęta przycichną, odzywa się w nagrzanych trawach kapela koników polnych, niekiedy szepnie coś lekki wietrzyk, zaswywoli wśród gałęzi sennych drzew na miedzach. Całą tę muzykę półszeptów wybornie oddaje pieśń «Do wietrzyka», której giętka rytmika z podziwu godną swobodą oddaje omdlałe upojenie barwami, dźwiękami, zapachami rozkwitłych drzew i łąk, kołyszących się miękką falą. Nad polami wisi rozpięte, pogodne, cicho uśmiechające się niebo.

W dziedzinie omawianych zjawisk szczególnie poszum drzew, rozchwianych w wieczornej modlitwie, nadzwyczaj silnie działa na wyobraźnię poety. I tak już w młodzieńczym cyklu «Cztery mile» — opisującym pątniczą procesyą z Wilna do Trok, pieśń pielgrzymów podchwytują odwieczne bory, potęgują ją i niosą w dal, tak, że cała przyroda łączy się z człowiekiem w potężnym hymnie na cześć Bogurodzicy. Zaznaczyć warto, że hymnem tym jest istotnie prastara macierz naszych pieśni kościelnych — Św. Wojciechowa, jak sądził Sarbiewski—B o g u r o d z i c a.

W kilka lat później, goszcząc we Włoszech w dobrach ks. Bracciano, wywdzięczył się mu Sarbiewski

piękną elegią opisową, której najgłębszy akord stanowi symfonia wieczorna: pieśń ptactwa przechodzi w niej w poważną melodyę drzew, szepcących jakąś tajemną modlitwę, rozpływającą się po ścisłych polach:

A w lasach śpiewania ptaszęce nie giną,
Wraz chwyta je echo borowe,
Tam jesion, z topolą, i dęby z olszyną,
Wiąz z wiązem prowadzą rozmowę,
Zielone zarośla i drobne krzewiny
Coś szepcą do siebie liściami... (S).

Ustęp to prawie jedyny, świadczący o bezpośrednim wpływie pobytu we Włoszech na rozwój omawianej kategoryi zjawisk w twórczości Sarbiewskiego. Przypuszczać można, że Włochy, przez kontrast tylko, bogacący zasób spostrzeżeń poety, mogły wpłynąć na spotęgowanie i uszlachetnienie właściwości, wytworzonych w domu. Bliżej jednak przypuszczenia tego uzasadnić niepodobna — choćby dlatego, że jedynie bardzo nieliczne jednostki posiadają zdolność, w pełni jaśniejącą w twórczej fantazyi Mickiewicza, dar odtwarzania pejzażu lokalnego, umiejętność posługiwania się owym «couleur local», którego pojęcie przed romantyzmem było sztuce najzupełniej obce.

Trudność wskazaną potęguje jeszcze język Sarbiewskiego. Wprawdzie Horacy polski doprowadził łacinę do szczytów mistrzowstwa, uczynił z niej narzędzie niezwykle giętkie i podatne do odtwarzania — wbrew temu, co mówi się o jej martwocie —. najsubtelniejszych nastrojów, w sposób nie ustępujący ówczesnym językom romańskim, francuskiemu, czy włoskiemu — mimo tego jednak, klasyczny język powleka wszystkie obrazy lekką warstwą swej klasycznej ogólności, płynącej wprost z jego natury.

Subtelność i giętkość słowa—które pełnym blaskiem zajaśnieje w «Silviludiach»—przebijają sie wybitnie w pejzażu morskim. Sarbiewski, jak przed nim Kochanowski i jak Polacy wogóle, nie posiadał tej specyficznej cechy starożytnych Rzymian, czy nowoczesnych Anglików, tego «zmysłu morza», który na literaturze Wergilich i Cyceronów tak wybitne odcisnął piętno. Nie potrafił przejąć się urokiem żywiołu w najsilniejszym przejawie jego grozy — stąd nieliczne obrazki burz są kopią motywów Wergiliusza lub Tassa. Natomiast z zachwytem spoglądał na gładką toń, uśmiechem odpowiadającą na słońca łaskę—i to właśnie wrażenie kilkakrotnie po mistrzow-

sku odtworzył. U niego poraz pierwszy występują te motywy, które dopiero pod koniec XIX stulecia wystąpią u nas w twórczości Konopnickiej i Tetmajera. Jak ci ostatni przedziwną muzyką wiersza umieją podchwycić rytm kolebiących się fal, tak i Sarbiewski środkami «martwego» języka oddaje czas, omdlałość i śpiewność morza, w wierszu, któremu celowy dobór dźwięków (samogłoski *i, e*, spółgłoska *l*) nadaje niezwykłą miękkość:

O qui loquentis flamine sibili
Lenique sacrae nubis anhelitu
Impellis antennas Notorum
Alba super volitare terga
Doctus...

Ogółem jednak biorąc, nie posiada dla Sarbiewskiego morze osobliwego znaczenia — jest momentem czysto przygodnym; o wiele silniej przemawia doń poezya rzek i jezior, bo z ich wodami więcej obcował.

O ile motywy te, usamodzielnione, odegrały większą rolę w twórczości poety, obaczymy później — tu chodzi bowiem przedewszystkiem o ich znaczenie drugorzędne; są to punkty ornamentacyjne, służące do uwydatnienia innej myśli, względnie przystanki, na których odpoczywa wyobraźnia i autora i czytelnika. Pomijając mniej ciekawe i mniej znamienne szczegóły, zwrócić należy uwagę na fragment dowcipnego wiersza na cześć Ks. Barberiniego, wyjeżdżającego do cieplic:

„Rzeki przeźrocze zdroje — gdzie z fali rodzą się fale. — błękitnym mienią się biegiem... Arno się pieni, chyżemi stopy wśród łąk się wije, szemrze coś, śpiewa i brzeg maluje przejasnych źródeł. Wilgocią żywi kwiaty nabrzeżne, wilgocią róży krzewy nasyca. A siwe nardy i wiosny dzieci — krokusy chłoną fali rumieniec... Dokoła błyszczą srebrne lilije — Maj przetowłosy wśród kwiecia chodzi".

Ornament wyrasta w całkowicie samodzielny, barwny obrazek, w którym blaski (vitreus, lubricus, candidus) wody i kwiecia przeradzają się w bujność wiosennego życia; całość przemienia się w jakiś zaklęty ogród królewicza z bajki — Maja.

Z rozpatrzenia głównych grup cech przyrody, które na wyobraźnię Sarbiewskiego silnie oddziaływały, naturalnie wyrasta pytanie, jakie stanowisko wobec postrzeganych zjawisk zajmuje on, jak na nie reaguje. Sam bowiem fakt istnienia w jego twórczości tego rodzaju pierwiastków, używanie ich z predylekcyą, świadczyć może o tem tylko, że wyobraźnia poety jest w danym kierunku bardzo podatna.

To jest właśnie punkt wyjścia. Rej, który w niedopitej szklenicy widział, zamiast smętnych ostatków miodu, migocącą tęczę, był na piękno przyrody bardziej wrażliwy, niż Kochanowski. Tak ma się rzecz i z Sarbiewskim, przewyższającym wrażliwością estetyczną współczesnych, nawet śpiewaka «Roksolanek». Cechuje go silnie rozwinięta predyspozycya ujmowania zjawisk tych właśnie i nie innych, i to ze strony ich piękna, a nie innych — i ta właściwość przy odpowiednim składzie warunków otwierała poezyi nowe tory i mogła stać się bardzo poważnym czynnikiem twórczości.

Sarbiewski spogląda na przyrodę niemal wyłącznie okiem estety i tem właśnie różni się od silnie scharakteryzowanej w swej twórczości poetów małopolskich, grupy ziemian z Kochanowskim i Potockim na czele. Oni tkwią w przyrodzie, znają ją na wylot, nie mają jednakże ani czasu ani ochoty zachwycać się jej wdziękami, muzykę pasikoników głuszy im pobrzęk kos i sierpów, o ile obserwują niebo, to przedewszystkiem po to, by odgadnąć, jaka będzie pogoda. Stanowisko ich—za estetykiem francuskim — możemy nazwać momentem «anestetycznym», punktem widzenia dla dzisiejszego czytelnika, przyzwyczajonego do wylewów romantycznych, conajmniej dziwnym. A jednak stanowisko to jest bodajże znacznie bardziej cenne, niż moment estetyczny, który nigdy nie jest tak głęboki i bezinteresowny, jak uczą podręczniki psychologii. U człowieka bowiem, zrośniętego z przyrodą, są pewne instynktowne, nie przekraczające stanu półświadomości refleksy mocnych uczuć, przyroda jest kuźnicą, w której praca wykuwa mozolnie głęboką miłość piękna żywego, nie przynoszonego z zewnątrz.

Sarbiewski nie tkwi w przyrodzie, nie wiąże się z nią łańcuchem codziennego wysiłku, przychodzi do niej z miasta na święto, na święto rozkoszy. Stąd w prostej linii wypływa pewien ton sielankowy, trochę naiwny zachwyt mieszczanina, stanowisko któremu zresztą początek zawdzięczają eklogi i Teokryta i Wergilego i legion ich potomstwa. Sarbiewski «na łonie przyrody» szuka odpoczynku; jak widać z pięknej elegii wileńskiej do Kozłowskiego, posiada zupełną świadomość szczęścia człowieka, który oderwał zmrużone oczy od druku i bieży niemi po kwietnych łanach gdzieś w tumanne głębie łąk nad Wilią. Jestto właśnie rodzaj szczęścia, do którego tęskni poeta «De profundis», gdy mówi: «któż nie mógł-

by być zupełnie szczęśliwy wśród ciszy, kwiatów, książek i przy księżycu»...

Stanowisko jednak takie — w zasadzie przypadkowe' w wynikach jałowe—wiedzie do banalności. o ile zaś ma być twórcze, musi być tylko stadyum procesu, przezwyciężonem przez inne czynniki. U Sarbiewskiego mamy obydwa rozwiązania, jest banalność i są górne wzloty. Pierwsza jest chronologicznie wcześniejsza, jezuicki bowiem profesor traktuje przyrodę wyłącznie «po literacku», świeże wrażenie przerabia na koncept, ozdabiający wątpliwej wartości komplementy. Są mianowicie w twórczości Skarbiewskiego dwa stałe motywy. mecenasom jego prawie zawsze hołd składa przyroda — do kolan kłonią im się fale zbóż i łąk, na cześć ich śpiewają drzewa, w łuki tryumfalne wiją się gałęzie. Zwycięstw zaś symbolem są hołdy rzek podbitego kraju. Niekiedy tylko koncept ma tu głębsze uzasadnienie—np. w pieśni, gdzie ujarzmiona przez Turków Grecya płacze strugami swoich rzek na niewolę, jękiem fal błaga o wyzwolenie z pod półksiężyca. Ogółem jednak biorąc—motywy te stanowią banalne «lieu commun» i miasto urozmaicenia wprowadzają i podtrzymują monotonię.

Sarbiewski jednak wydobył się z pęt banalności, właśnie w chwili, gdy—zdawałoby się—najgłębiej w niej za grzązł. Jako nieodrodny syn swego wieku, nie mógł pominąć tej nieszczęsnej, tylekroć przekładanej, transponowanej na polskie stosunki, kalkowanej, naśladowanej epody Horacego «Beatus ille, qui procul negotiis»... Sarbiewski sparodyował ją tak, jak Kochowski, Morsztyn czy ktokolwiek inny — z tą tylko różnicą, że na życie wiejskie spogląda nie przez okno dworu, a plebanii. Równocześnie jednak sztywniejące, stare formy umiał natchnąć nowym duchem, umiał rzucić pomost między własną duszą a otoczeniem i w ten sposób wyłamał się z pod przyjętego szablonu. Narzędziem tego kroku były religijno-filozoficzne nastroje poety, skupione i wzmocnione przez czynnik zewnętrzny, przyjaźń ze staruszkiem Łubieńskim, biskupem płockim.

II. *Wymowa gwiezdnych przestworzy.*

Wyrazem stosunków obydwu przyjaciół, siwego biskupa i młodego kapelana Króla Jegomości, jest niezwykle ciekawa korespondencya, stanowiąca jedną z najpiękniejszych kart w biografii Sarbiewskiego. Widać z tych drobnych, niekiedy w pośpiechu pisanych listów, że bi-

skup ceni wysoko i lubi swego młodego przyjaciela—że jednak nie zamyka oczu na jego braki. Sarbiewski przejął się za granicą kosmopolitycznym duchem swego zakonu (co i na twórczości się odbiło) i cecha ta właśnie raniła Łubieńskiego, który z wyżyny swego doświadczenia spoglądając na przebytą drogę życiową, bolał nad zanikiem tej jagiellońskiej, krzepkiej miłości ojczyzny, którą pacholęciem w pierś wchłonął. Dlatego właśnie sądził, że Sarbiewski nie odpłaca się należycie talentem Polsce— i wstąpił na drogę niewłaściwą, z której należało go zawrócić.

Łubieński potrącił w duszy Sarbiewskiego tę strunę, która wydawać mu się musiała bardzo dźwięczną, skoro ją wybrał, owo właśnie ukochanie przyrody. Potrącił ją wspomnieniem lat dziecinnych, gdy Sarbiewski, jako uczeń Pułtuskiego kolegium, na jakimś popisie dał się poznać jako poeta. Łubieński zarzuca mu lekko brak wdzięczności dla tych czasów—pisząc w liście z r. 1633:

„O Pułtusku, gdzie pierwszą złożyłeś Muzom ofiarę, ani jednem słówkiem w utworach swych nie wspomniałeś. Rzek naszych królowa Narew, nasz Bug i Wisła, lepsza od Tagu rodzicielka złota, przeszły, jakgdyby rzeczy zgoła ci nieznane".

Zachęty te do wyśpiewania uroków swojej ziemi powtarzał biskup kilkakrotnie i nie bez skutku. Sarbiewski był posłuszny natchnieniom «swego Apollina» — jak w jednym z listów Łubieńskiego nazywa—tak, że antwerpska edycya poezyi następnego roku przyniosła pieśń «Do Narwi, nad którą poeta w chłopięcym jeszcze wieku pierwszą pieśń wyśpiewał».

Jestto jedna z najpiękniejszych elegii Sarbiewskiego, oparta na wiecznie nowym motywie tęsknoty za dzieciństwem «sielskiem, anielskiem», motywie powracającym u Zaleskiego, jako westchnienie za minionym «snem na kwiatach, snem złotym»:

Na białych usnął różach —
wśród lilii usnął i fiołków dzien —

w którym pacholę na zielonych Narwi brzegach uczuło zstępujące od cudów przyrody natchnienie, gdy słońce błogosławiło luteńce i poświęcało ją do wyśpiewania «przemiłych wioski uroków». Z niewysłowionym wdziękiem narzuca się marzeniom cały kwiecisty blask wspomnień «lśniących od rosy różanych krzewów, fiołkowych łanów i wilii toni, wiosennych, cichych wiatru powiewów»... całego kompleksu wrażeń, utrwalonych — oczywiście!— na korze młodego dębu.

Jak silnie brzmiały poruszone struny wspomnień, widać z porównania świeżej i uroczej pieśni «do Narwi» z pokrewną odą «Do Bugu», napisaną również pod natchnieniem Łubieńskiego w kilka lat później.

„Bug — pisze biskup w r. 1637 — podmywa okna naszego domu i swawoli z wietrzykiem. Spragnionemi usty chwytamy wodę Bugową, odświeżamy się miłym powiewem letniego wiatru".

Sarbiewski powtarza:

O Bugu, o czysty wód świętych kryształe?—
Jakaż mi Pierys pozwoli,
Bym konchą czerpnąwszy Twą falę
Ugasił pragnienie do woli. (S.).

Jak Ausonius lub nasz Klonowicz, nie zapomina Sarbiewski o złocie rzek polskich, o galarach sandomierki, o turkocie tysiąca młynów — ogółem jednak biorąc, pozbawiona elementów osobistych, jest pieśń do Bugu chłodnym, akademicko popisowym utworem; pod tym względem zbliża się do wiersza, napisanego po powrocie z Włoch na powitanie Polski «do źródła Sony», z którym wiąże się zresztą genetycznie.

Pieśń «do Sony» nie jest utworem oryginalnym. Sarbiewski poszedł w ślady Katulla i Horacego, oddając wyższość pierwszemu. Niema jednak u naszego poety tej dziecinnej radości, z którą młody liryk rzymski witał ukochane jezioro Sirmio «paeninsularum insularumque ocellum», z jaką spoglądał na fal jego słoneczne *cachinni*—uśmieszki;Sarbiewski powtarza wprawdzie «ocelle natalis soli», wiersz jednak nie dzwoni radością i upojeniem — jest nazbyt robiony, sztuczny.

Pieśń «do Sony», nie należąca do zakresu wpływów Łubieńskiego, przez kontrast pozwala ocenić ich siłę. Czcigodny staruszek, goszcząc u siebie dworskiego poetę, umiał budzić w duszy jego poczucie różnicy między wartością źródeł poezyi, ukrywających się w wiejskiem zaciszu—a wartością mielizn dworackiego komplementu. Jak Sarbiewski wpływ przyjaciela cenił, widać z listów, w których dzieli się wiadomościami o tworzeniu «Silviludiów», wiedząc, że doradcy przyjemność tem sprawi.

Poruszone przez przyjacielskie rozmowy struny w duszy poety nie przestały drżeć—pełny zas dźwięk wydały pod wpływem warunków wewnętrznych. Mianowicie uwidoczniona w posługiwaniu się odpowiednią ornamentyką wrażliwość Sarbiewskiego na zjawiska swietlne

jaśniała zwłaszcza w zetknięciu się z widokiem wyiskrzonego gwiazdami nieba. Ona sprawia, że Sarbiewski należy do tych nielicznych poetów Baroku, którzy—za przykładem Tassa — wprowadzili do naszej literatury pejzaż nocny (najpiękniej chyba ujęty w niedrukowanym poemacie Kochowskiego: («Oblężenie Jasnej Góry Częstochowskiej»). Różni się jednak od innych tem — że wrażenia wiążą się u niego z całym systematem religijno-filozoficznym.

Punktem wyjścia staje się dla poety zwykły katolicki dualizm, kontrast materyi i ducha, ściślej biorąc: duszy i ciała, uczący, że dusza jest niezniszczalną mieszkanką niebiańskich dziedzin, ciału niedostępnych, że stanowi ono dla duszy przeszkodę przy jej nadziemskich wzlotach, do których jest stworzona.

Dualizm ontologiczny sprowadza Sarbiewski do bardziej uchwytnych wymiarów zjawisk fizycznych, do przeciwieństwa bezwładności i ruchu, przyczem oba te pierwiastki łączy w człowieku, objaśniając na sposób starożytny sens życia, jako skutek niezależnych od jego procesu, wrodzonych własności:

> „W chwili narodzin—czytamy w jednej z pieśni—wyrywając się z bezwładnego łona Ziemi—macierzy, wdychamy odrobinę ruchliwego powietrza; stąd porzucamy matkę i w dal bieżymy, ożywieni duchem ojca — nieba". [1])

Wynajdując tego rodzaju mitologiczne objaśnienie, dla głębokich, wzruszeniowych pokładów własnej duszy poeta z całą swobodą wszystkie swe pragnienia kieruje w stronę gwiaździstych przestworzy, w których widzi

---

[1]) W przekładzie Syrokomli (Przekłady T. I str. 149) ostatnie zdanie brzmi:

> Stałe niebo—nasz ojciec—lecz w łonie dziecięcim (!)
> Mamy ruch ze krwi matki i wirem się kręcim.

Przekład błędny, w oryginale bowiem ziemia, to „inertia viscera", niebo zaś „motus aether", wygląda na „poprawienie" błędnych pojęć astronomicznych, w rzeczy samej jest anachronizmem. Nie mógł przecież Jezuita hołdować poglądom Kopernika, którego dzieło w r. 1616 umieszczono na indeksie, którego idei musiał się zapierać Galileusz w r. 1633. Sarb. musiał znać teorye nowatorów, ale również musiał je potępiać. — Zwracam uwagę na ten szczegół, by choć w ten sposób wyjaśnić, dlaczego na przekładzie Syrokomli opierać się nie można. Tłumacz bardzo często oryginału nie rozumie i wykłada go całkiem fałszywie. I tak w pieśni „E rebus humanis excessus", o której niżej mowa, mamy błąd już w tytule „O występkach (!) rodzaju ludzkiego", Syr. bowiem rozumie „excessus" (wystąpienie, wyjście, wyzucie się) jak franc. „l'éxcès", co odbiło się na toku myśli pieśni, nadając jej wbrew intencyom autora, rzekomy satyryczny odcień.

drugą ojczyznę innego, wyższego, pełnego ciszy nieziemskiej i wolności życia.

Pragnienia te i tęsknoty znalazły swój wyraz w cyklu niezwykle pięknych liryków, których seryę otwiera elegia «Westchnienie ku niebieskiej ojczyźnie» (ad caelestem adspirat patriam I 19)—z naczelnym motywem:

Ojczyzny—niebios piękno przedziwne
duszę tęsknoty spali płomieniem:
toni sklepionej gwiezdne oddale —
ciche poświaty miesięcznej fale —
i lampy lśniące pod utwierdzeniem...

Głęboki zachwyt nad pięknem wyzłoconego gwiazdami nieba, rodzi tęsknotę i pragnienie odlotu w te bezmierne otchłanie i żal, że porywy te zaspokojone być nie mogą, bo ciało skrzydła obciąża. Takie jest źródło bolesnego wołania:

Przecz że—gwiaździstej dziedziny syna
tak długo, długo na tym padole
więzi mię twarda dola wygnańca?

Tęsknota idzie dalej—pragnie «zrzucić kajdany śmierci», wyzbyć się ciężaru ciała, duchem czystym ponad ziemię wylecieć, jako strzała drżąca na napiętej cięciwie marzenia:

O jasnych nocy dalne otchłanie —
o gwiazd płonące, wieczne pochodnie.

Cała pieśń jest jednem serdecznem wołaniem, jednym hymnem na cześć uwielbionych tajemnic, wykołysanym w najgłębszych pokładach duszy.

Uzupełnienie jej stanowi inna o «Wyzuciu się z doczesności» (*E rebus humanis excessus*), zbudowana z motywów, osnutych raczej na refleksyi. Początek jej, przerobiony z Horacyuszowskiego komunału, tylekroć przez Sarbiewskiego używanego i nadużywanego, owo ulatywanie nad ziemią, nie zapowiada niczego osobliwego, koncepcya jednak jest nowa: znikający w odległej perspektywie obraz ziemi daje pobudkę do rozmyślań o wartości życia. W obliczu przestworzy występuje z przerażającą jasnością cała pstrokata, pozbawiona związku przygodna szata doczesności, owa «opłakana losów chwiejność», sieć zabiegów, której węzłami stają się przemijające namiętności, popioły wśród ruin zagasłego życia. Świat z tej wyżyny podobny jest do teatru maryonetek, które poruszane niewidzialną ręką kręcą się i wśród ułudy samodzielności dostrzec nie mogą ironicznego uśmiechu na wązkich wargach Kresu — Śmierci:

na scenie krew broczy —
toczą się walki, rozboje i waśnie,
Śmierć w końcu wszystko to grzebie w ruinie,
— co i być musi — aż w strasznej godzinie
gwiezdne teatru podwoje zatrzaśnie.

W poemacie poczyna dzwonić jakgdyby dalekie echo słów Mędrca Pańskiego o złudzie złud — na wyżynach robi się cicho, jak w domu umarłych. Gdzie jednak wyjście—pyta człowiek. Odpowiedź daje mu religia—każąca «zrzucić kajdany śmierci»,przezwyciężyć przypadkowość ciała, wejść duchem do niebieskiej ojczyzny, gdzie niezmienny, wieczny ład rządzi biegiem wszechświata, gdzie wiekuista cisza i zgodność pierwiastków, gdzie walka nie istnieje, gdzie świeci Miłość, nigdy niegasnące źródło wszechżycia.

Przed oczyma duszy rozwiera się nowa kraina zjawisk, wobec której ziemia maleje do rozmiarów mikrokosmu, a dla ducha otwiera się abyssos, otchłań wieczności:

I glob ziemski maleje, aż punktem się stanie —
jako czarna źrzenica w bezmiernym błękicie...
O rozlany w przestworzach bóstwa oceanie,
Nieśmiertelne, potężne i bezkresne Życie!
O wy fale wieczystej i bezbrzeżnej rzeki
Pochłońcie i rozpławcie mię w sobie na wieki...

Ten mistyczny odzyw ku nieskończoności, krzyk serca przygłuszający nagle wszelkie refleksye, to najwyższe napięcie tęsknoty ku zaświatom, ku temu, co wiecznie trwa i nie przemija — wszystko to jest w ówczesnej poezyi czemś tak dalece nowem, tak wybiega poza ramy otoczenia, że pojąć się w granicach tego, do czego nas książki o literaturze przyzwyczaiły, nie daje; wszak jesteśmy przekonani, że podobne akordy są wynalazkiem romantyzmu..

Wydawaćby się mogło, że poeta zmienił stanowisko filozoficzne, od dualizmu przeszedł ku panteizmowi—w bóstwie bowiem (numen) — zdawałoby się—jako w nieskończoności — rozpływa się wszechświat. Wrażenie to płynie stąd, że Sarbiewski uczuciowo bardzo silnie ujmuje jedność pierwiastków, choć rozumowo stoi twardo na gruncie katolicyzmu, dla którego Bóg i Świat są wartościami zgoła niewspółmiernemi. Wielkość Sarbiewskiego polega na tem właśnie, że on odczuwa w sobie tragedyę tej niewspółmierności i stara się ją w sposób, zgodny z dogmatyką kościoła, niemniej przeto oryginalny, rozwiązać. Poświadcza to wspomniana wyżej parodya epody Horacego, nazwana «Laus otii religiosi».

Syrokomla w przekładzie obrazka, poświęconego kontemplacyi wieczoru, dodał wiersz «i po murawie wolne stawiąc kroki... pogląda», czem doskonale określił ramy utworu. Na cichy wieczór wiejski spogląda proboszcz, odmawiający brewiarz podczas przechadzki po ogrodzie i oczyma tonący w dali niebios. To, co spostrzegają oczy, wiąże się ściśle z treścią odmawianych pacierzy, modlitwa kieruje myśli ku temu «niebu», które, obejmując miłośnie ziemię, jest tak piękne, że musi być przybytkiem Boga:

Już noc zapada — wieczór, stróż cichy,
zapala w górze żagwie gwiaździste.
Jak cudne ogni wiecznych przepychy —
potężnych globów złociste kręgi!...
Choć łzy ćmią oczy, wzrok w dale bieży,
Gdzie Twej —Dziewico—i Twej, o Chryste,
świecą przybytki bożej potęgi —
i kornie pada u ich odźwierzy...

Wsparte przez skojarzenie się pojęć miłość Boga i zachwyt nad pięknem przyrody zlewają się w jedną całość, ponadto jednak budzi się w człowieku poczucie niższości i niemocy wobec potęgi nieznanego żywiołu. Cóż bowiem syna ziemi wiąże z temi mocami? Pomostem staje się wspólność uczucia, ożywiającego człowieka i przyrodę, skupionego w jednem ognisku, Miłości Bożej, człowiek bowiem, jak i przyroda, stworzone są przez Boga i dla Boga — celem obojga jest służenie Mu i połączenie się z Nim.

Stanąwszy na teleologicznem rusztowaniu, dostrzega się «ślady Boga w przyrodzie», Bóg przez nią «prześwieca», jak i przez człowieka, uduchawia ją i stąd występuje w przyrodzie cel jej istnienia, ten sam pęd do nieskończoności, parcie ku Bogu, doskonałości, źródłu bytu, od którego odcięta przyroda równie cierpi, jak dusza człowiecza.

Animistyczną syntezę wspaniale wypowiada Sarbiewski, ujmując w barwnych obrazach to, co chłop polski nazywa wieczorną modlitwą lasu:

Zioła i trawy w bratnim porywie
ku gwiazdom wznoszą pochyłe głowy...
rozłąkę z niebem w skardze głębokiej
łzami śpiewają zdroje na niwie.
Kosaćce prężą k' niebu ramiona
i pnie się róży pąk purpurowy.
Gwiazdom coś szepcą wśród nocnej ciszy
białe lilije zbladłemi usty —
Wieczorem błękit szepty ich słyszy,
rankiem spogląda na łzy rosiste.

Na tle tej cudnej symfonii tęsknoty w duszy ludzkiej budzi się poczucie solidarności z resztą stworzenia, człowiek, «sam jeden, jedyny w świecie ma być ciężarem?», — a jeśli nie — cóż mu czynić?

Odpowiedź przyniosą «Silviludia», gdzie pytanie to, powstając w innych, bardziej rozwiązaniu sprzyjających warunkach, wytwarza nowy, odrębny stan duszy, rodzący z siebie odpowiedź.

Przy pomocy dostępnych mi środków nie mogę określić, jakie czynniki zewnętrzne, jakie prądy dopomogły Sarbiewskiemu w ukształtowaniu się jego poglądów na stosunek człowieka do Boga i przyrody. Jużci—zasady same jego poglądów tkwią w teologii katolickiej, chodzi jednak o ich interpretacyę, która nie powołuje się na dogmatykę jakiegokolwiek koscioła, nie przyjmuje go jako pośrednika między człowiekiem i Bogiem, a więc o ten zasadniczy rys mistycyzmu, nadto o sam fakt wprowadzenia danych motywów do poezyi. Przypuścić tylko można, że zagadnienia te żyły w «duchu czasu», w tym konglomeracie przekonań i poglądów, które w danej epoce obowiązują. Sarbiewski musiał je znaleźć w ówczesnej filozofii, gdzie miały one pierwszorzędne znaczenie. Przebywając w Rzymie, spotykał ludzi, którzy niedawnymi czasy zwalczali filozofię Bruna i odegrali wobec niego mało chlubną rolę katów, musiał znać stanowisko swego zakonu wobec nauki Galileusza i prawdopodobnie z pism polemicznych, szukających poparcia w astronomii, wyszła pobudka do skierowania ciekawości w strony tajemniczych zjawisk niebieskich.

Rozwiązanie wszelkich, nasuwających się tu pytań wypada odłożyć do sposobniejszych czasów, obecnie pragnę zwrócić uwagę na jeden tylko moment.

Mianowicie, zdaje się nie ulegać wątpieniu, że mistyczne rysy w filozofii Sarbiewskiego pozostają w jakimś związku ze skłonnością do tego na świat poglądu, rozwijającą się w początkach XVII stulecia. W r. 1612 mistyk zagrzelicki Jakób Boehme ogłasza swą «Wschodzącą jutrzenkę», w której roztrząsa zagadnienia, niepokojące i Sarbiewskiego. Boehme tworzy uzasadniony system, stąd naturalnie poglądy jego są szersze i bardziej wyczerpujące, niż stanowisko Jezuickiego poety. Boehme jednak stawia toż samo pytanie i rozwiązuje je analogicznie, twierdząc, że moc i istota Boga (cytuję streszczenie Hoeffdinga w «Dziejach filozofii») tkwi we wszystkiem, zarówno w nas, jak i w masach zewnętrznych. Bóg nie

jest odosobniony od przyrody, lecz zostaje do niej w takim stosunku, w jakim dusza do ciała. Niebo nie tam, u góry, w błękicie; ono tu, w głębi twojej własnej duszy, gdzie życie boskie drga w tobie... Gdy spoglądasz na gwiazdy, ziemię i głębokości, widzisz Boga i w tym samym Bogu żyjesz i istniejesz. Wprawdzie ciała niebieskie i żywioły nie są same przez się czystą boskością, ale siła, z której czerpią życie swoje, stanowi także i twoją istotę. Poruszenia wewnętrzne w istocie ludzkiej są tej samej natury, co i te, które w Bogu zachodzą. We wszystkich sprawach przyrody Bóg jest ukryty, tylko w duchu ludzkim zostaje on poznany. Nie rozumiemy Boga wcale, o ile duszę pojmujemy, jako oddzielna od niego, jak gdyby była odrębną istotą».

Nie sądzę, by podobieństwo to było li tylko rzeczą przypadku — przypuszczam raczej, że są to dwie gałęzie tego samego drzewa, ogólnej atmosfery filozoficznej; zbadanie jej dokładniejsze bodajże doprowadzi do tego wniosku, do którego muszą prowadzić rzetelne badania literatury w. XVII — t. j. do złożenia w lamusie starych rupieci wszelkich głęboko patryotycznych ubolewań nad zaściankowością kultury całej epoki.

Wracając do Sarbiewskiego i sumując dotychczasowe spostrzeżenia, widzimy, jak pierwiastki, występujące początkowo luźnie i bez wewnętrznego związku, rozwijają się, ożywiają i skupione w większe grupy poważnie zaznaczają się w tworzywie poety. Drobne szczegóły, ornamenty—łączą się w całość obrazu, obwiedzionego syntetyzującą linią myśli.

Krok dalej — myśl doprowadzona do większej świetności—jeszcze bardziej wyodrębniona—nadaje danej grupie motywów hegemonię nad innymi, dotąd przeważającymi lub równorzędnymi — rozkwit jej zaś przypada na chwilę, gdy twórczość Sarbiewskiego dosięgła szczytu, wydając «Silviludia», stanowiące właściwy owego rozkwitu owoc. (*d. c. n.*)

Roman Dyboski,

Prof. Uniw. Jagiellońskiego

ANGLICY O POLSCE.

Wykształcenie ogólne przeciętnego Anglika, stojącego w życiu praktycznem, zazwyczaj ani szerokością, ani głębokością nie grzeszy. W szczególności zasób wiadomości historycznych poza zakresem dziejów konstytucyjnych Anglii i jej polityki kolonialnej—obfituje w podobnie rażące luki, jak przysłowiowa erudycya geograficzna Francuzów.

Z drugiej strony wysokie jest w Anglii poszanowanie dla wiedzy fachowej i silne pragnienie faktycznych wiadomości w umysłach, nie przekarmionych obowiązkową nauką w szkołach publicznych. Stąd typowe zjawisko, określane niemniej typowym zwrotem *to read up a subject* — «oczytać przedmiot»—więc popyt na książki, podające informacye o historycznych podstawach, geograficznem tle, psychologicznej maszyneryi jakiejś aktualnej sprawy.

Nic więc dziwnego, że gdy oczy świata zwróciły się na Polskę, jako jeden z głównych teatrów i przedmiotów europejskiej wojny, w Anglii okazała się potrzeba przedrukowania w taniej «biblioteczce wojennej» *(Britannica War Books Series)* najpoważniejszych popularno-naukowych opracowań dziejów Polski w języku angielskim z nowszych czasów, mianowicie artykułu zmarłego *Nisbet-Baina: Poland* z 11 wydania *Encyclopaedia Britannica.* Wśród całego szeregu innych podobnego rodzaju publikacyi angielskich, pisanych dopiero w czasie wojny—i po części już przezemnie omówionych [1]) — w miarę jak wojna się nadspodziewanie przeciąga i literaci zyskują na czasie, poczynają się pojawiać prace znaczniejsze rozmiarami i w założeniu ambitniejsze,—czy to stawiające sobie tak szeroki, encyklopedycznie zakreślony temat jak

[1]) «Głosy angielskie o sprawie polskiej» (№ 2 «Echa Polskiego»).

«Polska» przez dublińskiego profesora historyi Alisona Phillipsa [1]), czy też tak specyalnie—dziejopisarskie i monograficzne, jak «Rozbiory Polski» lorda Eversleya [2]), jednak i te, już mniej efemeryczne książki noszą piętno wojennej aktualności, angielskiego praktycznego zmysłu i politycznego temperamentu: w podręczniku wiadomości o Polsce dla samouków—jakim jest praca Phillipsa—niema mowy o Reju i Kochanowskim, Słowackim i Krasińskim, Koperniku i Śniadeckim, ani o Orzechowskim lub Hozyuszu, Tyzenhauzie lub Staszycu;—figurują zato Bobrzyński i Korytowski, Piniński i Cieński, Dmowski i s. p. Dymsza, a nawet cytaty z artykułów dr. Kierskiego w «Kuryerze Warszawskim». Lord Eversley, bardziej ściśle historyczny, jednak jeszcze dość dużo miejsca poświęca opiniom Bismarcka i Bülowa, leżącym poza chronologicznemi ramami jego przedmiotu; sam zresztą autor pod swem przed-lordowskiem nazwiskiem—Shaw-Lefevre—dobrze jest znany we współczesnej (a przynajmniej niedawnej) polityce i dyplomacyi.

Jeżeli zatem te prace więcej jako obraz usposobienia światłych Anglików przedstawiają interesu, niż jako zbiory faktycznych informacyi trwałej mają wartości, to pretensyi o to do świata literackiego Anglii mieć nie można—i ze względu na chwilę i na stały charakter czytającej publiczności brytyjskiej, i z tego choćby względu wreszcie, że wśród własnych naszych wysiłków nad oświeceniem Zachodu o naszej historyi i kulturze takie zjawiska jak świetny rozdział prof. Askenazego o Rosyi i Polsce kongresowej w *Cambridge Modern History* (wydany w rozszerzonej formie jako książka po polsku, a niedawno i po rosyjsku) są wciąż jeszcze zjawiskiem dość odosobnionem, co niekorzystnie odbija od nieustającej na tem polu działalności naszych najbliższych sąsiadów—Węgrów, Czechów i Ukraińców.

I.

Znana jest zupełna niezdolność i jeszcze zupełniejsza niechęć Anglików do uczenia się języków obcych, szczególnie europejskich. Lordowi Eversley impuls do badań nad rozbiorami Polski dały dzieła von Sybela i Alberta

---

[1]) «Poland», by W. Alison Phillips, M. A. — London. Williams & Norgate (w seryi «Home University Library», cena 1 szylling).

[2]) «The Partitions of Poland», by Lord Eversley. London, T. Fisher Unwin, 1915.

Sorela; czytał on (i krytykuje) Carlyle'a, sięgnął nawet do szanownego starego Rulhière'a i obficie czerpie gotowy materyał z dawniejszej angielskiej monografii Fletchera *Poland* (1830), ale ani ze źródeł ani opracowań w języku polskim korzystać nie może i obcy mu i Kalinka, i Korzon, i Askenazy i Dembiński. Nawet z tem kardynalnem zastrzeżeniem jednak nie może być nie ciekawą książka, wyzyskująca papiery w archiwum państwa *(Record Office)* w Londynie i oryginalną korespondencyę między brytyjskiem mimsteryum spraw zewnętrznych a jego dyplomatycznymi ajentami. Coprawda lord Eversley starannie unika przeładowania swej pracy szczegółami z archeologii dyplomatycznej i świadomie zapewne pomija różne boczne kurytarze i zaułki w labiryncie memoryałów i układów. Opowiada przejrzyście, w zarysach nawet bardzo ogólnych, uwydatniając dla ożywienia swojej fabuły ile możności rolę osobistą monarchów, którzy dokonali rozbiorów. Dzięki takiej metodzie osiąga istotnie efekt prawie dramatycznego napięcia w tym punkcie dziejów, gdy losy Polski wiążą się z kwestyą wystąpienia mocarstw europejskich wobec rewolucyjnej Francyi, i widzimy Leopolda i Fryderyka Wilhelma, opierającvch się planom Katarzyny II, która chce ich wciągnąć do wojny przeciwko Francuzom, by mieć wolną rękę w Polsce. Niemniej starannie w rozdziałach wcześniejszych śledzi autor za manewrami niezrównanego matacza, Fryderyka Wielkiego, posługując się świadectwem v. Sybela przeciw Carlyle'owi, który koniecznie od zarzutu inicyatywy w sprawie pierwszego rozbioru chciał uwolnić uwielbianego bohatera swoich mozolnych trzynastu tomów i określał upadek Polski swym kalwińsko-fatalistycznym żargonem wyłącznie jako «dzieło wszechmocnej Opatrzności i wiekuistych praw Natury».

Tytuły rozdziałów o preliminaryach drugiego i trzeciego rozbioru—«Perfidya Prus» i «Zdrada Austryi»—mówią same za siebie. Ciekawsze jest postawienie sprawy w rozdziale zatytułowanym (za przykładem Sorela) «Jak Polska ocaliła Francyę»,—nietylko ze względu na Francyę rewolucyjną i nieudolną przeciw niej wojnę skonfederowanych królów, ale niemniej na rolę Anglii, teraz na dobre wstępującej w horyzont układów rozbiorowych. Lord Eversley mianowicie, cytując ustępy z oryginalnej korespondencyi lorda Grenville z ambasadorem angielskim w Berlinie, lojalnie przyznaje, że Anglia,

zrazu demonstracyjnie protestująca przeciw projektowi odszkodowania Prus kosztem Polski za udział w wojnie francuskiej, niebawem jednak zmienia swe stanowisko i wyraźnie oświadcza, iż «czynnie się nie sprzeciwi wykonaniu» takiego planu. Słusznie dodaje lord Eversley: «Trudno wobec takich okoliczności uwolnić Pitta i jego rząd od części odpowiedzialności za upadek i podział Polski». Gdy tak postępuje rząd, opozycya pod wodzą Foxa często deklamuje o krzywdach, dokonanych na Polsce bez protestu ze strony Anglii, ale posługuje się tym faktem jedynie jako argumentem w dyskusyi, by udowodnić, że przeciwnicy rewolucyjnej Francyi, pragnący wciągnąć Anglię do wojny przeciwko niej, sami nie gorsze mają apetyty ekspansyjne od tych, jakie przypisywano młodej republice w stosunku do Holandyi. Nie omieszkał lord Eversley zacytować i tego, co największy myśliciel polityczny ówczesnej Anglii, Edmund Burke, powiedział w dyskusyi nad wnioskami Foxa: «Jakiekolwiek byłyby moje uczucia w sprawie Polski, uważałbym za rzecz mądrą trzymać język za zębami, bo czyż jest możliwe dla Wielkiej Brytanii wojować przeciw Austryi, Rosyi i Prusom z jedną tylko sojusznicą — Francyą?» A dalej: «Podział Polski może dałby się tak uskutecznić, żeby nie zniszczyć, ani nawet nie naruszyć równowagi sił w Europie».

Nie zdziwią nas takie opinie, gdy w sprawie Francyi samej słyszymy na konferencyi jenerałów i dyplomatów koalicyi w Antwerpii oświadczenie lorda Auckland, że «przywrócenie porządku nie interesuje go bynajmniej», że «życzeniem Anglii jest sprowadzić Francyę do czystego zera politycznego», że «każde z mocarstw koalicyi powinno starać się czynić podboje i zatrzymać swą zdobycz».

Taksamo myśleli—choć nie tak wyraźnie mówili— mniejwięcej wszyscy. Otóż Prusy, postawione jak osiołek w bajce między owsem w dalekiej Francyi a sianem w bliższej Polsce, całkiem zrozumiałym sposobem wybierają tę ostatnią, przenoszą znaczną część swych sił z zachodniego teatru na wschodni i przez to dezorganizują całą kampanię koalicyjną, prowadzoną zresztą i przez Anglików oszczędnie i dość niedołężnie. Prusy swoją drogą biorą znaczne pieniądze od Anglii za udział w kampanii francuskiej — 1.200,000 funtów w ciągu pięciu miesięcy — a swoją drogą wysyłają wojska do Polski zamiast na front zachodni. W ten zgoła niepoetyczny

sposób angielskie złoto przyczyniło się do podziału Polski, a Polska «ocaliła Francyę»—jedno i drugie przez pośrednictwo mądrego Berlina. Za przykładem Prus poszła zresztą Austrya, rozmyślnie poświęcając na zagładę wojska brytyjskie w bitwie pod Tourcoing, i kosztem Belgii kupując możność wzbogacenia się częścią Polski. O ile widoczna czułość lorda Eversleya na straty, jakie specyalnie Anglia ponosi wskutek tych manewrów Prus i Austryi, zbyt silnie do naszego serca nie apeluje, bo wiemy, jak Anglia ostatecznie wyszła na kilkunastu latach wojny z Francyą,—o tyle z drugiej strony sumienność historyczna, z jaką autor rejestruje ciasne poglądy naczelnych polityków angielskich w dobie rozbiorowej na sprawę polską, musi budzić szacunek, i życzyć tylko można, by znalazła odpowiednik praktyczny w sumieniu współczesnych brytyjskich dyplomatów. Niestety, lordowi Eversley, spełniającemu swe zadanie dzielnie i szczerze do końca, wypadło zaznaczyć i to, jak bezpowrotnie związało dyplomacyę angielską owo pierwotne stanowisko. Opowiadając o kongresie wiedeńskim, cytuje instrukcye rządu dla lorda Castlereagh, w których spotykamy zdanie:

> «Jakkolwiek niesprawiedliwe mogły być rozbiory Polski, jeżeli raz ze względów rozsądku uznaliśmy za rzecz niewykonalną lub niepraktyczną sprzeciwiać się im w czasie, gdy ich dokonano, nie możemy mieć prawa po upływie pięciu, dziesięciu lub dwudziestu lat wymagać od mocarstw rozczłonkowania prowincyi które sobie wtedy przywłaszczyły, i które stanowiły ich część przez przeciąg okresu, gdyśmy byli w pokoju z niemi wszystkiemi, a w sojuszu z niektóremi z nich».

W myśl tych wskazówek też przedstawiciel Anglii na kongresie nawet wprost broni działów rozbiorowych Austryi i Prus przeciw Rosyi, obstając jedynie za autonomią dzielnicową, którą też uroczyście, acz w niezbyt wyraźnych formach, zagwarantowano. O wiele lat później, gdy wszystkie te gwarancye już wielokrotnie były złamane, lord Palmerston oświadczył w Izbie Gmin, że Anglia ma prawo do czynnej interwencyi z powodu naruszenia postanowień kongresu wiedeńskiego, ale niema do niej pozytywnego obowiązku,—i ta deklaracya ostatecznie uspokoiła sumienie wybrańców narodu brytyjskiego. Inaczej w tej Izbie mówiono o naruszeniu międzynarodowych gwarancyi w bliższym nam momencie dziejów, gdy chodziło o bliższy Anglii kraj na kontynencie.

* * *

Lord Eversley objął swą pracą także historyę tej wskrzeszonej Polski *en miniature*, jaką było Księstwo Warszawskie, i tego czwartego rozbioru, jakim był kongres wiedeński. Autor uwydatnia przedewszystkiem słabe i niepewne postawienie sprawy polskiej przez Napoleona w pierwszej fazie. Napoleon był poprostu «bez polityki» *(without a policy)* w tej sprawie, gdy się pierwszy raz z nią zetknął; mógł wszakże proklamować odrazu niepodległość Polski w całej rozciągłości i uderzyć w ten sposób jak taranem w Rosyę, z którą przecież walna rozprawa nadejść musiała. Cesarz wolał poprzestać na bladem i połowicznem załatwieniu. Już to widmo spotkania się oko w oko z całą potęgą Rosyi niewątpliwie długo przed r. 1812 go niepokoiło, i tendencya uchylenia tego wielkiego obrachunku, lub w ostateczności jego odłożenia, oczywista jest w całej historyi jego dyplomacyi, a w szczególności jego stanowiska wobec nadziei naszego narodu—nawet jeszcze w czasie «drugiej wojny polskiej». Samo stworzenie tej czysto strategicznej placówki, jaką było Księstwo Warszawskie, zamiast tej politycznej siły, jaką byłaby niepodległa Polska, świadczy wyraźnie, jak «wielka niewiadoma» na północnym Wschodzie zamąca przenikliwy i daleki w innych wypadkach wzrok Cezara. Napoleon na wysunięty w r. 1810 przez Rosyę projekt konwencyi, mającej pogrzebać raz na zawsze myśl odbudowania Polski, odpowiada odmownie tylko dlatego, że «nie może przyjmować na siebie gwarancyi przeciw takiemu faktowi, który mógłby zajść wbrew jego woli, a taksamo wbrew woli Rosyi»; może tylko «zobowiązać się, że ani wprost, ani pośrednio współdziałać nie będzie odbudowaniu Polski» [1]). Z okiem widocznie na Rosyi, której cały czas spokoju nie daje «widziadło powstającego z martwych państwa polskiego» [2]), cesarz nawet w poufnych notatkach dla użytku ministra spraw zagranicznych dowodzi, że byłoby z jego strony «donkiszoteryą» zabierać się do wskrzeszenia Polski, że on nie będzie się z lekkiem sercem zapuszczał głęboko na północ i ryzykował ogromnej awantury,

---

[1]) G. E. Afanasjew, «Napoleon i Aleksandr. Priczyny wojny 1812 goda» (Kijów, 1912), str. 30.

[2]) Tamże, str. 57.

tylko by sobie sprawić przyjemność skruszenia łańcuchów narodu i zgładzenia zbrodni minionego wieku [1]). Tak ostrożne liczenie się z najczulszą stroną polityki rosyjskiej stoi w jaskrawem przeciwieństwie do zwykłej bezwzględności i piorunującej energii, z jąką władca Europy rozstrzygał wiekowe i skomplikowane zagadnienia narodowo-państwowe; przypomnijmy sobie choćby śmiały i genialny akt stworzenia zjednoczonej Illiryi, czyn doraźny, prześcigający najodważniejsze rojenia późniejszych dyplomatów i dynastów. Trudno więc nie uznać stanowiska Napoleona wobec Rosyi z całą oględnością jednak za trwożliwie-niepewne, i w tym punkcie może wolno— w tym jedynym chyba można—widzieć określony rys słabości w posągowej postaci korsykanina.

Oczywiste dalej, że Napoleon o dziejowych antecedencyach i geograficznych podstawach sprawy polskiej w chwili, gdy pierwszy raz miał z nią do czynienia, posiadał nader niejasne pojęcia. Chwyta przygodne, dorywcze wiadomości swoim sposobem, gdzie tylko i kiedy zasięgnąć je może: w r. 1806 młody szlachcic poznański, kandydat na oficera, Chłapowski — jak sam opowiedział w pamiętnikach — na pierwszym półgodzinnym obiedzie w kwaterze głównej odpowiadać musi na istny grad elementarnych pytań: «o Litwie cesarz nic nie wiedział, ani tego nawet, jakim sposobem się z Rzpltą połączyła... Wogóle naszą historyę mało znał, a pruską, jak mi się wydawało, tylko od Fryderyka II... O stan chłopów także się pytał. Opowiadać sobie obszernie kazał, jak Prusy Książęce elektorowi brandenburskiemu się dostały» [2]).

Na epokę Księstwa Warszawskiego, którą nauczyliśmy się cenić tak wysoko, jako okres wspaniałego wytężenia wszystkich energii narodowych, autor angielski — może nie bez domieszki narodowego uprzedzenia przeciw Bonapartemu i wszelkim jego tworom — patrzy wyłącznie z pesymistycznego, materyalnego punktu widzenia, jako na lata strasznej nędzy i wyczerpania. To typowo angielskie uwydatnienie momentu ekonomicznego z pominięciem moralnych szkodzi całemu ujęciu tematu i—jeśli wolno wobec książki naukowej użyć takiego wyrazu—ideowemu celowi książki. Wszakże włączenie do

---

[1]) Afanasjew, str. 31.

[2]) Szymon Askenazy, «Wczasy historyczne» (Warszawa, 1902) str. 89.

monografii o rozbiorach Polski także dziejów Księstwa Warszawskiego i doby Królestwa Kongresowego ten tylko sens mieć może, by dla wszechstronnego zaokrąglenia tematu,—postawionemu z obowiązku na początek obrazowi anarchii indywidualistycznej w dawnej szlacheckiej Polsce,—przeciwstawić w tych dwóch krótkich epizodach owocnego naprężenia twórczych sił społeczeństwa najświetniejsze w naszych dziejach porozbiorowych dowody zdolności do organicznego bytu politycznego.

Lord Eversley jednak, jak każdy dzisiejszy Anglik, przywykł myśleć w formułach imperyalistycznych i federalnych raczej, niż seperatystycznych i narodowych; to też możliwa przyszłość Polski przedstawia mu się jako *Home Rule* o typie angielsko-irlandzkim i w tym duchu także kreśli on w ostatnim swym rozdziale—zresztą nader szczerze, dosadnie i naogół trafnie — krótką historyę trzech zaborów w ostatnich stu latach. Tutaj, jak i w całej książce, miłe wrażenie wywiera nadewszystko upodobanie autora — rzadkie w traktowaniu tak drażliwych politycznie przedmiotów — do nazywania rzeczy po imieniu. Wybrane z historyi fakty opowiada w jaknajprostszych słowach, bez wymownych osłonek, nie nazywa czarnego «popielate», ani białego «szare». Jest zjawiskiem, godnem najlepszych tradycyi angielskich, że książka, traktująca takim stylem o takim aktualnym temacie, mogła się ukazać w Londynie w czasie obecnej wojny.

* * *

Książce lorda Eversleya, zbyt ryczałtowo czerpiącej z dzieł Sybela i Sorela, fachowa krytyka historyczna zapewne niejedno wytknąćby mogła. Czytelnik nie-specyalista skłonny jednak będzie, mimo przejrzystości i żywości wykładu, przykro odczuwać pewien brak syntetycznego ujęcia przedmiotu. Nie dość silnie i konsekwentnie mianowicie uwydatnia się w tej pracy wielkie historyczne przeciwieństwo między ideą rozbiorową a imperyalistyczną koncepcyą zjednoczenia ziem polskich pod berłem Rosyi. A wszakże ta myśl Piotra Wielkiego jak nić czerwona snuje się przez dalszą historyę stosunków rosyjsko-polskich. Przejmuje ją w dziedzictwie ideowem Katarzyna II i stale się nią kieruje; niezdołała jej atoli urzeczywistnić. Wznawia ją w pamiętnej naszych dziejów chwili Adam Czartoryski jako minister rosyjski;

płonie ku niej zapałem, nie owocnym w stanowcze czyny, hamletowska natura Aleksandra I w drugim krytycznym momencie. I w naszych czasach znów zamarzono o jej ucieleśnieniu.

W takiej perspektywie historycznej nabiera właściwego znaczenia przyjęte określenie, że głównym winowajcą i inicyatorem podziału Polski jest państwo pruskie. Istotnie w praktyce rozbiory okazują się, jako zwycięstwo idei Fryderycyańskiej nad Piotrową. Z punktu widzenia państwowości rosyjskiej rozbiory Polski niewątpliwie stanowią tylko *pis-aller*, tak samo, jak w innym kierunku geograficznym, takiem *pis-aller* było później powstanie państewek słowiańskich na Bałkanach zamiast upragnionego zawojowania Konstantynopola i cieśnin.

II.

Profesor Alison Phillips na samym początku swej pracy[1]) stwierdza szczupłość angielskiej literatury o kwestyi polskiej, a w szczególności o nowszych fazach naszych dziejów porozbiorowych. «Nawet dla wykształconego Anglika historya Polaków kończy się faktycznie na roku 1864». Że zaś właśnie rozwój wypadków od ostatniego powstania poznać trzeba, by zrozumieć współczesny stan sprawy, więc nadewszystko tę lukę autor postanowił wypełnić. Z trzynastu rozdziałów swej książki, aż dziesięć poświęcił historyi od czasów pierwszego rozbioru — z tego cztery czasom po r. 1863 — a tylko trzy początkom, ekspansyi i ustrojowi państwa polskiego.

Do zadania swego historyk dubliński przysposobiony jest niezwykle dobrze. Zna język polski[2]); zoryentował się trafnie w źródłach do dziejów naszej myśli politycznej, szczególnie z ostatnich dziesięcioleci; w krótkiej bibliografii na końcu swej pracy daje dowód wyczerpującego oczytania[3]) i krytycznego zmysłu; sam zresztą w

---

[1]) «Poland», by W. Alison Phillips, M. A., Lecky Professor of Modern History in the University of Dublin. «Home University Library», London, Williams & Norgate, 1915, str. 250; cena 1 szyling. Książka zawiera dwie mapki.

[2]) Nazwiska i tytuły polskie -prócz dwóch małych błędów (R a m o n Dmowski i arcybiskup F i l e n s k i)—cytuje w poprawnej pisowni, co w dziełach angielskich jest rzadkością. Lord Eversley np. generała Józefa Zajączka stale nazywa «Zajonezsk».

[3]) Cytuje nawet książki i artykuły, drukowane w Niemczech już w czasie wojny.

niej figuruje jako autor angielskiej monografii o stosunku cesarza Aleksandra I do Polaków [1]).

Już w tych niedługich rozdziałach, jakie autor poświęcił dziejom dawniejszym, oko jego bacznie jest zwrócone na sprawy żywe i bieżące. Rzucając kilka zasadniczych wiadomości o początkach Słowian i ich organizacyach politycznych, oraz o zaprowadzeniu wśród nich wiary chrześcijańskiej, nie gubi się w odmętach czysto archeologicznych spekulacyi, tylko zaraz z naciskiem uwydatnia w przystępnych angielskiemu czytelnikowi terminach i określa podstawowe przeciwieństwo między łacinsko-rzymską kulturą religijną Polski, a bizantyńską Rosyi, jako «*crux* kwestyi polskiej, o ile chodzi o stosunki między Polakami a Rosyanami». — Krzyżactwo, Litwa, Kozaczyzna — to główne czynniki, których historyczny stosunek do Polski jasno i bezstronnie przedstawia rozdział, zatytułowany «Ekspansya Polski». Już tu jednak autor niezupełnie docenia siłę asymilacyjną państwa polskiego i intensywność tej «pokojowej penetracyi», jakiej stopniowo podległa Litwa. To nieco szablonowe pojęcie rozrostu Polski jeszcze bardziej się uwydatnia w rozdziale o wewnętrznej strukturze polskiego organizmu politycznego. Spotykamy się z tezą, że Polacy «nigdy nie zdołali rozwinąć prawdziwej świadomości narodowej» i że upaść musiało państwo, które żyło wyłącznie podbojem i pragnieniem władzy. Polacy w swej polityce wobec podbitych narodowości mieli być podobni raczej do Turków i do Madziarów niż do Franków w Gallii i Normanów w Anglii. Atoli tę dosadną krytykę polityki narodowościowej państwa polskiego słyszymy tylko na początku i na końcu rozdziału, a treść jego wypełnia jedynie bolesny, a dobrze nam znany obraz tego zlegalizowanego warcholstwa, jakiem była konstytucya Rzeczypospolitej szlacheckiej. Uznając usilne dążenie autora do bezstronności i gorliwe staranie o dotarcie do istotnych przyczyn tragedyi dziejowej, nie można go jednak uwolnić od zarzutu zbyt monograficznego traktowania tematu: na dążenia ekspansyjne dawnej Polski tak się zapatrzył, jakby to było jedyne tego rodzaju zjawisko na teatrze ówczesnej Europy; zaś mieszając sofistycznie politykę stanową szlachty z uciskiem narodowościowym, tworzy obraz niezgodny z rzeczywistymi kulturalnymi owocami hegemonii polskiej na Litwie i Rusi. Fenomeny jak Mic-

[1]) The Confederation of Europe, 1914.

kiewicza i Kościuszkę takie przedstawienie rzeczy pozostawia niewyjaśnionymi wyjątkami, a wiemy przecież, że pod względem narodowym stanowią oni raczej typowe przykłady. Więcej kosmopolitycznym w swych ogólnych poglądach historycznych okazał się lord Eversley, gdy na początku swej książki o rozbiorach stwierdził, że uznanie narodowości jako ważnego pierwiastka w państwie jest rzeczą niedawnych czasów, że jeszcze w pierwszej połowie XIX wieku niewiele dbano o jedność narodową i językową w tworzeniu państw, że nie dbali o nią Habsburgowie i Burboni, Hohenzollerny i Romanowy, gdy się starali o zaokrąglenie swych terytoryów, pozyskanie ważnych strategicznych punktów lub dostępu do morza. Historyczna geneza monarchii Jagiellońskiej nie jest tedy niczem odosobnionem ani odbijającem od procesów dziejowych w innych stronach Europy. Trzeba raczej z naciskiem zaznaczyć — jak to niejednokrotnie w ostatnich czasach stwierdziło nasze dziejopisarstwo — że postępowanie Polski z przyłączonymi narodami niejednokrotnie bardziej się zbliżało do spełnienia wymagań dzisiejszego nacyonalizmu, niż polityka dynastyczna w innych krajach. Profesor Phillips, przeciwstawiający Polsce normandzką Anglię, wie chyba, że zarówno rządy normandzkie w Anglii, jak angielskie w Irlandyi były dziełem nie czego innego, jak właśnie zbrojnego podboju i, co ważniejsza, charakter podboju przez całe stulecia zachowywały. Autora w tym wypadku z drogi ku słusznej ocenie spraw narodowościowych w dawnej Rzpltej zwiodła oczywiste na wielu kartach tych jego pierwszych rozdziałów dążność do historycznego uzasadnienia owszych usiłowań rządów zaborczych nad odwróceniem przemian, dokonanych przez wieki pokojowego pożycia ludów.

Daleko trafniejszymi wydać się muszą poglądy autora na historyę wyznaniową niepodległej Polski. Znacznie lepiej od wielu angielskich autorów, zwykle nieco krępowanych anty-rzymską tradycyą kościoła narodowego, zrozumiał związanie polskości z katolicyzmem jako fakt może poniekąd fatalny, ale niezaprzeczony i doniosły daleko poza granicami spraw religijnych. Prawie bez zastrzeżeń za słuszne streszczenie genezy tego ścisłego związku uznać trzeba lapidarne zdania:

«Do czasów Reformacyi wiara katolicka trzymała się Polaków dość lekko; nie okazali nic z tej misyonarskiej gorliwości, która cechowała Rosyan; a w ciągu XVI wie-

ku protestantyzm robił wśród nich takie postępy, iż zdawało się, że zostanie ich religią narodową. Ale to się zmieniło, gdy w r. 1565 król Zygmunt II przyjął uchwały soboru trydenckiego i wezwał Jezuitów do przywrócenia wiary w Królestwie. Ich powodzenie wprowadziło nowy, mniej tolerancki typ katolicyzmu i wzmocniło antagonizm pomiędzy Rosyanami a Polakami, dodając świeży motyw nienawiści religijnej. Odtąd katolicyzm stał się dla Polaków tem, czem prawosławie już dawno było dla Rosyan: godłem i rękojmią ich narodowej jedności i plemiennego zwierzchnictwa».

Na podstawie takiego pojęcia rzeczy autor znajduje drogę wśród labiryntu sporów pozornie kościelnych na początku panowania Stanisława Augusta, gdy to Katarzyna II figuruje w pięknej liberalnej roli oswobodzicielki mniejszości religijnych w Polsce, a konfederaci barscy powierzchownemu obserwatorowi niezbyt korzystnie przedstawiać się mogą, jako ostatni rycerze fanatyzmu katolickiego i alianci zgnuśniałego Islamu. Autor nie zapomina, że w gruncie chodzi wciąż poprostu o byt Polski; szczególnie wczuć się potrafił w tragiczną rolę Czartoryskich, których niegasnąca zawiść rywalizujących z nimi magnackich rodów przeciw ich ambitnym, ale bądź co bądź reformatorskim poczynaniom ostatecznie rzuca w objęcia Rosyi.

Podobna illuzya jak w dziedzinie wyznaniowej, grozi obcemu badaczowi i przy rozpatrywaniu usiłowań nad naprawą Rzpltej po pierwszym rozbiorze. I tu partya republikańska, broniąca staropolskich swobód, mogłaby łudzić cudze oko maską demokratycznej wolności, a monarchiści wydawać się mogą obrońcami anty-konstytucyjnej autokracyi, jak Barszczanie—katolickiej reakcyi. Oczywiście, kto zna istotę starej demokracyi szlacheckiej, ani na chwilę złudzeniom takim nie ulegnie; i profesor Phillips z uśmiechem mimo nich przechodzi, wspominając o monarchicznem stanowisku, jakie ostatecznie zajął «jakóbin» Kołłątaj, lub o «stylu mówców Rewolucyi francuskiej» na ustach Targowiczan.

Już w sumarycznym obrazie dziejów Księstwa Warszawskiego pierwsze miejsce zajmują plany Aleksandra Czartoryskiego, niż czyny Dąbrowskiego i Napoleona, choć niebrak skrupulatnego uznania dla kulturalnych dobrodziejstw konstytucyi francuskiej i kodeksu napoleońskiego. Tem więcej uwagi poświęca autor dobie Królestwa Kongresowego, tak wielce doniosłej dla dalszego

rozwoju stosunków polsko-rosyjskich, i tak pouczającej w tym względzie dla jednej i dla drugiej strony. Fatalna połowiczność załatwienia sprawy polskiej przez kongres wiedeński, zarodki niepokoju w nadanej Królestwu Kongresowemu konstytucyi, niefortunna ręka Aleksandra w sprawach personalnych—wszystko to stwierdzone tu jest w tonie dobitnym i stanowczym, który powinien głośno dźwięczeć w uszach tych dzisiejszych polityków, co nie wolą rozmyślnie być głuchymi; i można autorowi, tak przemawiającemu, darować próżność narodową, z jaką podnosi proroczą słuszność powątpiewań lorda Castlereagh, ktory nie radził pozostawiać kwestyi polskiej przez kompromisowe jej zbycie w stanie «otwartej rany», i przepowiadał. że system pomysłu Aleksandra «będzie albo rozmyślnie zburzony, albo zginie z ręki jego następcy».

Krytykując krótkowidztwo polityki petersburskiej, autor bynajmniej dlatego nie oszczędza Polaków; nie waha się zaznaczyć, że «niezbyt pedantyczny wzgląd na konstytucyjne swobody» Polski kongresowej w praktyce przynosił nienajgorsze owoce, bo wszakże i znamienite sukcesy polityki finansowej Lubeckiego osiągnięte były w wielkiej mierze środkami niekonstytucyjnymi. Znowu tu więc, jak tyle razy w dziejach naszej niewoli, spotykamy się z tą ironią historyi, która po jednej stronie stawia blade widma pięknych ideałów, a po drugiej rzeczywistość konkretnych dóbr narodowych; i znowu. jak w tylu wypadkach, sumienie polskie zatrzymuje się na karcie historyi z zapytaniem, czy choć dzisiaj wątpliwości być nie może, iż doroślismy do wolności, skoro nieraz już po rozbiorach nie była ona dla nas bynajmniej bez zastrzeżeń dobrą i pożądaną. Dziś, chwała Bogu, odpowiedź radosną daje dumne bicie serca, gdy ze wszystkich stron świata słyszymy o doraźnej i skutecznej działalności polskich organizacyi ratunkowych i oświatowych, i o godności ogółu wobec wszelakich syrenich śpiewów.

Syrenim śpiewem, najstalej uszy nasze mamiącym w stuleciu naszych walk o wolność, była Marsylianka. Wiara w *gesta Dei per Francos*, nadzieja pomocy powstaniom z ojczyzny wszechrewolucyi, miłość ku ojczyźnie typowych żywiołów naszej nowoczesnej kultury—to jakby trzy cnoty kardynalne polskich patryotów XIX wieku; i tę nić Aryadny w labiryncie naszych porozbiorowych «oryentacyi» uchwycił pewną ręką brytyjski badacz. Że widzi faktyczne osnowy tej stałej u nas grawi-

tacyi ku Francyi, dowodem sposób, w jaki opowiada o wysiłkach Napoleona III w sprawie Polski w r. 1863: wina tłaska dyplomatycznego spada głównie na Anglię i Austryę, które—jedna «dla zachowania pokoju europejskiego», druga poprostu w myśl przysłowia «Lepszy wróbel w ręku, niż gołąb na sęku»—nie zdecydowały się na silny sojusz przeciw zjednoczonym przez bismarckowską konwencyę Prusom i Rosyi.

Z religią o dogmacie *Ex Occidente lux* w jaskrawem przeciwieństwie stoi słowianofilstwo rosyjskie, którego rozrostem po r. 1831 wypadło autorowi bliżej się zająć. Uczony angielski, charakteryzując jego idee podstawowe dosadnie jako *arrant nonsense* i *utter perversion of history*, jednak nie zapoznaje ogromnego historycznego znaczenia tego czynnika, a w szczególności jego roli w stosunkach rosyjsko-polskich. Plątanina kombinacyi i teoryi politycznych od projektu konfederacyi słowiańskiej, z którym występuje Czartoryski w r. 1806, do memoryałów Wielopolskiego objaśnia się faktem, że Polacy, jak wyraża się autor, często posługują się ideą słowiańską jako środkiem dla swoich celów; nawet allegoryę «Konrada Wallenroda» autor wyłącznie tak pojmuje. Nic natomiast nie słyszymy o pokrewieństwie między mesyanizmem słowianofilskich marzycieli a naszym polskim, o późniejszych poglądach Mickiewicza na dziejową rolę Słowiańszczyzny, wogóle o paryskiej Emigracyi i prądach ją nurtujących—może dlatego, że autor świadomie się ogranicza do historyi politycznej w ściślejszem znaczeniu słowa i cały czas zajęty jest tem, co pod panowaniem Mikołaja I działo się w samym kraju. A co się tam działo wtedy i później, opowiada istotnie, jak na męża nauki przystało. Nic w języku angielskim nie da może filistrowi brytyjskiemu tak żywego pojęcia o okropnościach powstania styczniowego, jak podana tutaj w kilku krótkich zdaniach jego charakterystyka [1]). Niemniej trafne jest zwięzłe określenie polityki Berga i jego następców jako «towarzyskiego zjednania w połączeniu z politycznym uciskiem». To istotnie wyczerpująco definiuje system, kto-

[1]) Niemniej jaskrawie na kilku drastycznych przykładach przedstawione są okrucieństwa pruskie przy stłumieniu powstania 1848 r w Poznańskiem.

Ze zwykłą swą skrupulatną neutralnością nie zapomina autor i tego zaznaczyć, że wojna podjazdowa 1863 r. nacechowana była *by frightful barbarity* z obu stron, i że terror żandarmeryi narodowej w Warszawie był skutecznym środkiem podtrzymywania akcyi powstańczej.

rego wynikiem był rozkwit salonów i teatrów równomiernie z zanikiem autonomii i pierwiastku narodowego w administracyi, sądzie i szkole. Ale prócz salonów i teatrów, wyścigów i wystaw jest praca organiczna, pozytywizm, socyalizm, uprzemysłowienie, akcya oświatowa, uświadomienie chłopa, wreszcie narodowa demokracya i neoslawizm, sądy wojenne i wzmocniona ochrona, nowy irredentyzm i agitacya militarna Piłsudzkiego: wszystko to—nie wyłączając milutyńskiego ustroju wsi polskiej, rozwoju idei ukraińskiej w Rosyi i bolesnych dziejów unickich—przesuwa się w należytych proporcyach i barwach przed naszemi oczyma w kalejdoskopie pouczającej książki angielskiej. Ten jej rozdział—*The Russification of Poland*—bodaj czy nie najchlubniej świadczy nietylko o sumienności, lecz i o intuicyi historycznej dublińskiego profesora. Co prawda porównanie z nim w zupełności wytrzymują dwa następne—«Prusy i Polacy», «Austrya i Polacy»,—aleć też przynajmniej w pierwszym z nich przedmiot daleko mniej przedstawia komplikacyi i łatwiejszy jest do opanowania, bo przecież ani polityka rządu ani polityka Polaków pod zaborem pruskim nie znała tych metamorfoz i zwrotów, tych wielkich nadziei, a więc i tych zawodów, jakie przeżywało Królestwo; nie było tam tyle lirycznego elementu i dramatycznych perypetyi. I w tej dziedzinie autor niewzruszenie przestrzega zasady *Audiatur et altera pars:* rozumie znaczenie linii Wisły dla państwa pruskiego, zna jako historyk rolę kultury niemieckiej w średniowiecznej Polsce, opowiada o pojednawczych początkach polityki polskiej Prus po kongresie wiedeńskim; zaznacza wreszcie, że zmianę właściwie spowodował udział Poznańczyków w powstaniu listopadowem, i że koncesye króla Fryderyka Wilhelma IV wobec rewolucyjnego nastroju w kraju (i w całej Europie) skazane były zgóry na bezowocność. Trafnie uchwycił prof. Phillips identyczność historycznego rozwoju demokratyzacyi naszego społeczeństwa pod obu zaborami—pruskim i rosyjskim: i tu i tam chłop polski, kaptowany przez agrarne reformy rządów, ostatecznie wyrasta na świadomego obrońcę interesów narodowych. Sukcesy zdemokratyzowanego społeczeństwa poznańskiej dzielnicy w natężonej walce o byt autor roztacza przed nami w całej ich okazałości, nie zapominając i o tych głosach potępienia, jakie rozlegały się z liberalnych kół niemieckich przeciw polityce junkierskiej. Nie omieszkał też dodać i tego, że główne zalety narodu niemieckiego—

sumienność i dokładność—zastosowane do tępienia polskości, skuteczniej temu celowi służyły, niż słowiańska niedbałość i tradycyjna przekupność, które łagodziły analogiczne działanie maszyneryi administracyjnej rosyjskiej.

Ze szczególną ciekawością studyujemy rozdział o Austryi i Polakach, bo tu wstępujemy na boisko najsprzeczniejszych chyba i w przedwojennej Europie sądów i ocen politycznych. Possybilizm polityczny twórców konserwatyzmu galicyjskiego—łączący się u nich z wysokim poziomem ideałów narodowych—oczywiście szczególnie trafia do przekonania pisarzowi, wzrosłemu w tradycyach polityki brytyjskiej, w kulcie praktycznych kompromisów. Nie ślepy on z drugiej strony na złe rządy szlacheckie w autonomicznej Galicyi, na zastój ekonomiczny, ciemnotę wsi, zżydzenie miast, niezdolność do zażegnania konfliktu z Rusinami. Kilkakrotne zmiany frontu rządu wiedeńskiego wobec Rusinów w związku z fluktuacyami stosunku Austryi do Rosyi przedstawione są dość szczegółowo jako tło walki polsko-ruskiej. Widząc, jak doskonale dubliński uczony zbadał istotne przedmioty, taktyczne metody i faktyczny przebieg tej walki politycznej, żałować tylko możemy, że drugiej najważniejszej kwestyi w zaborach austryackim i rosyjskim przed wojną,—w perspektywach po-wojennych bezwarunkowo najgroźniejszej,—sprawie żydowskiej, mianowicie—nie poświęcił osobnego rozdziału i wogóle nigdzie szerzej o niej nie mówi. Nawet o wyborze Jagiełły i ruchu bojkotowym w Królestwie niema wzmianki. Ubolewać nad tą luką w tak starannie bezstronnej pracy musimy ze względu na prowadzoną obecnie w Rosyi anty-polską kampanię żydów, której odgłosy zapewne rozległy się i w Anglii. W tym jednym punkcie może przyzwyczajenia obywatela Wielkiej Brytanii, dla którego kwestya żydowska we własnym kraju prawie że nie istnieje, siłą bezwładności wzięły górę nad niestrudzoną zresztą i na ogół tak owocną dbałością autora o sumienne i wszechstronne wniknięcie zarówno w labirynt faktów historyi współczesnej, jako też w psychologię polityczną kraju dla Anglika tak egzotycznego jak Polska.

Rozdział końcowy «Polacy i wojna» może z konieczności być wiązanką nastrojów tylko—nie pragmatyczną konstrukcyą wybranych faktów, jak poprzednie. Umiejętnie w tym sensie autor wyzyskał nietylko artykuły prasy warszawskiej różnych obozów z drugiej połowy

1914 roku, lecz także głosy opinii polskiej z tamtej strony frontu, których dziwnie wiele przez ściany wojsk pochwycić zdołał. Szczególną uwagę poświęcił stanowisku Polaków wschodnio-galicyjskich i wypadkom we Lwowie od września 1914 do czerwca 1915 r.; opinia jego o nich podobna jest do wygłoszonej tak dobitnie w Dumie państwowej opinii Miljukowa.

* * *

Praca profesora Phillipsa jako dzieło sumiennego historyka o rozważnym i spokojnym sądzie, a zarazem wytrawnego literata, umiejętnie dobierającego fakta i harmonijnie budującego całość według zakreślonego zgóry planu, jest prawdziwą ozdobą świetnej seryi podręczników samokształcenia, do której należy. Istotnie w danej chwili sprawa polska w *Home University Library* nie mogła być lepiej reprezentowaną. Powaga i godność naukowa tonu, połączenie bezustannego starania o bezstronność ze spokojną dobitnością w wyrażaniu zdobytych przez badawczą pracę zapatrywań, dążenie do widzenia zjawisk i zagadnień dnia w perspektywie historycznej— wszystkie te zalety podwójną nadają cenę okoliczności, że oświeca tu Anglików o kwestyi polskiej uczony brytyjski, a nie Polak, który, pisząc «pro domo sua», nie mógłby, szczególnie w obecnych krytycznych czasach, żadną miarą uniknąć zarzutu, że stoi na stanowisku angielskiego przysłowia: «My country—right or wrong!»

Książka Anglika nie jest bynajmniej apologią Polaków, ani też apologią jakiegokolwiek programu załatwienia sprawy polskiej. Ukazuje otwarcie całą jej trudność i zawiłość z punktu widzenia ogólno-europejskiego, i życzyć sobie tylko można w interesie zarówno Polski jak pokoju Europy, by złożony tu materyał faktyczny w podobnej choć w przybliżeniu proporcyi i równowadze przytomny był w świadomości każdego z dyplomatów, co zasiędą około stołu kongresowego po obecnej wojnie światowej.

III.

Uczony oxfordzki p. L. B. Namier, badający specyalnie wszelkie sprawy słowiańskie, napisał książkę, a raczej większą broszurę [1]), poświęconą tezie, że głównej

---

[1]) Lewis B. Namier, B. A., Balliol College, Oxford: «Germany and

przyczyny wielkiej wojny należy szukać, nie, jak sądzą na Zachodzie, w konflikcie między ekspansyą kolonialną Niemiec a zamorskim stanem posiadania Anglii, lecz w antagonizmie germańsko-słowiańskim na Wschodzie Europy i że jako jedyne lekarstwo na powstałe trudności zaleca się podział Austryi celem rekonstrukcyi mapy wschodnio-europejskiej ściśle według zasady narodowości. «Zalecać umiemy wszyscy»—słusznie zauważył we wstępie do książeczki Namiera profesor Fisher — i historya zazwyczaj w swym biegu mało się troszczy o dobre rady ideologów. To też w rozbiorze niniejszym nie tyle nas zajmować będą przewidywania i wskazówki autora, ile jego spostrzeżenia i opinie na temat wiekowego przeciwieństwa niemiecko-słowiańskiego, oraz stanowiska Polaków wśród rodziny słowiańskiej.

*
* *

Przedstawiwszy na drastycznych przykładach silny wpływ niemiecki na wewnętrzną politykę Rosyi od czasów rozbiorowych do najnowszych, Namier do obchodzącej nas bezpośrednio strony przedmiotu dochodzi w rozdziale zatytułowanym «Mocarstwa niemieckie a Panslawizm». Autor odróżnia Panslawizm starszego typu, na podstawie prawosławno-religijnej i nowszy, który nazywa językowym, a którego «przywódcami i pionierami są Czesi». Co do Polaków, ich odrębne stanowisko polega na fakcie, że «oni jedni wśród rzymsko - katolickich słowian nie utracili w ubiegłych wiekach swej klasy wyższej i wykształconej na korzyść jakiegoś obcego narodu»; w ten sposób klęski rozbiorowe i zaranie nowoczesnego nacyonalizmu zastały ich w niezachwianem posiadaniu wytwornej i starej kultury narodowej, zaś Czechów lub Chorwatów nowa era znalazła narodami schłopiałymi, które dopiero z gruzów historyi odgrzebywać musiały cywilizacyę swych dawniejszych stuleci, a narazie stały w świecie bez tradycyi i bez klasy przodującej, jak dziś Rusini. Dzięki takiej kardynalnej różnicy, Polacy istotnie, jak to słusznie stwierdza Namier, w nowszych łazach agitacyi wszechsłowiańskiej odznaczyli się szczególnym brakiem poczucia słowiańskiego i poprostu nawet zainteresowania dla innych narodów słowiańskich. Wszak

---

Eastern Europe». With an Introduction by H. A. L. Fisher, Vice-Chancellor of the University of Sheffield. London, Duckworth & Co., 1915. Str. 128 małej 8-ki

do ostatnich czasów każdego wykształconego Polaka daleko żywiej przejmowało wszystko, co się dzieje w umysłowym świecie Francyi, niż jakiekolwiek sprawy słowiańskie. Niedość jasno tylko Namier uwydatnił, jak zewnętrzne losy polityczne narodu polskiego — mające mało do czynienia z jego poczuciem słowiańskiem lub tegoż brakiem, a spowodowane jedynie geograficznem położeniem — wpłynęły decydująco na konsekwentne i świadome zajmowanie takiego stanowiska. A jednak bez naszego czynnego udziału urzeczywistnienie jakiegolwiek panslawistycznego programu nie jest możliwe, jak to doskonale widzą myśliciele rosyjscy w rodzaju księcia Eugeniusza Trubeckiego.

*
* *

Nowy imperyalizm niemiecki jest obok historycznego stanowiska Polaków drugą i walną przeszkodą na drodze do spełnienia wszechsłowiańskich marzeń. Większy może nacisk niż na cokolwiek innego w książce kładzie autor na myśl, jak zasadniczo odmienny jest ten dzisiejszy imperyalizm od narodowo-państwowej koncepcyi Bismarcka, który ekspansyi na Bałkanach nie forsował i o Niemców *in partibus infidelium* mało się troszczył. «Niemieckiemu systemowi», który w myśl obecnych planów berlińskich ma stanowić ośrodek politycznej konstellacyi europejskiej, poświęcony jest trzeci i główny rozdział pracy Namiera. Słusznie dowodzi autor, że stworzenie imperyum niemieckiego, potężnego na wszystkich morzach i rozciągającego swe wpływy na wszystkie części kuli ziemskiej, jest marzeniem całego narodu niemieckiego, a nie tylko ambicyą kasty junkiersko-wojskowej i że ten ideał nie w skali jedynie, ale całą istotą się różni od prostszych i bliższych celów krzyżackiego *Drang nach Osten*, wcielonego w brutalnej polityce polskiej Bismarcka i jego szkoły. Wilhelm II reprezentuje szkołę zgoła odmienną: tamten «sprusaczył Niemcy», ten już jest na odwrót «zniemczonym Prusakiem»; to znaczy, że jego polityka jest «pruską w metodach, a wszechniemiecką w swej ideologji i celach». I zdaniem autora właśnie w tem rozproszeniu wysiłków po całym światowym teatrze niemieckich ambicyi, zamiast bismarckowskiego ich ograniczenia do jednego w każdej danej chwili przedmiotu i kierunku, tkwi zarodek niepowodzenia; prognoza to z punktu widzenia koalicyi, wojującej przeciw Niemcom

o przywrócenie równowagi europejskiej, całkiem naturalna; czy i trafna — to wciąż jeszcze Θεῶν γούνασι κεῖται.

Że w każdym razie dalsze kroki na drodze wojującego imperyalizmu nie były czysto agresywne, a stanowiły raczej «kontr-ataki» w obronie rozrzuconych po całej wschodniej Europie wysp i wysepek niemieckich, to na podstawie dobrej znajomości niemieckiego ruchu kolonizacyjnego doskonale ocenił rozważny obserwator angielski. Typowo bismarckowskim, a zgoła niezgodnym z dzisiejszą niemiecką ambicyą manewrem odwrotnym było ściąganie forpocztów niemieckich z Galicyi, Wołynia i południowej Rosyi przez komisyę kolonizacyjną do Poznańskiego celem konsolidacyi sił na ciaśniejszym terenie i ocalenia owych straceńców. Wilhelm II wolał nie pójść za przykładem tych imperatorów rzymskich, którzy cofnęli legiony z Brytanii, i znalazł się na stanowisku, skąd naprzód iść — niebezpiecznie, ale nazad — nie można.

Rzadko chyba w całej obecnej publicystyce wojennej spotkać można tak głębokie i spokojne zrozumienie pozycyi przeciwnika. Ale że Anglik potrafił sprawiedliwie ocenić psychologiczne sprężyny i logiczną konieczność polityki swego głównego wroga, to nas Polaków mniej interesować może, niż kwestya, czy w całej pełni pojął położenie nasze, które chyba nigdy w dziejach tak doskonale się nie zamykało w ramach przysłowiowego określenia «między młotem a kowadłem».

Otóż zdaniem Namiera gwarancyą ocalenia wspomnianych przed chwilą awanpostów niemieckich, rozsianych po wschodniej Europie, jest po pierwsze fakt, że żyje tam dwanaście narodów — wśród nich Polacy — bez samodzielnego bytu państwowego, powtóre zaś — egzystencya monarchii austryacko-węgierskiej, jako materyalnej podstawy do ratowania odciętych braci i do dalszej ekspansyi niemieckiej. Tylko taki anormalny *status quo* we wschodniej Europie jest warunkiem bezpiecznej egzystencyi takich anomalii jak niemieckie kolonie i enklawy. Że można odwrotnie patrzyć na Austryę, jako jedyny ustrój dający możność bytu małym narodowościom słowiańskim w rodzaju Słoweńców,—to już nie przyszło na myśl angielskiemu publicyście. Bardziej zbliska patrzył na rzeczy ów światły Rosyanin, który już podczas obecnej wojny orzekł, że Austryę, jak Pana Boga według sławnej recepty Voltaire'a, trzebaby stworzyć, gdyby jej nie było. Niepodległe Czechy, oblane oceanem niemiec-

kim, nie byłyby w położeniu znacznie lepszem od którejkolwiek z wysp niemieckich na Wschodzie, tonących wśród fal słowiaństwa.

«Bezsensowną gadaniną» odważnie nazywa Namier angielskie deklamacye o «zgnieceniu niemieckiego militaryzmu». Tak samo łudzą się ci Niemcy, którzy sądzą, że w angielskiej partyi robotniczej mają przyjaciół, a wrogów tylko w sir Edwardzie Grey'u i kilku jego wspólnikach. Namier posuwa się nawet dalej: bezlitośnie burzy illuzye tych, co po wojnie spodziewają się moralnego przewrotu w Niemczech (i, dodajmy, dziś, w rok blisko po wydaniu książki, widzą jego zadatek w zapowiedzianej reformie prawa wyborczego do Sejmu pruskiego). Militaryzm obecnie jest integralną częścią niemieckiego na świat poglądu, poprostu jednym z przedmiotów religii tego dyscyplinowanego narodu.

Cóż więc wojna może mieć za wyższy, ogolno-ludzki cel, poza aspiracyami—mniej lub więcej uzasadnionemi—walczących państw i cierpiących narodów? Na to pytanie, które nieraz w ciągu końcowego rozdziału groźnie mu swe lico Meduzy ukazuje, autor o tak wytrawnym zmyśle historycznym, a zatem i tak rozwiniętym sceptycyzmie, konstruktywnej, optymistycznej odpowiedzi dać nie może. Zbyt wyraźnie ma przed oczyma dziejową lekcyę upadku hegemonii europejskiej Napoleona III. Do najbardziej udatnych partyi książki należy parallela między ambitnym synowcem Cezara korsykańskiego a wnukiem twórcy nowoczesnych Niemiec, ich zamysłami i metodami. Bez względu na kwestyę, czy analogia ta pozostanie ścisłą do końca, Namier poza *pia desideria* pewnych zmian na mapie Europy wyjść nie zdołał. Książkę tak bogatą w ciekawe i głębokie myśli na temat psychologii narodów i rozwoju koncepcyi imperyalistycznych zamykamy z poczuciem żywej wdzięczności dla uczonego, co dał nam tyle cennych szczegółowych informacyi i tyle materyału do refleksyi, ale bez tej ulgi duchowej—bez tej κάθαρσις arystotelesowskiej—jaką daje przyjęcie w umysł każdej twórczej syntezy myślowej o treści ogólno-ludzkiej. Wdzięczni szczególnie powinni mu być jego rodacy, co tak mało o etnograficznej strukturze i politycznych zagadnieniach wschodniej Europy wiedzą; —niemniej wdzięczny i Polak za to, że tak trafnie wyjaśnił pewne rysy naszej psychiki, które budziły i budzą zdziwienie, a nawet oburzenie u ludzi płytkich, historycznie nieuświadomionych, i łatwo zwodzonych głośne-

mi hasłami. Wdzięczny wreszcie byłby mu każdy światły Niemiec, gdyby teraz mógł czytać tę książkę, nie tyle za to, że orzeka się stanowczo za nietykolnością etnograficznych Niemiec, ile za subtelne wniknięcie w genezę i logikę imperyalistycznego patryotyzmu niemieckiego. Ale mało wdzięczności będziemy dlań mieli wszyscy razem za poczucie beznadziejnej zawiłości i pozornej bezcelowości gry sił politycznych w świecie, jakie pozostawiają wszystkie rozsnute w tej rozprawie tak umiejętnie historyozoficzne kombinacye i socyologiczne porównania. Niezałatwiony pozostaje dylemat między rozbudzonemi, jak nigdy, dążnościami wolnościowemi mniejszych narodowości a niewstrzymanym pochodem uprzemysłowionego świata ku zrostowi ciał narodowych w olbrzymie państwa w polityce, taksamo, jak ku gigantycznym trustom na sposób amerykański w życiu gospodarczem. Nie podnosi na duchu czytelnika i nie brzmi nawet akcentem gorącego przekonania postawione na końcu proste proroctwo, że uporządkowanie Europy według życzeń narodowości zakończy erę wybujałego nacyonalizmu, a wiek XX należeć będzie do wewnętrznego udoskonalenia i światowej polityki kolonialnej kilku wielkich, kulturalnych potęg. Wróżbę tę puszczał w świat autor na wiosnę r. 1915, spodziewając się przed jego końcem kongresu powszechnego w stuletnią rocznicę wiedeńskiego. Tymczasem przeżyliśmy posępną jesień i smutną Wigilię tego roku wśród zamętu i walki. Stalsze pono oko utkwił w mgłach przyszłości szlachetny marzyciel rosyjski ks. Eugeniusz Trubeckoj, gdy w ciągu tejże wiosny, mówiąc z podpisanym o przyszłych losach Austryi, upewniał go z melancholią w głosie, że wszystkie pragnienia narodowe tylko w nader ogólnem przybliżeniu spełnić się dadzą.

Obyśmy nie zamykali przeżytych dziejów kataklizmu światowego w tym samym tragicznie bezładnym nastroju, z tymsamym splotem ciężkich dziejowych zagadek w głowie i poczuciem gorzkiej niemocy w sercu, co tę wykwintną oxfordzką dyssertacyę!

Kazań.

Ks. prof. Al. Wóycicki.

DZIEJE ROZWOJU KLASY ROBOTNICZEJ FABRYCZNEJ W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Monografia historyczno-społeczna.

WSTĘP

W łonie społeczeństwa naszego już od stu z górą lat poczęła wytwarzać się nowa klasa ludu pracującego w przemyśle, która niczyjej prawie do ostatnich czasów nie zwracała uwagi.

Od stu przeszło lat całe tysiące ludu roboczego skupiają się w naszych ośrodkach przemysłowych, mozoląc się nad przysporzeniem dobrobytu krajowi i tucząc mizerną garść fabrykantów, a za swą ciężką pracę cierpią biedę materyalną, toną w bagnisku ciemnoty umysłowe, grzęzną w odmęcie zepsucia moralnego.

Sumienie społeczeństwa na chwilę przypomina sobie o istnieniu tej warstwy upośledzonej wówczas dopiero, gdy wybucha jakaś straszna katastrofa, wypada większe bezrobocie lub nieoczekiwany lokaut wyrzuca na bruk tysiące ludu bezradnego. Wówczas dopiero opinia publiczna przypomina sobie, że i my, Polacy, posiadamy liczne rzesze pracownicze, że i nasze społeczeństwo ma do rozwiązania piękącą «kwestyę robotniczą».

Nie było wszakże aż do pierwszych lat bieżącego stulecia należytego zajęcia się życiem klasy robotniczej, warunkami jej bytu, potrzebami młodej tej warstwy, niebezpieczeństwami, jakie grożą jej samej, a przez nią i społeczeństwu całemu. Nie rozumiano u nas wcale, jak wielką siłę przedstawia dzisiaj robotnik przemysłowy.

Zgoła inaczej sprawa ta miała się w Europie zachodniej. Tam już od kilku dziesiątków lat kwitnie piśmiennictwo naukowe, publicystyka i literatura piękna, po-

święcone zagadnieniu robotniczemu. Oddawna na Zachodzie zdają sobie sprawę z tego faktu, że sprawa robotnicza góruje nad innemi zagadnieniami wieku naszego. Klasa bowiem pracowników przemysłowych stanowi obecnie potęgę, która co chwila władną jest podważyć cały gmach życia społecznego. I mimo szczere i nieustanne wysiłki zażegnania tego wielce groźnego niebezpieczeństwa, dotąd żadnemu ze społeczeństw nie udało się rozwiązać tej wielce złożonej sprawy.

Jedna jest tylko—jak zapewniają socyaliści—ku temu droga: to całkowite zniesienie ustroju obecnego. Ci zaś, którzy nie wierzą w tę chimerę rewolucyjną, szukają pewniejszych dróg do rozwiązania tej zawiłej sprawy. Bądźcobądź to żywotne zagadnienie wydało gdzieindziej mnóstwo prac, oświetlających główne rysy robotniczego sfinksa.

Tylko nasz polski ogół zbyt długo zachował się obojętnie względem tego pierwszorzędnego zagadnienia. Ani literatura piękna, ani sztuka polska nie zajęła się tym światem cierpienia i trudu, tematem niezmiernie wdzięcznym dla mistrzów pióra i pędzla, zarówno jak dla uczonych dociekań. W literaturze pięknej mamy zaledwie kilka utworów literackich, zlekka malujących to życie młode, namiętnościami wrzące, ciągle burzliwe, zawsze do nowych wybuchów skore. Dotknął się go Reymont w swej barwnej «Ziemi Obiecanej»; poruszył je Kosiakiewicz w swej «Bawełnie», tej dobrej fotografii życia łódzkiego. W poezyi ciężką dolą robotnika polskiego pierwszy zajął się u nas Andrzej Niemojewski, który, zostawszy w roku 1892 urzędnikiem Towarzystwa Sosnowickiego, miał możność bliższego poznania tego czarnego królestwa, z którego łona niespożyte skarby wydobywa pracowita dłoń górnika polskiego. «Polonia irridenta» Niemojewskiego odsłoniła nam rąbek zasłony, pokrywającej duszę robotniczą, i ukazała ogółowi ciężką dolę pracownika przemysłowego. Szkice i obrazki Niemojewskiego z owej doby stanowiły w literaturze naszej jedyne echo życia młodej warstwy pracującej. Jest to bodaj wszystko, co aż do czasów wolnościowych wydała w życiu robotniczem nasza literatura piękna.

Piśmiennictwo naukowe gospodarczo-społeczne przez długi czas głębokiem milczeniem pomijało dolę robotnika przemysłowego. Mieliśmy kilka prac, poświęconych zobrazowaniu stanu przemysłu polskiego, różnych gałęzi wytwórczości krajowej, mieliśmy kilka monografii,

przedstawiających niektóre z naszych ośrodków przemysłowych, jedną—drugą pracę o ruchu socyalistycznym polskim. Ale nie znalazło się ani jednego ekonomisty w Polsce, któryby pokusił się o zobrazowanie ciężkiej doli robotnika polskiego.

Pierwszy uczynił to ekonomista rosyjski.

W roku 1889 ukazała się w Warszawie cenna książka Światłowskiego p. t. «Fabrycznyj Raboczyj» (Robotnik fabryczny), która poraz pierwszy w sposób naukowy poruszyła sprawę naszego robotnika fabrycznego. Światłowskij, inspektor fabryczny okręgu Warszawskiego i Charkowskiego, zebrał duży materyał faktyczny co do podziału robotnika wedle płci i wieku w cukrowniach Królestwa Polskiego, co do czasu powstania wielkich fabryk, co do stopy centralizacyi przemysłowej, warunków najmu, długości dnia roboczego, pracy nocnej, wysokości płacy, budżetu robotniczego, płacy kobiet i dzieci, co do kar, sklepów fabrycznych, mieszkań robotniczych, odzieży, żywności, fabrycznych instytucyi społecznych, co do urządzenia fabryk pod względem sanitarnym, wypadków nieszczęśliwych, pomocy lekarskiej, śmiertelności wśród pracujących i t. d. Jest to jedyna praca, oświetlająca zagadnienie robotnicze w Polsce takiem bogactwem materyału źródłowego z czasów przedwolnościowych. Nie ujęła ona wszakże całości zagadnienia, lecz jego drobną cząstkę, poruszając najważniejsze strony bytu przedewszystkiem pracowników cukrowniczych.

Nagle przyszedł rok 1905.

Na widownię trwożnych wypadków pierwsi wystąpili robotnicy fabryczni, jako warstwa spoista, swych bied i potrzeb świadoma, hałaśliwa, w swych żądaniach klasowych bezwzględna.

Jednym ruchem twardej pięści robotnik zatamował gospodarcze życie kraju; grzmiącym krzykiem srogich pogróżek steroryzował wielomilionowy ogół polski; mocnemi barami zbiorowego wysiłku hardo podważył gmach życia społecznego.

Wówczas to po raz pierwszy robotnik polski mocno zaważył na szali stosunków wewnętrznych kraju; wtedy to dopiero namacalnie pokazał, że naprawdę jest on potęgą, z którą liczyć się musi naród cały. W jego bowiem silnych rękach spoczywa dziś tajemnica ładu społecznego; on to przedewszystkiem swą pracą mozolną przysparza dobrobytu krajowi; i w jego też spracowanej dłoni znajduje się klucz wewnętrznego bezładu.

Wychowany kulturalnie, w wygodnym bycie zabezpieczony, jest on dzielnym murarzem gmachu społecznego. Znękany biedą, w brudnej fabryce, w bezsłonecznem podziemiu zdziczały, rozjątrzony przez agitacyę skrajną, staje się burzycielem dorobku, nad którego wzrostem mozoliły się pokolenia całe.

Dopiero więc okres rewolucyjny lat 1905—1908 dobitnie wykazał, czem jest dla narodu naszego młoda warstwa robotnicza. I wtedy to niby z rogu obfitości posypały się z mównic publicznych, ze szpalt pism peryodycznych głosy przestrogi o «niebezbieczeństwie czerwonem», to znowu słowa pochlebstwa dla tego żywiołu rozjątrzonego, który w upojeniu chwilowych powodzeń gotów był na wszystko, nie mając nic do stracenia, a wiele do wygrania. Wówczas to robotnik stał się bohaterem chwili. Do programów partyjnych wciągnięto sprawę robotniczą, schlebiano robotnikowi, szeroko rozprawiano o robotniku.

I wtedy to dopiero sprawa robotnika polskiego, wysunąwszy się na czoło spraw społecznych u nas, żywo zajęła umysły ekonomistów i działaczy społecznych. Poświęcono jej sporo artykułów w prasie, a nawet kilka broszur mniej lub więcej powierzchownych. W okresie lat 1905—1908 niema bodaj numeru pisma, w którymby nie poruszono tej bolączki społecznej. I zawsze traktowano ją powierzchownie, błędnie, stronniczo.

Ktokolwiek bo dotknął się tej sprawy żywotnej, musiał zawsze napotkać brak ścisłych danych o liczbie, warunkach życia, zarobkach, budżecie domowym robotnika fabrycznego. Brakło naukowego, źródłowego przedstawienia sprawy robotniczej w Królestwie Polskiem.

Dopiero w roku 1906 spotykamy pierwsze próby poważniejszego omawiania tej zawiłej sprawy. Po za całą powodzią artykułów dorywczych, pierwszą nieśmiałą oceną, temu zagadnieniu poświęconą, jest broszura Stefana Gorskiego p. n. «Sprawa robotnicza» (Warszawa, 1906, str. 31). Autor podaje w niej przypuszczalną liczbę robotników polskich, mówi o teoryi płacy zarobkowej, zestawia uposażenie robotników zagranicznych i polskich, przytacza znane skądinąd budżety robotnicze, zarobki w różnych gałęziach wytwórczości krajowej, podaje nieco wiadomości o związkach zawodowych na Zachodzie, zlekka dotyka ruchu współdzielczego, kas chorych, traktując w całości sprawę powierzchownie, niemetodycznie, po dyletancku.

Drugą z kolei pracą, omawiającą sprawę tę, był odczyt, wypowiedziany przez znanego przywódcę Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich, ks. dr. Marcelego Godlewskiego na kursach społecznych, odbytych w sierpniu 1907 roku w Warszawie i ogłoszony później drukiem p. n. «Potrzeby naszej ludności robotniczej miejskiej i środki do ich zaspokojenia». W popularnym tym odczycie autor nalega na potrzebę zajęcia się dolą robotnika, który z nędzy czarnej zmuszony jest opuszczać kraj ojczysty, a do obcych udawać się po zarobek; utyskuje dalej na zimną obojętność względem pracownika ze strony sfer wyższych, na brak dostatecznej opieki prawnej panstwa; wreszcie domaga się podniesienia oświaty wśród ludu pracującego. Poruszając zagadnienie braku pracy, ks. Godlewski wykazuje konieczność związków zawodowych i łączących się z nimi instytucyi pomocniczych. Rzecz cała jest napisana pobieżnie, chaotycznie, ogólnikowo, a jako taka, nie może rościć pretensyi do jakiejkolwiek wartości trwalszej.

Tąkąż wartość ma i trzecia broszura z zakresu omawianego przedmiotu, napisana przez Stanisława Piotrowskiego p. n. «Dla lepszej przyszłości. Kilka uwag w sprawie robotniczej» (Warszawa, 1908). Stanowi ona przedruk artykułów, zamieszczonych na łamach dziennika warszawskiego «Słowo» w pierwszej połowie 1908 roku. Autor porusza tu związki zawodowe w Anglii, mówi o kilku przejawach stosunków nienormalnych w naszej fabryce (np. mówienie do robotnika «ty»), o porozumieniu kapitału i pracy u nas i t. d. w oświetleniu poglądów stronnictwa, którego «Słowo» było organem urzędowym.

Wzmiankowane powyżej broszury nic mają nic wspólnego z naukowem badaniem tego zagadnienia społecznego.

Dopiero dłuższy artykuł T. Ilewicza o «Klasie robotniczej w Królestwie Polskiem w świetle statystyki urzędowej», zamieszczony w tygodniku «Wiedza» z sierpnia 1909 roku, stanowi pierwszy u nas wysiłek w kierunku naukowego badania kwestyi robotniczej. Jest to drobna wprawdzie, ale wartościowa rzecz z zakresu statystyki społecznej w naszym kraju. Autor omawia w niem krytycznie dane spisu jednodniowego z roku 1897, dotyczące warstwy pracującej w Królestwie Polskiem.

Niemal dosłownem powtórzeniem powyższego artykułu jest praca Edwarda Chwalewika, w formie referatu

wypowiedziana na piątym zjeździe prawników i ekonomistów polskich, a następnie ogłoszona drukiem p. n. «Z badań statystyczno-ekonomicznych nad klasą robotniczą w Królestwie Polskiem». Stanowi ona przyczynek nie bez wartości dla badań naszej sprawy robotniczej.

Wyborną pracą w języku polskim z zakresu zagadnienia omawianego jest monografia B. Waśniewskiego p. n. «Byt i warunki pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego». Dane ankiety związku zawodowego robotników cukrowni Królestwa Polskiego» (Warszawa, 1911). Przedstawia ona opracowanie danych ankiety związku zawodowego robotników cukrowni. Autor maluje w niej ciekawy obraz życia wielotysięcznej armii robotniczej, zajętej w cukrownictwie krajowem. Jest to pierwsza u nas wyczerpująca monografia stosunków fabrycznych, oparta na materyale rzeczowym, bezpośrednio czerpanym z życia pracowników drogą ankiety szczegółowej—czyli jest to praca, o jakiej marzyć można wtedy tylko, kiedy ma się pod ręką materyał żywy, owoc sprawnych organów statystyki przemysłowej, ujmującej w liczby możliwie wszystkie pojawy życia robotniczego. Mimo drobne usterki stronniczego w kilku miejscach oświetlenia stosunków Kościoła i duchowieństwa do robotnika, monografia Waśniewskiego przedstawia się nader dodatnio.

Autor opisuje najpierw stan przemysłu cukrowniczego w Królestwie, charakteryzuje rozwiniętą na tem polu sprawę robotniczą i podaje statystykę pracowników, w przemyśle cukrowniczym zajętych. Przechodząc do szczegółów życia fabrycznego, oświetla warunki pracy i najmu, przytacza drobiazgowe dane o dniu roboczym, płacy zarobkowej; następnie roztrząsa sprawę mieszkaniową i t. zw. deputaty; dalej przytacza budżety domowe, mówi o zdrowotności pracy w fabryce, o hygienie, chorobach zawodowych, organizacyi pomocy lekarskiej. Szczegółowo rozpatruje życie zrzeszeniowe robotnicze, przytaczając mnóstwo danych o urządzeniach zapomogowych i ubezpieczeniowych, jakiemi są: wynagrodzenie podczas choroby oraz kasy chorych, wynagrodzenie za kalectwo, zabezpieczenie bytu emerytów, wdów i sierot po robotnikach, kasy przezorności; potem mówi o życiu związkowem, o stowarzyszeniach współdzielczych; wreszcie pisze o szkołach i szkolnictwie, o potrzebach i widnokręgach kulturalnych, o stosunkach towarzyskich i życiu publicznem świata robotniczego. Barwnie, żywo napisana ta mono-

grafia stanowi śmiały krok w naszem piśmiennictwie gospodar zo społecznem w kierunku badania życia proletaryatu przez badanie stosunków fabrycznych wśród poszczególnych grup i zawodów.

Naukowe studya o sprawie robotniczej u nas w językach obcych zjawiły się w postaci rozpraw doktorskich, przedstawianych uniwersytetom zagranicznym przez rodaków naszych, kształcących się na wszechnicach zachodnio-europejskich. Dzięki tym studyom wzbogacać się poczęła nietylko literatura nasza o sprawie robotniczej, ale i wogóle polskie piśmiennictwo ekonomiczne. Przewidział to już przed stu laty nasz świetny ekonomista Fryderyk hr. Skarbek, który na jednem z posiedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk powiedział te słowa: «Nauki ekonomiczne, owa wielka naukowa respublika, wtedy prawdziwie w Polsce zakwitną, gdy młódź nasza nie ościennych krajów stosunki badać zacznie, lecz swoje własne nadewszystko». Pierwszą z takich prób, napisaną w języku niemieckim, była praca Edwarda Strasburgera, przedstawiona uniwersytetowi w Monachium p. n. Zur Entwicklung der Arbeiterfrage im Königreich Polen. Inaugural-Dissertation der Hohen Staatswirtschaftlichen Fakultät der K. B. L. M.—Universität zu München» (Warschau, 1907). Część pierwsza tej pracy przedstawia ogólne położenie ludności robotniczej do wybuchu t. zw. rewolucyi 1905 roku; druga—szkicuje zdobycze tego ruchu do początków roku 1907. Autor oparł swe wywody na danych statystycznych, jakiemi mógł u nas rozporządzać wtedy w materyi odnośnej ekonomista; przedstawił spory szmat wielkiego pola, na którem rozwija się polskie życie robotnicze, pobieżnie skreślił historyę prawodawstwa ochronnego w Rosyi, obrady i projekty komisyi rządowych, stanowisko przemysłowców, rywalizacyę okręgów przemysłowych, wreszcie przepisy obowiązujące fabryki w chwili obecnej. Rozprawa ta wiernie przedstawia warunki pracy i płacy, trwanie czasu roboczego, sprawę mieszkaniową. Natomiast nie uwzględnia należycie tak ważnych spraw robotnika, jak budżet domowy i inne. Autor nie wspomniał ani słowem o życiu rodzinnem, o stowarzyszeniach robotniczych, o instytucyach społecznych i fabrycznych dla dobra ludu roboczego tworzonych.

Zatem praca Strasburgera nie stanowi obrazu sprawy robotniczej w przemyśle naszym; autor odsłonił nam jej niewielki zaledwie rąbek; zabrakło mu bowiem dostatecznego materyału do szerokiego naszkicowania tła, na któ-

rem rozwija się u nas coraz mocniejszy ruch robotniczy. Strasburger w swej rozprawie zużytkował częściowo dane, rozrzucone po różnych (Koszutskiego, Radziszewskiego, Załęskiego, Róży Luxemburg, Światłowskiego, Litwinowa-Falińskiego, Janżułła, Tuhan-Baranowskiego) dziełach, omawiających stan przemysłu w Królestwie Polskiem, podał wyniki ankiet Koła przemysłowców co do ruchu strajkowego i warunków pracy, wskazał na potrzebę reform gruntownych w istniejącem prawodawstwie ochronnem, na konieczność związków zawodowych dla naszego ruchu robotniczego; wreszcie przytoczył dane co do liczby pracowników, długości dnia roboczego w naszych zakładach przemysłowych,—co wszystko razem rzuca niemało światła na sprawę robotniczą w Polsce. Wszakże nie stanowi ona jednej zaokrąglonej całości, lecz omawia kilka wyrwanych i luźno związanych z sobą zagadnień.

Ciekawą jest też druga monografia, w języku niemieckim wydana jako rozprawa doktorska, o pracy kobiet w przemyśle Królestwa Polskiego. Wyszła ona z pod pióra dr. Stanisława Hersego p. n. «Frauenarbeit im Koenigreich Polen» (Zurich, 1912) i została przedstawioną uniwersytetowi w Zurichu na stopień naukowy. Autor, oparłszy swe badania na materyale faktycznym, starał się ująć syntetycznie sprawę powyższą. We wstępie dr. Herse zaznajamia nas z historycznym przebiegiem sprawy, poczem przechodzi do stanu dzisiejszego, przedstawiając kobietę jako pracownicę w fabryce i towarzyszkę działalności w ogólnym ruchu robotniczym; porusza sprawę intensywności pracy kobiecej, przemysł domowy kobiecy, wreszcie moralne warunki, w jakich żyje i pracuje robotnica polska. Rozprawa robi wrażenie pracy przemyślanej, ale zdradza u autora niedostateczną znajomość życia robotnicy naszej. Wszakże stanowi ona poważny przyczynek do badań zagadnienia pracowniczego w Polsce.

Podobny do powyższego temat poruszyła nieco wcześniej R. Centnerszwerowa w swej pracy, wydanej w języku polskim p. n. «Inspektorki fabryczne wobec wzrostu pracy kobiet w przemyśle Królestwa Polskiego» (Warszawa, 1910 odbitka z kwartalnika «Ekonomista»). Autorka podała nader cenny, z wielką trudnością z dokumentów urzędowych, nigdzie nie drukowanych, wydobyty materyał faktyczny o udziale kobiet w pracy przemysłowej u nas. Znajdujemy tu wiele danych statystycznych o liczbie robotników naszych za rok 1908. Cent-

nerszwerowa na mocy danych odpowiednich ze stosunków zachodnich, jako też i naszych, dowodzi stałego wzrostu pracy kobiet w przemyśle, a stąd konieczności i u nas wprowadzenia instytucyi inspektorek fabrycznych. Podaje też historyczny rozwój prawa ochronnego, i powstanie instytucyi inspektorek fabrycznych we wszystkich krajach przemysłowych, przedstawia owocne skutki tej reformy dla dobra kobiety i przemysłu krajowego, zakreśla pole działalności tych nadzorczyń w naszych warunkach, wreszcie zachęca ogół nasz do przeprowadzenia starań o wprowadzenie do prawodawstwa fabrycznego tej ważnej reformy. Praca jest napisana źródłowo, fachowo i sumiennie.

Wspomnijmy tu jeszcze o bardzo skromnej co do rozmiarów, lecz nader cenne posiadającej wiadomości broszurce, poruszającej stronę najmniej znaną bytu pracowniczego u nas — sprawy zawodowe pracownicze. Jest to ciekawa jednodniówka, która ukazała się w Łodzi latem 1913 roku p. n. «Z walki i pracy». Znajdujemy w niej bardzo ważne, nigdzie dotąd nie spotykane szczegóły, dotyczące ruchu zawodowego robotniczego w polskim Manchesterze. Z jednodniówki tej dowiadujemy się, iż roku 1913 Łódź liczyła 47 stowarzyszeń i związków zawodowych, z których niewiele tylko były to zrzeszenia o czysto robotniczym charakterze. Istniał tam cały szereg związków o «charakterze nieokreślonym», np. związek drukarzy, murarzy, majstrów fabrycznych i t. d. Związki o «charakterze klasowym» jednodniówka podaje następujące: związek krawców, metalowców, piekarzy, odlewników, wreszcie działające przeważnie wśród żydów — związek rzeźników, piekarzy, drukarzy i krawców. Praca ta stwierdza ogólny upadek ruchu zawodowego w naszem życiu robotniczem; zrzeszenia zawodowe omawia stronniczo, odsądzając polskie («endeckie»), jako też chrześcijańskie organizacye od miana związku robotniczego, czyli klasowego, a całą tę działalność oceniając wedle doktryny radykalno-społecznej.

Bądź co bądź jednodniówka «Z walki i pracy» przynosi sporo cennego materyału faktycznego dla poznania życia polskich związków zawodowych, o których, jak dotąd, jest niezmiernie trudno dowiedzieć się czegokolwiek pewnego.

Próbą pełnego zobrazowania życia całej klasy robotniczej, zajętej w wielkim naszym przemyśle, była rozprawa napisana przez dr. Aleksandra Wóycickiego w języku

francuskim p. n. «La classe ouvrière dans la grande industrie du Royaume de Pologne» (Paris, 1909). Część pracy tej w rękopisie była przedstawiona jako rozprawa w paryskiej Szkole Nauk Politycznych celem otrzymania dyplomu na wydziale ekonomiczno-społecznym; następnie, rozszerzona znacznie i drukiem wydana, została przedstawiona w roku 1909 uniwersytetowi w Lowanium (Belgia) na stopień doktora nauk politycznych i społecznych. Jakkolwiek nie rości sobie ona pretensyi do tytułu dzieła, dostatecznie wypukło przedstawiającego stan sprawy robotniczej u nas dla tej choćby przyczyny, że autor pisał ją w czasie swego kilkoletniego pobytu za granicą, zdala od bieżącego życia robotniczego, na mocy martwego materyału, jakim jedynie mógł rozporządzać podówczas, — to wszakże ujęła ona tło najogólniejsze sprawy robotniczej w Królestwie Polskiem i stanowi sumienne usystematyzowanie materyału, rozrzuconego po różnych dziełach i pismach peryodycznych, jaki tylko dało się zebrać w tak trudnych warunkach. W ubogiem naszem piśmiennictwie ekonomiczno-społecznem jest to praca swego rodzaju jedyna. Innej podobnej, któraby w całości ujmowała sprawę robotniczą u nas, nie mamy dotąd.

Rozprawa ta stara się oświetlić wszystkie główne strony zagadnienia robotniczego i dzieli się na 6 części. W pierwszej mamy naszkicowany rozwój przemysłu fabrycznego u nas jako właściwe pole, na którem począł się, wzrastał, olbrzymiał polski ruch robotniczy; znajdujemy tu krótki zarys historyczny rozwoju klasy robotniczej, ściśle związanej z dziejami przemysłu naszego. Druga część podaje liczbę ogólną proletaryatu fabrycznego, rozlicza go stosownie do różnych gałęzi wytwórczości krajowej, rozpatruje życie rodzinne robotnika polskiego, jego budżet domowy i potrzeby gospodarcze. Część trzecia zajmuje się położeniem pracownika w fabryce, pracą i płacą zarobkową, długością dnia roboczego, stosunkiem pracodawcy do robotnika, zatargami między pracą i kapitałem: następnie porusza warunki życiowe robotnicy i robotnika niepełnoletniego. W czwartej części mamy przedstawione życie zrzeszeniowe pracownicze, a zatem: stowarzyszenia polityczne, gospodarczo-społeczne i kulturalne, instytucye społeczne i fabryczne, wzniesione dla dobra warstwy pracującej, jak szkoły i ochrony, tanie domy mieszkalne, kąpiele, szpitale, udział w zyskach fabryki, emerytury dla starców; dalej—instytucye użyteczności publicznej, jak biura pośrednictwa pracy, ogrody

robotnicze, biblioteki i czytelnie, kolonie wakacyjne, sale zajęć dla dzieci, stowarzyszenia przeciwalkoholiczne, wycieczki, gry, chóry, orkiestry, teatry robotnicze. Ostatnia, szósta część ma za przedmiot pracownika, pozostającego pod opieką prawa; znajdujemy w niej dzieje prawodawstwa ochronnego i stan tego prawodawstwa obecny, a nawet projekty nowe, wniesione do Izby państwowej.

Jak widzimy ze streszczenia powyższego, rozprawa ta obejmuje całokształt sprawy robotniczej w naszym kraju, czego dotąd nie objęła żadna z prac, poświęconych bytowi rzesz, zajętych u nas w przemyśle. Pełnego, żywego obrazu bytu klasy robotniczej dać ona nie mogła dla braku materyału faktycznego. Przytem pisana w języku obcym i dla czytelnika obcego, zdala od źródeł miejscowych polskich, pod kierunkiem profesorów, którzy niemiłosiernie wykreślali wszelki mocniejszy wyraz potępienia naszych nieznośnych stosunków społecznych, musi ona zawierać w sobie wiele usterek i niedokładności.

I nie prędko piśmiennictwo polskie zdobędzie się na ścisłe, pełne, żywe zobrazowanie warunków, w jakich bytuje nasz proletaryat fabryczny. Stanie się to wówczas dopiero, kiedy przybędzie nam szereg naukowo opracowanych monografii pojedynczych grup roboczych i zawodów oddzielnych, z czego dopiero po metodycznem zbadaniu można będzie dać już całkowity, prawdziwy, zupełny obraz życia naszego proletaryatu fabrycznego. Zaś materyału do monografii takich dostarczyć mogą jedynie ankiety ścisłe, przeprowadzane przez odpowiednie organy już to władz administracyjnych, już też związków zawodowych. Zanim wszakże to nastąpi, nim materyał taki posiądzie nauka ekonomiczna polska, postanowiliśmy pracę naszą, rozpoczętą jeszcze roku 1907 w paryskiej Szkole Nauk Politycznych, prowadzić dalej w przekonaniu, że spełniamy czyn obywatelski, oświetlając wedle naszej możności niezmiernie ważną dziś pod względem społecznym i narodowym sprawę robotniczą. Zagadnienie to szczególnie w chwili obecnej uważamy za mające pierwszorzędną wagę dla narodu naszego z powodów następujących. Popierwsze dlatego, że organizm nasz narodowy, niesłychanie obecną wojną wycieńczony, musi starać się o podniesienie swego zdrowia i siły, a przeto możliwie najskuteczniej leczyć zaognioną bolączkę wewnętrzną—sprawę robotnika przemysłowego, która, gdyby nie została załatwiona, zawsze będzie przyczyną słabości naszego społeczeństwa. Powtóre, uważamy

zagadnienie to za wiele doniosłe i dla tej przyczyny, że robotnik przemysłowy stał się dziś obok naszego rolnika głównym wytwórcą bogactwa narodowego; w chwili zaś obecnej, kiedy większa część naszego dorobku gospodarczego leży w ruinie, praca robotnika jest stokroć cenniejszą dla wielkiego zadania odbudowy narodowej niż kiedykolwiek. I pod tym względem jesteśmy dziś w szczęśliwszemo wiele położeniu, niż byliśmy np. sto lat temu. Wtedy to bowiem, gdy upadek Rzeczypospolitej, wojny o niepodległość z mocarstwami zaborczemi, wreszcie wojny napoleońskie doszczętnie zrujnowały bujne życie gospodarcze kraju, — po uciszeniu się nawałnicy dziejowej, kiedy naród cały skrzętnie wziął się do naprawy przyczynionych szkód, zbrakło nam jedynie swoistej, rodzimej, polskiej warstwy robotniczej przemysłowej; więc musieliśmy sprowadzać ją z krajów obcych kosztem wielkiego nakładu pieniędzy, starań i przywilejów, co gorsza—mieć tę warstwę przemysłową bardzo marnej wartości zawodowej i moralnej, dla kraju nieżyczliwą, owszem wrogą, hardą i dla wszystkiego, co polskie, pogardliwą; co zaś najważniejsza—za brak tej warstwy społecznej zapłaciliśmy bardzo drogo, bo ceną polskości naszych miast, wsi, osad fabrycznych, przemysłu i handlu naszego. Zaś w chwili obecnej, kiedy nad krajem naszym znowu rozszalał się huragan dziejowy, i podruzgotał strzechy wieśniaczych sadyb, i kominy fabryk polskich, i strzeliste wieżyce świątyń i wyniosłe ramiona krzyżów przydrożnych, mamy tę chociaż nadzieję rychłej odbudowy kraju, że naród nasz wytworzył już sobie własnego, świadomego swej siły robotnika fachowego, który nad życie kocha swą Ojczyznę i z przymusowej na obczyźnie tułaczki za chlebem tęskni do swej Matki Rodzicielki. Mamy dziś przeszło milion robotnika przemysłowego, a w samem Królestwie—z górą czterysta tysięcy, nie jak niegdyś z pochodzenia Niemca, żyda lub innego obcokrajowca, ale kość z kości naszej, organiczną część społecznego ciała polskiego. Robotnik więc i rzemieślnik polski podniesie nam z upadku miasta i fabryki, osady i sadyby wieśniacze, przywróci dawną zamożność i świetność, wzmoże dobrobyt gospodarczy w spustoszonym kraju i sam będzie murarzem szczęścia własnego. I potrzecie—sprawę robotniczą u nas należy mieć za kwestyę wielkiej doniosłości narodowej i z tego względu, że wielotysięczna polska warstwa pracująca stała się dziś najsilniejszym czynnikiem spolszczenia przemysłu na-

szego, który dotąd jeszcze w obcych przeważnie pozostaje rękach. Tak niedawno jeszcze cieszyli się nasi wrogowie, że starania rządu polskiego nad uprzemysłowieniem kraju przy pomocy sprowadzonych zawodowców obcych przyniosły Ojczyźnie miast pożytku—same krzywdy. Ekonomista rosyjski prof. Janżułł pisał przed 30 laty o tym wpływie, jaki fabryki założone przez cudzoziemców i oparte na pracy cudzoziemców, okazują na germanizacyę Królestwa, której postępy są daleko znaczniejsze, aniżeli sam rozwój przemysłu... «Niegdys—pisze ten uczony[1])—w drugim dziesiątku lat bieżącego stulecia, Polska zapraszała do siebie cudzoziemców w nadziei, że oni zbudują polskie fabryki i stworzą przemysł polski; natomiast doczekała się fabryk niemieckich i żydowskich... Z wyjątkiem chyba jednej tylko Warszawy—polscy fabrykanci i język polski, jako język administracyi, są równie rzadkiem zjawiskiem, jak język włoski... w Moskwie».

«Osadnicy i koloniści, przybywający z zagranicy i rozgaszczający się zarówno na fabrykach, jak i po wsiach w całem Królestwie—żyją odosobnieni od reszty ludności, obcy jej zupełnie, nie mając na nią żadnego wpływu, jeśli za taki nie uważać przyzwyczajania polskich uszu do dźwięków obcej mowy». Nie spostrzegli zaś wrogowie nasi tego faktu, że środki podobne rządu autonomicznego polskiego były swego czasu *malum necessarium*, i że ten sam rząd, jak również właściciele prywatni czynili wiele wysiłków w tym celu, iżby powoli wyrobić klasę robotniczą polską nie tylko jako prostą robociznę przemysłową, ale też i jako warstwę narodową, która miała w przyszłości wyprzeć z organizmu narodowego żywioł obcy, inoplemienny. Te właśnie wysiłki w znacznej mierze sprawiły, że już pod koniec XIX stulecia w fabryce polskiej robotnik nie Polak był wyjątkiem, a cała praca przemysłowa wychodziła z rąk robotnika rdzennie polskiego; zaś w pierwszem dziesięcioleciu bieżącego wieku proces spolszczenia całego przemysłu postąpił tak szybko, iż pod względem ilości fabryk 50% przemysłu fabrycznego znajduje się w rękach polskich[2]); reszta należy do Niemców i innych obcokrajowców; gdy się atoli zważy, iż robotnik we wszystkich fabrykach jest

[1]) Prof. dr. Janżułł «Przemysł fabryczny w Królestwie Polskiem» Petersburg, 1887, str. 85.

[2]) Stanisław Koszutski w miesięczniku warszawskim «Życie robotnicze» № 8—9 z roku 1911.

niemal wyłącznie polski, że dochody z tych przedsiębiorstw w drugiej części idą na pokrycie wynagrodzenia tego robotnika, to musimy uznać, iż przemysł Królestwa głównie dzięki masie proletaryatu polskiego jest mimo wszystko polskim; a stanie się on już całkowicie polskim wtedy, gdy naród uczyni z tego proletaryatu warstwę społeczną liczebnie silną, materyalnie bogatą, wyrobioną zawodowo i kulturalnie, a świadomą swego polskiego ideału narodowego. Stąd w chwili obecnej sprawa robotnicza w Polsce zajmuje na porządku dziennym trosk narodowych jedno z miejsc naczelnych. I przez długi czas jeszcze musi ona zajmować uwagę naszych ludzi naukowej myśli i czynu społecznego. Im szybciej bowiem postępuje naprzód współzawodnictwo gospodarcze ludów cywilizowanych, im szersze kręgi wpływów zataczają idee demokratyczne w kraju, tem żywsze zainteresowanie okazywać musi społeczeństwo stanowi materyalnemu i moralnemu warstw pracujących. Ten stan pracowniczy, jako żywe narzędzie wytwórczości narodowej, przedewszystkiem stanowi czynnik wyższego lub niższego postępu gospodarczego kraju, sprawcę spokoju lub zaburzeń w organizmie społecznym, pomyślności lub też nędzy ogólnej.

A przeto wielki już czas nadszedł, iżby zbadać nareszcie, jakiem jest rzeczywiste położenie tej potężnej armii przemysłowej w Ojczyźnie naszej. Czas wielki przedstawić ten świat mozołu i cierpienia, z którym spotykamy się codzień, co chwila, a który jest nam tak mało znany, jak daleka jakaś krajna zamorska. Trzeba wreszcie przedstawić, skąd się wzięła, czem dla społeczeństwa jest ta najmłodsza warstwa społeczna; jakie ma ona potrzeby i cierpienia, zalety i wady, obowiązki i prawa w życiu materyalnem i duchowem narodu naszego.

Dlatego to postanowiliśmy poświęcić temu zagadnieniu dłuższą pracę, której monografia niniejsza stanowi część wstępną, iżby w miarę sił naszych i przy skromnym względnie materyale rzeczowym, jakim może rozporządzać dziś w tej sprawie ekonomista polski, oświetlić główne rysy, najważniejsze strony życia robotniczego w Królestwie Polskiem.

Zebraliśmy tedy świeży faktyczny materyał już to drukowany, już też bezposrednio czerpany w środowiskach robotniczych i postanowiliśmy wydać go wedle planu, nakreślonego w rozprawie francuskiej, tylko nie

w jednej całości, lecz oddzielnemi częściami. Doświadczenie bowiem nauczyło nas, iż praca taka nie da się przedstawić w jednej całości, w jednem dziele, lecz w pojedyńczych, oddzielnych, choć wspólną myślą powiązanych z sobą monografiach. Metoda ta niezmiernie ułatwi nam techniczne wykonanie zadania, a przytem stanowi ona istotny warunek prawdziwie naukowego traktowania sprawy.

Dotąd wyszły już z druku dwie takie monografie. Pierwsza, drukowana w kwartalniku warszawskim «Ekonomista», a następnie wydana w szacie książkowej p. n. «Instytucye fabryczne i społeczne w przemyśle Królestwa Polskiego» (Warszawa, 1915), omawia te instytucye, jakie na gruncie polskim wznieśli pracodawcy i społeczeństwo nasze dla dobra robotnika przemysłowego. Wstęp stanowi teoretyczną rozprawę o istocie, ewolucyi i doniosłości instytucyi fabrycznych i społecznych, mających na celu podniesienie dobrobytu pracowniczego. W pierwszej części, historycznej, mamy przedstawioną tę opiekę, jaką roztaczało społeczeństwo polskie nad robotnikiem fabrycznym w okresie przygotowawczym przemysłu narodowego, a więc w fabryce wielkopańskiej i następnie w początkowej fabryce kapitalistycznej. Część druga, poświęcona przedstawieniu obecnego stanu instytucyi patronalnych i społecznych, omawia okres wielkoprzemysłowy i na mocy danych statystycznych opisuje instytucye nasze, mające na celu umysłowy, moralny i materyalny rozwój pracownika fabrycznego.

Druga monografia ma za przedmiot rozwój chrześcijańskiego ruchu robotniczego na gruncie polskim. Wyszła ona z pod prasy drukarskiej z końcem roku 1915 p. n. «Chrześcijański ruch robotniczy w Królestwie Polskiem» (Piotrogród, 1915). We wstępie jej przedstawiliśmy istotę i rozwój chrześcijańskiego ruchu robotniczego wogóle. Część pierwsza mówi o robotniku polskim pod względem religijnym w przeszłości—najpierw w dawnej Polsce, następnie w ciągu całego niemal XIX wieku, poruszając czynniki upadku religijno-moralnego warstwy pracowniczej i przejawy działalności chrześcijańsko-społecznej wśród pracowników przemysłowych. W części drugiej mamy przedstawione początki, rozwój i działalność wielostronną Stowarzyszeń Robotników Chrześcijańskich w Królestwie Polskiem.

Trzecią z rzędu monografią jest praca niniejsza, poświęcona rozpatrzeniu dziejów rozwoju naszej klasy ro-

botniczej. Stanowi ona właściwie tom pierwszy dzieła naszego o sprawie robotniczej u nas. Po niej nastąpią inne monografie w porządku poniższym: «Robotnik polski w życiu rodzinnem», «Robotnik polski przy pracy w fabryce», «Zrzeszenia robotnicze w Królestwie Polskiem», «Robotnik polski pod opieką prawa». Wreszcie po tych monografiach w porządku logicznym iść powinny dwie powyżej wspomniane: o instytucyach fabrycznych i społecznych jako też o chrześcijańskim ruchu robotniczym, które wyszły z druku wcześniej jedynie dzięki sprzyjającym ich wydaniu warunkom materyalnym.

Monografii niniejszej nie należy uważać za historyę klasy robotniczej fabrycznej w Polsce. Na przedstawienie bowiem dziejów właściwych tej najmłodszej naszej warstwy społecznej nie może jeszcze zdobyć się nauka polska dla braku materyału źródłowego. Sporo tego materyału odnalazł Korzon («Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta») w archiwach i bibliotekach warszawskich; dla poznania pierwszych początków życia fabrycznego w Polsce uczynił bardzo dużo. Niemniej ważny źródłowy materyał dla historyi naszej klasy robotniczej w okresie początkowej fabryki kapitalistycznej podał rosyjski historyk-ekonomista Wobłyj w swej wartościowej pracy p. n. «Oczerki po istorii polskoj fabricznoj promyszlennosti». Czerpał on ze źródeł pierwszorzędnych w archiwach warszawskich i piotrogrodzkich nader cenne wiadomości, dotąd wcale nauce naszej nie znane, o fabrykach sukna w Królestwie Kongresowem, o rzemieślnikach i osobnikach fabrycznych, sprowadzonych z zagranicy, o ich bycie, potrzebach, trudnościach, o opiece, roztaczanej nad nimi przez rząd polski. Ale dane te są urywkowe, niepełne. Stosunki wewnętrzne całych osad fabrycznych i poszczególnych przedsiębiorstw nie znalazły wiernego odbicia w tych materyałach archiwalnych. I wogóle powiedzieć trzeba, iż w archiwach nie mógł zachować się pełny obraz życia wewnętrznego klasy pracowniczej. Wypadkowo tylko w tym lub innym akcie rządowym spotyka się poszczególny rys, rzucający promień światła na organizacyę wewnętrzną przemysłu fabrycznego w pierwszych początkach jego rozwoju. Ale ciekawego zagadnienia o położeniu klasy robotniczej danego okresu przedstawić z jaką taką pełnością niepodobna, gdyż o tem bardzo niewiele mówią znane nam dotąd źródła. Główna przyczyna powyższego tkwi w tem, że w owych czasach nikt nie zajmował się

dolą prostego ludu tak, jak to my czynimy obecnie. Początkowy kapitalizm w Polsce nie był zrodził jeszcze tylu bied ludowych, jakie wydał później, pod koniec XIX stulecia. A przeto społeczeństwo i rząd polski «patrzyli na położenie mas pracujących przez różowe okulary» [1]). Niewątpliwie pewne fakty, malujące stosunki wzajemne między pracownikiem a przedsiębiorcą, musiały zachować się w różnego rodzaju sprawach sądowych, skargach i t. d. I rzeczywiście dokumenty podobne istniały w Archiwum warszawskiem Spraw Dawnych, jak mówią o tem odnośne wykazy. Niestety wszakże, zostały one sprzedane na funty jako makulatura, wszelkie poszukiwania w tym względzie przedsiębrane po archiwach warszawskich przez prof. Wobłyja, pozostały bez skutku. Ponadto znajdujemy wiele materyału faktycznego niemałej wartości w opisach podróżników zagranicznych, którzy kraj nasz zwiedzali (William Cote, Bernoulli), w pamiętnikach, monografiach miast naszych. Ale są to tylko drobne ułomki tego źródłowego bogactwa wiadomości, bez którego nie da się należycie odtworzyć pełny obraz życia polskiej warstwy, pracującej w przemyśle fabrycznym. Co najwyżej można z tych drobnych kamyków—dorywczych uwag, zdań, wypadków—sposobem mozaikowym naszkicować ogólne kontury tych warunków, w jakich upływało życie początkującej klasy robotniczej polskiej.

I wogóle powiedzieć należy, iż niezmiernie trudno jest znaleźć faktyczne dane do badania dziejów klasy robotniczej u nas nietylko w przeszłości odległej, ale i co do czasów późniejszych. Źródłem np. najbardziej miarodajnem winny tu być sprawozdania inspekcyi fabrycznej. Ale jak wiadomo, owe sprawozdania okręgowych inspektorów fabrycznych zjawiły się dopiero za rok 1885; następnie zaprzestano zupełnie ogłaszać je drukiem. Aż wreszcie, od roku 1900 znowu zaczęto wydawać streszczenia sprawozdań inspektorów fabrycznych czyli nie właściwe sprawozdania szczegółowe, lecz wyciągi z nich — w postaci samych liczb i tylko co do niektórych stron życia robotniczego. Zatem niepodobna wyciągnąć stąd jakichkolwiek bardziej szczegółowych danych, ani wyprowadzić ogólniejszych wniosków, ani dostatecznie przedstawić jakiejkolwiek strony życia pracownika w fa-

[1]) Wobłyj «Oczerki po istorii polskoj fabricznoj promyszlennosti» str. 304.

brycе. Przytem niema się dostępu do materyału bezsprzecznie istniejącego, a odnoszącego się do ostatnich dziesiątków lat minionego wieku. Materyał ten znajduje się w archiwum dawnego ministeryum finansów, dokąd nikt z uczonych badaczy dostępu niema. Udało się tylko jednemu, J. Ozierowowi, profesorowi uniwersytetu moskiewskiego, dotrzeć do tego skarbu wiadomości źródłowych; zdążył on wydostać stamtąd wiele wartościowych danych, które później ogłosił drukiem w pracy p. n. «Politika po raboczemu woprosu w Rosii za poslednije gody» (Moskwa, 1906) Ale stosunki polskie robotnicze nie zostały prawie wcale przez autora uwzględnione. Przytem dane zdobyte Ozierow przedstawił chaotycznie, bezplanowo i nie wyprowadził z nich należnych wniosków logicznych. Należałoby tedy dołożyć wszelkich możliwych starań, iżby wreszcie dostać się do tej skarbnicy materyału faktycznego, któryby najjaśniej oświetlił zagadnienie robotnicze z ostatniego 25-lecia — zwłaszcza to ciekawe pytanie, czemu w klasie robotniczej zrodziła się taka bezbrzeżna nieufność do zarządów fabrycznych, do przedstawicieli inspekcyi fabrycznej, ta nieprzejednana wrogość ku fabrykantom, nawet ludziom humanitarnym. Jedynie takie pierwszorzędne źródło wiadomości rzuciłoby duże pasmo światła na te i tym podobne pytania, które z konieczności muszą pozostawać bez odpowiedzi przez długie jeszcze lata.

Drugiem podobnem źródłem dla badaczów sprawy robotniczej są ankiety, przeprowadzane już to przez władze administracyjne, już to przez związki zawodowe co do warunków, w jakich żyje pracownik przemysłowy. Doskonałym przykładem takiego bezpośredniego badania sprawy robotniczej jest ankieta, jaką przeprowadziło w maju 1914 roku francuskie ministeryum pracy na żądanie «Komisyi studyów nad fizyologią pracy zawodowej», ustanowionej dekretem z dnia 17 maja 1913 roku, a złożonej ze znakomitości naukowych, politycznych i społecznych. Ankieta owa, dotycząca warunków życia robotniczego, zawiera punkty następujące:

1) skład rodziny oraz stan zdrowia każdego z jej członków;

2) mieszkanie, liczba pokoi zajmowanych, cena komornego i t. d.;

3) warunki zawodowe, płaca;

4) długość pracy oraz dni odpoczynkowe i dni bezzajęciowe;

5) odżywianie, opał i światło;

6) przygotowanie zawodowe i wykształcenie zawodowe młodzieży

Ministeryum zbiera te wiadomości we wszystkich środowiskach społecznych (zakład, przedsiębiorstwo, fabryka, związek zawodowy, kooperatywa i t. d.) Taka ankieta jest celowa, pełna i wielce owocna; przeprowadza ją bowiem organ fachowy, który, składając się z ludzi nauki, wykona je drobiazgowo i rozumnie, dostatecznie zamożny, by ponieść niemałe koszta pieniężne, wreszcie —posiadający dane odpowiednie, albowiem posługuje się niezbędnym aparatem, złożonym z całych setek urzędników, którzy zdołają dotrzeć do odnośnych środowisk w kraju całym. Nauka tedy ekonomiczna będzie miał stąd gotowy, żywy materyał faktyczny pierwszorzędnej wartości. Zaś uczony polski marzyć nawet o podobnym materyale nie może, ponieważ ani władze administracyjne, ani związki zawodowe ankiet podobnych u nas nie przeprowadzały. Wyjątek tu stanowi związek zawodowy pracowników cukrowniczych, który dokonał tej pracy i dał istotnie cenny materyał rzeczowy dla monografii B. Waśniewskiego p. n. «Byt i warunki pracy robotników w przemyśle cukrowniczym Królestwa Polskiego».

Z innych źródeł odnośnych wymienimy jednodniowe spisy ludności wedle zawodów (świetne pod tym względem są spisy niemieckie), urzędową statystykę zawodową, wreszcie wielkie wystawy przemysłowe, na których zarządy fabryczne lub związki fabrykantów w diagramach i kartogramach przedstawiają stopę płacy zarobkowej, ruch strajkowy, zakłady patronalne i t. d. Otóż tego wszystkiego nie zna i nie posiada życie społeczne nasze. A przeto nie podobna jeszcze przy takim stanie rzeczy pisać dziejów klasy robotniczej w Polsce.

Zamiast tedy historyi właściwej, na jaką przyjdzie kiedyś kolej, podajemy tu zarys historyczny rozwoju klasy robotniczej fabrycznej, który będzie służył jako wstęp do szeregu monografii o sprawie robotniczej w Królestwie Polskiem. Ma on przedstawić nam, kiedy powstała w społeczeństwie naszem warstwa pracownicza przemysłowa, w jaki sposób z klasy tej, ongi cudzoziemskiej, niepolskiej, wytworzył się w ciągu XIX wieku liczny stan pracowniczy rodzimy, rdzennie polski, który z jednej strony stanowi dziś główny czynnik wytwórczy bogactwa narodowego, z drugiej zaś—jest potężnem narzędziem spol-

szczenia u nas przemysłu fabrycznego, dotąd jeszcze w obcych przeważnie pozostającego rękach.

Do pracy tej, o ile rozważa ona odległą przeszłość, wykorzystaliśmy niemal wszystko, co o robotniku przemysłowym posiada piśmiennictwo nasze i w odsyłaczach podajemy źródła, skąd czerpaliśmy wiadomości przytaczane; zaś do przedstawienia rozwoju życia robotniczego w okresie ostatnim, najnowszym, użyliśmy sprawozdań inspektorów fabrycznych, własnej obserwacyi w ciągu kilkoletniego zwiedzania przez nas głównych ośrodków przemysłowych polskich, pism robotniczych specyalnych, prasy peryodycznej, statystyki urzędowej, prawodawstwa robotniczego i prac naukowych, potrącających o byt robotnika polskiego.

Podział monografii niniejszej stosujemy do tych zmian, jakim uległa fabryka polska, a z nią i żywioł pracowniczy, w niej zajęty. Dzieje naszej klasy robotniczej, ściśle związane z historyą polskiej fabryki, mają, podobnie jak ta ostatnia, trzy główne okresy: pierwszy — to okres fabryki wielkopańskiej XVIII stulecia, drugi — okres fabryki początkowej kapitalistycznej w pierwszych sześciu dziesiątkach lat XIX wieku; wreszcie trzeci — to okres fabryki wielkoprzemysłowej współczesnej. Zatem i praca nasza rozpada się na trzy części następujące: w pierwszej — będziemy mówili o robotniku przemysłowym w dawnej Polsce od samych zaczątków życia przemysłowego u nas aż do upadku Rzeczypospolitej, kiedy też nastąpił upadek fabryk wielkopańskich; w drugiej—powiemy o warstwie pracowniczej zajętej w fabrykach, jakie najpierw powstały za mądrych rządów autonomicznych Królestwa kongresowego, a następnie wzrastały po kraju w pierwszych 6 — 7 dziesiątkach lat minionego wieku; i w trzeciej części przyjrzymy się temu szybkiemu rozwojowi wielotysięcznej klasy robotniczej, jaki nastąpił pod koniec XIX i w początku XX wieku na gruncie naszej fabryki wielkoprzemysłowej.

(d. c. n.)

Stefan Rola-Piekarski.

SPRAWA ZAGŁĘBIA WĘGLOWEGO KRAKOWSKIEGO.

Społeczeństwo nasze naogół bogate nie jest. Bogactwa mineralne jego na obszarze ziem b. Rzeczypospolitej są dosyć skąpe. Dopiero w samym końcu XIX i początkach XX wieku odkryte zostały ogromne pokłady węgla kamiennego w Galicyi Zachodniej oraz nafty w Galicyi Wschodniej. Dzięki zacofanej strukturze spółczesnej społeczeństwa, brakowi własnej państwowości, brakowi mieszczaństwa i t. d. i te nieliczne bogactwa, które eksploatowaliśmy sami za czasów Rzeczypospolitej i Królestwa Kongresowego od 1815 do 1830 r., przeszły przeważnie w obce ręce. Tak złoża węgla kamiennego w Zagłębiu Dąbrowskiem zagarnięte zostały po roku 1871 przez kapitały niemieckie, z rąk których przeszły następnie w ręce kapitalistów francuskich. Na 37,000,000 rb. kapitału zakładowego 10 towarzystw węglowych i 18,000 000 rb obligacyi zaledwie jakiś 20 — 25% było w ręku polskim i to o ile liczyć będziemy do nich kapitały przemysłowca łódzkiego Szajblera, spolszczonego Niemca. Ten sam los spotkał najbogatsze w Europie zagłębie cynkowe oraz zagłębie żelazne, znajdujące się razem z zagłębiem węglowem w kilku południowo - zachodnich powiatach Kongresówki.

Co się tyczy nafty galicyjskiej, to pomimo rozpaczliwych wysiłków Szczepanowskiego, nie udało się wciągnąć do tej gałęzi przemysłu górniczego kapitałów polskich. Skutek jest ten, że na 300,000,000 koron, które w przybliżeniu stanowiły kapitał zakładowy towarzystw naftowych, było 160,000,000 kapitałów amerykańskich i angielskich, 130,000,000 niemieckich, a pozostałe 10,000,000 składało się z kapitałów francuskich, belgijskich, włoskich i polskich. Innemi słowami kapitały polskie nie wynosiły tam ponad 1%, dosłownie j e d e n procent ogółu kapitałów.

Najciekawszą jednak jest sprawa Zagłębia Krakowskiego. Społeczeństwo polskie dowiedziało się ze zdumieniem w końcu XIX i początkach XX wieku, że posiada jedno z najbogatszych zagłębi węglowych w Europie. Po krótkiej chwili radości nastąpiło gorzkie rozczarowanie. Okazało się mianowicie, jakoby kapitaliści niemieccy wbrew patryotycznym wysiłkom ze strony polskich inżynierów, posłów etc. zagarnęli 9/10 tego Zagłębia na swój użytek. Później rząd austryacki wystąpił z jakąś tam nową ustawą górniczą, zwalczaną naogół przez polskie sfery przemysłowe. Społeczeństwo pozostało bierne. Nie było zupełnie zrozumienia ważności owego odkrycia, zainteresowania się niem, uświadomienia sobie, jaką ogromną rolę odgrywać musi dla całej naszej przyszłości odkrycie tego Zagłębia.

A jednak sprawa ta jest tak niesłychanie ważną, że nie wahamy się twierdzić, iż losy Zagłębia Krakowskiego zaważą więcej na naszej przyszłości, niż wyniki ewentualne obecnej wojny europejskiej. Postaramy się to uzasadnić. Do pozornie paradoksalnych, a jednak bardzo głębokich poglądów na naszą przyszłość należą poglądy zmarłego hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Mówi on mianowicie w jednym ze swych dzieł, konstatując hegemonię obecną ludów rasy anglo germańskiej, że słowiańszczyźnie wogóle, a nam w szczególności przypadnie prawdopodobnie rola barbarzyńców, którzy zniszczą kulturę zachodnio-europejską tak, jak zalew germański zniszczył kulturę rzymską. Różnica, zdaniem jego, polega na tem, że zalew barbarzyńców w Rzymie nosił charakter z jednej strony najazdu zbrojnego, z drugiej zaś powolnej kolonizacyi pogranicznych prowincyi Cesarstwa przez plemiona germańskie, osadzane tam przez imperatorów dla obrony przed własnymi pobratymcami. Proces ten, jak wiadomo, na kilka stuleci poprzedził właściwy upadek Cesarstwa. Formą, w którą wyleje się przyszły zalew barbarzyńców, będzie, zdaniem Dzieduszyckiego, zalew tanich rąk roboczych. Przyczyną tego zalewu będzie wykazywana przez ludy słowiańskie organiczna niezdolność do nowych form życia, do stworzenia własnego przemysłu i dania w ten sposób pracy na miejscu milionowym rzeszom robotniczym.

Wywody innego wybitnego pisarza polskiego, Purwina, zbiegają się z wywodami Dzieduszyckiego. Twierdzi on mianowicie, że my nigdy nie przebiegniemy w swym rozwoju przemysłowo-gospodarczym tej drogi, jaką prze-

biegły Francya, Anglia i Niemcy «chyba że kataklizmy przyrody zmienią warunki geograficzne naszego globu». Oba te twierdzenia przypominają pokutującą w różnych książkach «teoryę» o organicznej niezdolności rasy słowiańskiej do wytworzenia własnej państwowości, mogącej oprzeć się innym rasom. Nie będziemy na tym miejscu zbijali tych twierdzeń. Powołamy się mimochodem na przemysł czeski i na przemysł Kongresówki między 15—30 rokiem. Rozpatrzymy to zresztą innym razem. Obecnie wystarczy nam postawienie tezy zupełnie odwrotnej. Będzie nią twierdzenie, że Zagłębie węglowe Krakowskie wraz z szeregiem innych warunków, jak to: ogromne a niewyskane siły wodne Galicyi, gęstość zaludnienia, dobre położenie geograficzne i doskonałe drogi wodne, stwarzają u nas doskonałe warunki dla rozwoju przemysłowego.

Najważniejszą w danym wypadku przeszkodą dla naszego rozwoju jest brak państwowości. Państwowość potrzebną nam jest przedewszystkiem dla tego, że nie mamy własnego, narodowego mieszczaństwa i kapitałów. Nie jest to jednak przeszkoda nie do zwalczenia, tembardziej, że klucz naszej pozycyi przemysłowej leży w Galicyi Zachodniej. Przy silnej woli z naszej strony i uświadomienia sobie celów i środków naszej polityki ekonomicznej, instytucye autonomiczne Galicyi wystarczyłyby w zupełności do utrzymania w naszym ręku tej placówki.

I.

Krakowskie Zagłębie węglowe jest częścią tylko ogromnego Zagłębia węglowego, obejmującego część Śląska Pruskiego, Śląska Austryackiego i Zagłębia Dąbrowskiego w Królestwie. Ogromny ten basen węglowy należy do największych w Europie i zajmuje przestrzeń, jak dotąd zdołano stwierdzić wierceniami, przeszło 7,000 km.², z czego przypada na Śląsk Pruski przeszło 3,000 km.², na Śląsk Austryjacki i Morawy 1,100 km.², na Królestwo około 500 km.². Ustalenie powierzchni Zagłębia Krakowskiego jest rzeczą bardzo trudną, a to z tego powodu, że, o ile ku północy i zachodowi granice basenu węglowego są już znane, o tyle granica wschodnia, a zwłaszcza południowa Zagłębia nie są jeszcze ustalone. Wynika to stąd, że na północy pokłady węglowe występują prawie na powierzchni ziemi, albo w każdym razie

bardzo płytko, podczas gdy ku południowi formacya węglowa zapada w głąb i jest pokryta potężnemi ławicami młodszych warstw. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa pokłady węgla dochodzą do Karpat, a nie jest również rzeczą wykluczoną, że granicy południowej należałoby szukać na południu od Karpat. Wskutek tego jednak, że eksploatacya pokładów leżących głębiej, niż na 800 metrów, obecnie jeszcze dla znacznych kosztów nie opłacałaby się, praktyczną granicą Zagłębia będzie ta, gdzie wiercenia jak dotąd wykazały węgiel w głębokości mniejszej, niż 800 metrów. W każdym razie, niezależnie od wyników nowych wierceń, obecnie już można przyjąć, że powierzchnia Zagłębia Krakowskiego obejmuje 2,500—3,000 km².

Dla wykazania, jak szybko ulegają zmianie poglądy na obszar Zagłębia wskutek nowych wierceń, wystarczy przytoczyć, że gdy w «Monografii Zagłębia węglowego Krakowskiego» podane są następujące cyfry: według Bartoneca 1,392 km.², a bez warstw płonnych 1,092 km² (z 1893 roku), według Pehashka 1,390 km.², według Zarańskiego 1,650 km.², to już w 1910 r. inżynier Drobniak ocenia powierzchnię, «nadającą się do eksploatacyi na 1,600 km., a tenże sam w r. 1913 określa powierzchnię Zagłębia na 3,000 km.² w czem mało się różni od dr. Artura Benisa, przyjmującego cyfrę 2,500 km².

Bartonec przyjmował jako wschodnią granicę Zagłębia południk Tenczyński, a jako południową równoleżnik 49 stopni 55 minut. Według geologa Gaeblera (1909 r.) granicę Zagłębia stanowiła linia, idąca przez Międzyrzecze, Bielany, Zator i Tenczynek. Inżynier Drobniak w 1910 r. za granicę uważał linię, idącą przez Czernę, Bielany, Tyniec, Wadowice i Komorowice.

W r. 1913 inż. Drobniak stwierdza, że nowe wiercenia rozszerzyły znacznie dawne granice i przypuszcza, że granica południowa przebiega prawdopodobnie gdzieś przez okolice Żywca i Kalwaryi.

Do r. 1913 na terenie Zagłębia miały miejsce 73 wiercenia, o łącznej głębokości około 60,000 metrów, czyli przeciętnie do głębokości 800 metrów każde. Ponieważ wyniki tych wierceń dać mogą przybliżone pojęcie o bogactwach Zagłębia, więc pozwolimy sobie przytoczyć niektóre z pomiędzy nich.

Tak więc otwór wiertniczy № 7 na kopalni Brzeszcze do 668 metrów w głąb wykazał 6 pokładów godnych eksploatacyi o miąższości od 3/4 do 3 metrów, przyczem

3-metrowy pokład w głębokości 596 metrów zawierał węgiel koksujący.

Otwór № 12 do głębokości 519 metrów wykazał 10 pokładów, nadających się do odbudowy, grubości od 60 centym. do 2.5 metra.

W gminie Jankowice pierwszy pokład przewiercono już w. głębokości 200 metrów, w 234 metrach przebito pokład 2,5 metrowy, a do głębokości 458 m. przewiercono ogółem 5 pokładów godnych odbudowy, o łącznej miąższości 13,5 metra.

Najpomyślniejsze wyniki dały wiercenia na terenach magnata pruskiego Schlutiusa, z którego nazwiskiem spotkamy się jeszcze w drugiej części naszej pracy.

Tak więc, w Stawach Wielkich, koło Oświecima, na głębokości 499 m. napotkano na 4-metrowy pokład.

Podobne wyniki dały wiercenia w Łękach, Kańczudze, Ryczowie, Bechowicach i Spytkowicach. W trzech ostatnich miejscowościach przebijano pokłady o grubości 6, a nawet 8 metrów.

Wspaniałe wprost wyniki dały wiercenia, dokonane w ostatnich czasach, które przyczyniły się do rozszerzenia znanych granic Zagłębia na południo-wschodzie, a mianowicie wiercenia w gminach: Ryczowie, Bachowicach, Spytkowicach, Przegini duchownej i Rącznej, w tej ostatniej o 14 kilometrów od Krakowa.

W Ryczowie formacyę węglową nawiercono w głębokości 350 metrów i do głębokości 905 m. przebito 21 pokładów węgla o łącznej grubości 35,8 metra. Najgrubszy pokład (14-ty) w głębokości 721 metrów mierzy 6,3 m., oprócz tego były dwa pokłady przeszło 3-metrowe i jeden 4½-metrowy w głębokości 751 m.

Te parę przykładów dać mogą pewne pojęcie o bogactwie Zagłębia. Co się tyczy prawdopodobnej ilości zapasów węgla, to w Monografii (tom II, str. 61) znajdujemy następujące cyfry.

Bogactwo pokładów węgla:

Śląsk Górny	56.600,000,000	tonn
Krolestwo	6.800,000,000	»
Śląsk Austr. i Morawy	19.700,000,000	»
Galicya	29.500,000,000	»

Zwracamy uwagę, że obliczenia te były dokonywane wtedy, kiedy zaledwie połowa zbadanego obecnie Zagłębia była znaną. Obecnie można śmiało twierdzić, że Zagłębie Krakowskie tak co do obszaru, jak i co do ilości

węgla znacznie przewyższa pokłady górno-śląskie, nie mówiąc już o tem, że zawiera kilkakrotnie więcej węgla, niż wszystkie pokłady austryackie.

Jeżeli teraz porównamy produkcyę węglową Zagłębia Krakowskiego z innemi okręgami węglowemi, to przekonamy się w jak małym stopniu dotąd wyzyskano te ogromne bogactwa.

Produkcya w tonnach:

Okręgi:	Górno-Śląski.	Ostrawsko-Karwiński.	Dąbrowski.	Krakowski.
1910 r. . . .	34.416.094	7.675,949	5.468,763	1.357,513
1911 r. . . .	36.622,969	8.073,713	5.769,928	1.653,724

W produkcyi węglowej Zagłębia daje się wprawdzie zauważyć wzrost, ale stosunkowo bardzo powolny, oto odnośne cyfry:

Produkcya w latach (centnary metryczne):

1901	1902	1903	1904	1905
9.878,544	8.643,530	8.155,324	9.884,381	11.182,009

1906	1907	1908	1909
13.036,862	13.456,024	12.762,593	11.762,331

Produkcya Zagłębia w r. 1910 wynosiła nieco więcej, niż 1/9 w stosunku do produkcyi Austryi (123.540,447 ctn. metr.), a ilość robotników, zajętych w górnictwie węglowem, wynosiła w tymże roku 6,421 wobec 69,969 w całej Austryi.

Na terenie Zagłębia istnieje w danej chwili 6 większych przedsiębiorstw górniczych. Na pierwszem miejscu stoi kopalnia węgla Gwarectwa Jaworznickiego w Jaworznie, założona już w 1805 roku. Należała ona początkowo do Rzeczypospolitej Krakowskiej, potem przeszła na własność rządu austryackiego, od którego została nabytą w 1871 r. przez Gwarectwo. Należy do niej 85,286 km.² miar górniczych i 176 wyłączności *). Ilość zatrudnionych robotników wynosi 2800. Produkcya przenosi 75,000 wagonów rocznie. Udziały są w rękach niemieckich kapitalistów.

Drugą z kolei co do czasu założenia jest kopalnia w Sierszy, własność galicyjskiego tow. akcyjnego zakładów górniczych w Sierszy. Założoną została przed 40 laty

---

*) O miarach górniczych i wyłącznościach będzie mowa w drugiej połowie artykułu.

przez Adama hr. Potockiego, w 1908 roku została zamienioną za pośrednictwem dolno-austryackiego Towarzystwa eskontowego wraz z kopalnią węgla «Krystyna» w Tenczynku i z hutą cynkową w Krzu, na Towarzystwo akcyjne z kapitałem 5,000,00e koron. Własność górnicza wynosi 14,472 km² miar górniczych, produkcya przeciętnie 45,000 wagonów węgla. Towarzystwo posiada 877 wyłączności.

Gwarectwo węglowe Brzeszcze w Krakowie posiada kopalnię w Brzeszczach niedaleko Oświęcimia. Posiada 3,609 km.² miar górniczych oraz 769 wyłączności. Założona w r. 1906 przez dr. Arnolda Rapoporta, obecnie nabyta przez rząd austryacki.

Tow. akcyjne górnicze i przemysłowe Société anonyme minière et industrielle à Verviers. Kapitał zakładowy 3,000,000 fr. i 2,500,000 fr. pryorytetów. Posiada kopalnię w Borach koło Jaworzna. Własność górnicza 3.5 km.² miar górn.

Kopalnie w Tenczynku są narazie bardzo małe i produkuje zaledwie 2,500 — 3,000 wagonów. Do największych Towarzystw należy «Compagnie galicienne de mines à Paris». Kapitał zakładowy wynosi 5,500,000 fr. —posiada 2.8 km.² miar górn. oraz 617 wyłączności w okolicy Libiąża. Założona w r. 1906.

Z tego krótkiego przeglądu istniejących kopalni widzimy, że reprezentują one stosunkowo niewielkie kapitały i że produkcya ich jest w stosunku do obszaru Zagłębia minimalną. Wystarczy porównać ją choćby z produkcyą Zagłębia Dąbrowskiego (p. wyżej), aby przekonać się jak w małym stopniu wyzyskiwane są bogactwa naturalne Zagłębia. W Zagłębiu Dąbrowskiem istnieje 10 wielkich towarzystw węglowych, rozporządzających summą 37,000,000 rb. kapitału zakładowego i kilkunastu milionów obligacyi z roczną produkcyą prawie 4-krotnie większą, pomimo, że przestrzeń Zagłębia Dąbrowskiego ma się do Krakowskiego jak 1 do 6.

Drugą cechą charakterystyczną przemysłu węglowego wspólną zresztą z Zagłębiem Dąbrowskiem, jest nikły udział kapitału polskiego. Według wszelkiego prawdopodobieństwa bogactwa węglowe czeka los nafty galicyjskiej.

Przyczyny słabego rozwoju przemysłu węglowego w Galicyi są różnorodne. Pominąwszy późne odkrycia Zagłębia i brak kapitałów krajowych, mamy tu do czynienia w pierwszym rzędzie z niezmiernie trudną konkuren-

cyą z węglem pruskim. Ten ostatni ma już wyrobioną markę na rynku galicyjskim, konsumenci przyzwyczaili się do niego, pozatem syndykat górno-śląski może z łatwością przy olbrzymiej produkcyi obniżać dowolnie ceny. Nic dziwnego przeto, że pojedyncze kopalnie z trudnością tylko wytrzymują konkurencyę. Dodajmy do tego, że do ostatnich lat galicyjskie koleje żelazne przewoziły węgiel pruski taniej od węgla galicyjskiego. Działo się to wskutek tego, że węgiel pruski szedł do Galicyi na główne linie kolejowe i opłatę za transport obliczano na podstawie zwykłej taryfy do stacyi odbiorczej, podczas gdy kopalnie galicyjskie, leżące przy szlakach kolei lokalnych, płaciły droższą taryfę wskutek osobnego obliczania przewoźnego od stacyi nadania do stacyi złączenia kolei lokalnej z koleją państwową i od tejże stacyi złączenia do stacyi odbiorczej. Oprócz tego producenci węgla pruskiego przy poparciu wpływowych odbiorców galicyjskich uzyskali najtańszą taryfę wyjątkową na odległość wyżej 280 kilometrów, podczas gdy producenci galicyjscy płacili drożej. Ciekawą i trudną do wiary wprost rzeczą jest to, że ani konsumenci, ani producenci nie starali się przez szereg lat o zmianę takiego takiego stanu rzeczy i dopiero w 1909 r. Ministeryum obniżyło taryfę na skutek starań p. Filipiego, wicedyrektora Gal. zakładów górniczych.

Oto dawna taryfa:

na odległość kilom.	dla węgla pruskiego.	dla węgla galicyjsk.
100	380	420
200	590	630
300	722	780
400	800	950
500	960	1.110

Cena w halerzach za tonnę.

Nic dziwnego więc, że na ogólną konsumcyę węgla w Galicyi, wynosząca 280,000 wagonów rocznie, przeszło połowa czyli 145,000 wag. pochodzi z Prus.

Mało tego. Sąsiednie Węgry przy rozwijającym się przemyśle mogłyby być doskonałym rynkiem zbytu dla Galicyi, gdyby nie taryfa kolejowa węgierska, która tak się przedstawia.

Cena przewozu w halerzach od tonny na odległość:

	kil.:	50	100	200	300	400	500	600
a) za węgiel węgierski .	hal.:	200	340	600	800	1,000	1,140	1,280
b) » » pruski .	»	250	430	770	1,040	1,300	1,480	1,660
c) » » galicyjski .	»	320	570	1,020	1,400	1,780	2,010	2,230

Z tego widzimy, że konkurencya węgla galicyjskiego z pruskim na Węgrzech jest zupełnie wykluczoną. Jest to rzeczą tym dziwniejszą, że żadne względy ekonomiczne nie przemawiają za protegowaniem węgla pruskiego. A Węgry sprowadzają z Prus 15.000,000 cetnarów metrycznych węgla rocznie.

Pomimo jednak tylu przeszkód Zagłębie Krakowskie ma przed sobą wspaniałą przyszłość. Przedewszystkiem, w miarę wzrostu kultury w samej Galicyi i w miarę zastępowania opału drzewnego węglem, wzrośnie pojemność krajowego rynku z 280,000 wagonów na 750,000 (obliczenia dr. Benisa Mon. tom IV. str. 17). Następnie w razie przeprowadzenia kanałów, których budowa obecnie, niestety, stanęła na martwym punkcie, utworzy się przed Zagłębiem rynek zbytu w samej Austryi, która obecnie sprowadza z zagranicy węgla za 78,000.000 koron, z czego z Prus 900,000 wagonów, wartości przeszło 50.000,000 koron. Wreszcie obfitość węgla na miejscu wraz z gęstem zaludnieniem Galicyi Zachodniej i obfitością tanich rąk roboczych już ściąga kapitały, które pokryją całe Zagłębie lasem kominów fabrycznych. Odsyłając tych, którzy zechcieliby lepiej zapoznać się z tą kwestyą do wspominanej już «Monografii», zajmiemy się obecnie rozstrzygnięciem pytania, dlaczego te niewyczerpane wprost skarby, które w myśl rozpaczliwych słów inż. Franciszka Drobniaka, mogły nas uczynić najbogatszem ze społeczeństw, mogą stać się w niedalekiej przyszłości przekleństwem i bronią potężną w rękach wrogów naszych. Chcemy mówić tu o zajęciu Zagłębia Krakowskiego przez Niemców.

(c. d. n.)

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

ADOLF PEPŁOWSKI.

W pierwszym zeszycie *Myśli Narodowej* przypada nam w udziale zapisać wspomnienie pozgonne. Wspomnienie o mężu, który właśnie przez życie całe był szczerej myśli narodowej potężnym rzecznikiem i świetnym obrońcą.

Zmarł ś. p. Adolf Pepłowski.

Komuż z Polaków imię to jest obce?.. Któż, wobec trumny najznakomitszego polskiego adwokata, którego krasomówstwo podniosłe, umysł głęboki, wiedza wszechstronna, pracowitość niezrównana, prawość nieskazitelna, odwaga obywatelska i patryotyzm gorący zasłynęły po całym obszarze ziem polskich — któż, wobec tej trumny, nie pośpieszy z hołdem dla sławy powszechnej i dla zasług tak niespożytych?..

A jednak zasługi mecenasa Pepłowskiego nie były naogół znane w całej pełni. Tak samo, jak niewiadome były ogółowi i różne znamienne szczegóły jego życia...

Mało kto, naprzykład, prócz osob, bezpośrednio wtajemniczonych w wypadki 1863—64 roku, lub należących do szczupłego grona najbliższych znajomych zmarłego mecenasa, wiedział, iż podczas powstania był on przez pewien czas, z ramienia władz spiskowych, komendantem Warszawy i że, stawiony przed sądem wojennym w Cytadeli Warszawskiej, wysłuchał tam wyroku śmierci. Wiedziano, że brał udział w wypadkach z przed lat 53, i że skutkiem tego był na wygnaniu; ale nie wiedziano, że w rzeczonych wypadkach grał rolę tak poważną, i że oto przez chwilę stało przed nim złowrogie widmo szubienicy...

Bo Pepłowski wogóle nigdy się nie chlubił tem, co zdziałał, ani się nie chełpił tem, co przeżył. Do wiadomości ogółu dochodziły echa jego świetnych wystąpień obrończych, ale znana była zaledwie cząstka tych wystą-

pień, a nadomiar w ukryciu pozostawały fakty niezliczonych jego porad i narad, zawsze przejętych troską o sprawy narodowe.

Pepłowskiego zwano często romantykiem. Jakoż wielbił on i miłował wielkich wieszczów naszych i rad cytował szczytne ich hasła. Ale natomiast był zgoła daleki od owych tak częstych w naszem społeczeństwie nibyromantyków, co to wrzekomą podniosłość ducha zasadzają na pomijaniu rzeczywistości, upajając się ułudą i lekceważąc codzienną walkę o byt narodowy. Inaczej Pepłowski. Wierząc i głosząc nieustannie, że «Polska nie zginęła, póki my żyjemy». on z tych słów pieśni narodowej czerpał przykazanie i podnietę życia. Właśnie: życia; a więc nie snu i nie biernego jeno trwania, ale czynu i trudu, utrwalającego i wzmagającego byt i siły współczesnych i budującego zręby gmachu bytowania i rozwoju tych, co po nas przyjdą...

— «Zestrzelmy myśli w jedno ognisko i jedno ognisko duchy!» pomnąc, że «w szczęściu wszystkiego są wszystkich cele» — wołał Pepłowski za Mickiewiczem i, w imię tego hasła, nawoływał do solidarności narodowej nazewnątrz.

— «Niech żywi nie tracą nadziei!» — zaklinał za Słowackim i przeto oburzał się na wszelkich puszczyków zwątpienia, wróżących narodowi zagładę.

— «Jedną spójnią, w jednym duchu, jak ogniwa na łańcuchu, Pan powiązał ojców z syny!» — powtarzał za Krasińskim i dlatego oburzał się na tych, co świętokradzkiemi usty opluwają przeszłość naszą.

Rozumiał, że «trzeba z żywym naprzód iść, po życie sięgać nowe», ale nie mniej czcił «uwiędłych laurów liść» i czuł się dumnym, jako syn narodu, co «płaszcz na sobie ma niewyżebrany, ale przeszłością przodków swoich świetny».

Z tą zaś szlachetną dumą narodową zespalała się w duszy jego otucha, że naród, przeszłością taką bogaty i mimo działów niepodzielny, zdoła przetrwać mroczną teraźniejszość i doczeka się onej wróżonej przez Mickiewicza «jutrzenki swobody», za którą «zbawienia słońce»...

Pewnikiem tedy było dla niego, że prędzej, czy później «grób ten pęknie, co stoi śród świata», że «cmentarz z lodu i z kamieni w sejm, w zjazd, w Polskę się przemieni» i «jak zaklęte czarem bóstwo, przeszłość wróci w jawu kraje», byleby naród sam się nie zgubił, zatruw-

szy sobie ducha rozpaczą lub upodleniem; bo «upaść może i naród wielki, zginąć tylko nikczemny» i arka narodu «żadnym nie złamana ciosem, dopóki własny jej lud nie znieważy»...

Z powyższej wiązanki kwiatów myśli polskiej splótł się już poniekąd wizerunek duchowy zmarłego mecenasa.

Urodzony w r. 1840 w Łomży, gdzie ojciec jego urzędował w sądownictwie, Adolf Pepłowski w zaraniu młodości przejął się pragnieniem, by «nieść przed narodem oświaty kaganiec» i, z myślą poświęcenia się zawodowi nauczycielskiemu, podążył na wydział filologiczny uniwersytetu moskiewskiego. Gromadził się tam podówczas liczny zastęp polskiej młodzieży, pozbawionej wyższych uczelni w kraju, a pociąganej do Moskwy istniejącemi wtedy na tamecznym uniwersytecie specyalnymi wykładami przedmiotów polskich.

Pepłowski znalazł tu ujście dla swych upodobań. Miał «tę miłość, która nęci wiecznie duszę w kraj pamięci»; ze szczególnym więc zapałem studyował dzieje ojczyste i powszechne i dzięki temu przez życie całe zdumiewał posiadanym zasobem wiedzy historycznej, ile że wiadomości, zdobyte na ławie uniwersyteckiej, wciąż potem wzbogacał i utrwalał, czytając i znając wszystko, cokolwiek się ukazywało nowego w zakresie historyi polskiej.

Już w okresie uniwersyteckim przypadło Pepłowskiemu w udziale wystąpić na szerszej widowni: pospołu ze ś. p. Janem Nowodworskim wysłali go koledzy do Warszawy z adresem młodzieży do Tow. Rolniczego, domagającym się podjęcia inicyatywy o otwarcie w kraju własnej wszechnicy. Deputacya ta ściągnęła na wysłańców pościg policyi warszawskiej; ale, w porę ostrzeżeni, uniknęli aresztowania, wyjechawszy z Warszawy. W uniwersytecie moskiewskim zwinięto wtedy wykłady przedmiotów polskich, przeważna więc część polskich słuchaczów przeniosła się na dalsze studya nad Newę. I Pepłowski tedy skończył uniwersytet w Piotrogrodzie. W r. 1861 powrócił do kraju i tu oddał się wnet pracy pedagogicznej, jako nauczyciel historyi w szkole częstochowskiej.

Trwało to atoli niedługo. Świtały podówczas w kraju nadzieje wskrzeszenia wolności narodu. Reformy Wielopolskiego kładły podwaliny odrodzenia; ale żywiołom gorętszym droga ta zdała się zbyt powolną i wręcz szkodliwą. Dojrzewała myśl zbrojnego powstania. I Pepłow-

skiego pociągnął wir wypadków. Porzucił stanowisko nauczyciela i przystał do organizacyi powstańczej, gdzie, różne kolejno zajmując placówki, ostatnio, na schyłku powstania, sprawował urząd konspiracyjnego naczelnika m. Warszawy.

Uwięziono go, jak tylu innych, jako człowieka «niebezpiecznego», nie domyślając się zrazu istotnej jego roli w organizacyi powstańczej, i poprzestając przeto na zesłaniu na Syberyę. Ale niebawem zaszła zmiana. W toku innych śledztw, władze wpadły na trop rzeczywistej działalności Pepłowskiego. Cofnięto go tedy z drogi na Syberyę, wznowiono śledztwo i oddano pod sąd wojenny, który skazał go na śmierć... Był to jednak już rok 1865, kiedy, wobec ostatecznego stłumienia powstania, złagodniała nieco w Królestwie srogość represyi. Namiestnik przy konfirmacyi złagodził wyrok, zastępując karę śmierci ciężkiemi robotami. Zanim atoli skazańca zdołano odstawić do katorgi, przyszły potem jeden po drugim dwa ogólne Manifesty ułaskawiające, i Pepłowski ujrzał się wolnym od ciężkich robót, swą «młodość górną a chmurną» przypłaciwszy ostatecznie tylko siedmioletniem wygnaniem.

W r. 1872 powrócił do Warszawy z niewygasłem pragnieniem służenia krajowi. Ale wymarzony w młodości zawód nauczycielski stał się teraz niedostępnym dla politycznego skazańca. Innnej jąć się musiał pracy.

Wybrał adwokaturę. Jakoż, dzięki wpływom życzliwych osób, zdołano wyjednać dlań pozwolenie zapisania się na aplikacyę sądową, po której Pepłowski rozpoczął praktykę obrończą, przy boku mecenasa Józefa Kokelego.

Tak więc jeno los zrządził, że Pepłowski, wbrew pierwotnym zamiarom i chęciom, został pracownikiem na niwie obrończej, na której tak wielką zdobyć zdołał sławę i którą blaskiem swojego imienia tak chlubnie opromienił...

W służbie Temidy rychło zasłynął, jako najznakomitszy dotąd w Polsce obrońca kryminalny. Czyniły go takim: świetny dar wymowy, wszechstronna wiedza, pamięć bezprzykładna, bystrość umysłu, trafność sądu, przenikliwość wnioskowania, moc argumentacyi i niezrównana pracowitość w zbadaniu każdej sprawy.

W r. 1876 odbyła się w Królestwie Polskiem «reforma sądowa». Dawniejsze sądy, z Polaków złożone i po polsku wyrokujące, a w prowadzeniu spraw kierujące się (jeszczę od czasów ks. Warszawskiego) procedurą fran-

cuską w procesach cywilnych, a w sprawach kryminalnych — ordynacyą kryminalną pruską (w gub. Warszawskiej, Kaliskiej, Łomżyńskiej, Piotrkowskiej; Płockiej i Suwalskiej), lub takąż ordynacyą austryacką (w gub. Kieleckiej, Lubelskiej, Radomskiej i Siedleckiej), zastąpiono sądami, zorganizowanymi na modłę rosyjską, obsadzonymi zrazu przeważnie, a potem wyłącznie przez Rosyan, stosującymi procedurę rosyjską i wyrokującymi po rosyjsku.

Reforma sądowa z r. 1864 w Rosyi było olbrzymim krokiem postępu; natomiast reforma sądowa z r. 1876 w Królestwie Polskiem była olbrzymim krokiem rusyfikacyi. Toż nie dziw, że społeczeństwo polskie, któremu w ten sposób odebrano własnych sędziów i własny język w sądownictwie, od pierwszej chwili zajęło wobec rzeczonej reformy stanowisko wrogie.

Wynikały stąd częste starcia. Starcia tem bardziej nieuniknione, że przysyłani do Polski rosyjscy sądownicy przejmowali się misyą szerzenia i utrwalania tu rosyjskich haseł i rosyjskiego wpływu.

W owej to epoce zajaśniała w całej pełni iście obywatelska i myślą narodową nawskroś przepojona działalność Pepłowskiego.

Ława obrończa stała się dlań trybuną, z której każdy zamach na nasze prawa napotykał z jego ust dzielne odparcie, każde dobro narodowe doznawało gorącej obrony; każda krzywda polska dzwoniła donośnem echem protestu; każda przeciwko Polakom obelga, lub insynuacya znajdywała śmiałe napiętnowanie.

Adwokata powołaniem jest być obrońcą uciśnionych. Adwokat Pepłowski stał się obrońcą uciśnionego społeczeństwa polskiego...

Pamięć publiczna z wdzięcznością przechowa liczny szereg jego wystąpień w tym kierunku. Najgłośniejszem zaś z nich była obrona w sprawie adw. Dominika Anca, który, w pierwszych latach działalności sądów rosyjskich, w Królestwie, dostał się na ławę oskarżonych pod zarzutem zobelżenia wiceprezesa sądu warszawskiego, Endena.

Była to, właściwie, nie osobista sprawa adw. Anca, ale raczej powszechna sprawa polskiej adwokatury, w jej starciu z nową magistraturą — rosyjską; Anc bowiem zaczepił wiceprezesa Endena z powodu nieprzyzwoitego traktowania przezeń adwokatów.

Przy rozprawie, prokurator, popierający oskarżenie, domagał się jaknajsurowszego wymiaru kary, z racyi, że

oto Polakom, miast lichej chałupy, jaką było ich dawne sądownictwo, dano wspaniały pałac nowych sądów, a oni, z uporem ślepego zacofania, nie chcą uznać i odczuć tego dobrodziejstwa i wciąż się oglądają za swą dawną, zatęchłą lepianką...

Pepłowski, w swojej obronie, odparł na to, że, choćby nawet dawne sądy nasze, istotnie, były jeno chatą ubogą, to przecie było to własne polskie domostwo, słusznie więc milsze nam i droższe, aniżeli obce pałace. Ale, co więcej — brzmiały dalej wywody obrony — prokurator zasadniczo się myli. Dla Rosyi jej reforma sądowa była zastąpieniem brudnych zakamarków przez pałac okazały. Ale my, Polacy, zdawna mieliśmy u siebie wspaniały gmach sądownictwa, wzniesiony na początku XIX wieku, wedle wskazań właściwej nam cywilizacyi zachodniej, bo na modłę francuską. W tym gmachu polska rozbrzmiewała mowa, a procesy cywilne toczyły się wedle procedury francuskiej, lepszej i właściwszej nam, aniżeli procedura cywilna rosyjska, oparta na wzorach niemieckich. Wbrew temu więc, co rzekł prokurator, my, Polacy, mieliśmy dawniej prawdziwy pałac sprawiedliwości, a tak zwana reforma sądowa swojski ten gmach zwaliła i strąciła nas do obcego hotelu«...

Przepiękna mowa Pepłowskiego w tej sprawie, aczkolwiek, z racyi cenzury, ogłoszona drukiem w skróconej tylko postaci, obudziła podówczas zachwyt w całym kraju, a adwokatura warszawska brylantowym pierścieniem uczciła złotoustego rzecznika swojej sprawy.

Ten hołd był widomą oznaką uznania w Pepłowskim istnego przodownika polskiej adwokatury.

Jakoż był takim przodownikiem i pozostał nim aż do zgonu.

Bo nikt podnioślej, niż on, nie pojmował i nie spełniał zadań polskiego adwokata; nikt goręcej nie dbał o godność i dostojeństwo zawodu; nikt, przy sprawowaniu obowiązków obrończych, nie mógł mu sprostać w baczności na interes narodowy i w trosce o dobro publiczne; nikt śmielej odeń i godniej nie zwalczał wszelkich zaczepek, skierowanych przeciwko społeczności polskiej.

Druzgotał takie zaczepki potęgą argumentów, lub miażdżył obuchem śmieszności.

Naprzykład, w pewnej sprawie, w której ziemianin z Piotrkowskiego był oskarżony o opór władzy (nb. za to, że od drzwi sypialni swojej żony odepchnął komornika, który usiłował tam wejść dla dokonania zajęcia, po-

mimo oświadczenia, że pani dopiero się ubiera) prokurator, na tle zaczerpniętej z «Pana Tadeusza» cytaty o ucieczce woźnego Protazego, wygłosił namiętną tyradę o «ciążącym na sądach rosyjskich obowiązku surowego poskromienia tradycyjnej polsko-szlacheckiej anarchii tak dosadnie odmalowanej w arcydziele Mickiewicza i wymagającej przykładnego skarcenia».

Pepłowski, w odpowiedzi na to, rozpoczął od zaznaczenia, że prokurator na bardzo śliską wszedł drogę, gdy zalecał, by wyrokowanie sądu opierać na arcydziełach literatury. Jakiż bowiem wypadł by wyrok o całem społeczeństwie rosyjskiem, jeśliby o niem zawyrokować na podstawie «Dusz Martwych» Gogola, i jaki, zwłaszcza, sąd wypadłby o przedstawicielach rosyjskiej prokuratury, jeśliby w tej mierze zacytować odpowiedź Sobakiewicza Czyczykowowi («Czy są tu u was w mieście ludzie?» pytał Czyczykow Sobakiewicza — «Ludzie? Ludzi u nas niema. Jest tylko prokurator, ale i ten ..»).

Cięta replika obiegła w swoim czasie kraj cały.

Podobne przykłady można by mnożyć bodaj bez liku; ale nie miejsce i nie czas po temu. Skoro jednak mowa o występach obrończych Pepłowskiego, godzi się przypomnieć wspaniałą, a ogółowi naszemu mało znaną jego obronę w Łucku licznej rzeszy chłopów z pow. Krzemienieckiego (na Wołyniu), oskarżonych o bunt, a dzięki Pepłowskiemu zupełnie uwolnionych od tego zarzutu, i ostatni co do czasu, a więc w pamięci społeczeństwa polskiego żywo jeszcze przytomny, proces kompletu Sądu Arcybiskupiego warszawskiego, z biskupem Ruszkiewiczem na czele, zakończony ostatecznie umorzeniem całego oskarżenia.

Był to śpiew łabędzi Pepłowskiego. Wyjątkowo silny, lecz nadmiarem pracy podkopany, organizm jego sterał się doszczętnie. Dotknięty wzrastającą niemocą, Pepłowski musiał zaniechać pracy zawodowej i od r. 1913 gasł powoli w zaciszu domowem, bolejąc nad niedolą ojczyzny, ale zarazem niezłomnie wierząc w jej zmartwychwstanie i tą wiarą osładzając swoje cierpienia. Czytaniem dzieł historycznych zapełniał sobie życie, ale nie mógł, ani nie umiał się pogodzić z przymusowem odsunięciem od pracy—on, który przez życie całe pracował tak niestrudzenie!..

Bo była to, rzeczywiście praca nad miarę i nad siły. O jej ogromie wiedzą tylko ci, co stali blisko Pepłowskiego, i co pamiętają, że jego zajęcia w kancelaryi

trwały codzień do 11—12 w nocy, że ten człowiek nie miał wolnych chwil na żadne rozrywki, i że prawie nigdy też ni widywano go ani na zebraniach towarzyskich, ani na widowiskach.

To pochłonięcie pracą zawodową sprawiało, że ś. p. Adolf Pepłowski mało brał udziału w działalności społecznej lub politycznej. Żywo się troszczył o wszelkie sprawy publiczne, hojne łożył na nie ofiary, uczestniczył w każdej użytecznej inicyatywie i w każdej naradzie *pro publico bono;* ale natomiast musiał odmawiać udziału w kierowaniu instytucyami społecznemi, bo, wolen próżności i pychy, tytularnym prezesem nigdy być nie chciał, a na czynne sprawowanie obowiązków społecznych nie wystarczało mu czasu...

Bądź co bądź, godzi się nadmienić, że przez szereg lat, niemal do ostatka, zajmował stanowisko przewodniczącego w zawiązanym poufnie sądzie korporacyjnym adwokatury polskiej, przez kilka lat był prezesem sekcyi karnej Tow. prawniczego, był jednym z założycieli i pierwszym prezesem «Lutni», oraz prezesem patronatu nad więźniami, przewodniczył na odbywanych w Warszawie Zjazdach delegatów adwokatury polskiej i należał do organizowania poważnych wydawnictw, jak «Ateneum», «Encyklopedya wychowawcza», «Biblioteka umiejętnosci prawnych» i in.

W życiu politycznem kraju brał udział tylko o tyle, że rad stawał zawsze do apelu na odbywające się w tej dziedzinie narady.

Tu należy, naprzykład, zaznaczyć czynną i owocną jego rolę na jesieni 1897 r., w kierunku wpływu na młodzież uniwersytecką, celem powstrzymania jej od zamierzonego podówczas gromadnego opuszczenia uniwersytetu warszawskiego, z racyi kar, jakie spadły były na sprawców demonstracyi przeciwko gronu profesorów warszawskich, podpisanych na depeszy gratulacyjnej na dzień poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik Murawjewa w Wilnie.

Pamiętam do dziś dnia argument, jakim trafił wtedy Pepłowski do serc i umysłów młodzieży.

— «Chcecie solidaryzować się—mówił—z tymi, którzy cierpią za szlachetną demonstracyę uczuć narodowych, obrażonych przez polityczną prowokacyę garści rosyjskich profesorów. Słuszna jest ta wasza chęć; ale zupełnie natomiast jest mylny zamierzony sposób ujawnienia solidarności. Solidarność ta powinna być twórcza, t. j. po-

winna polegać na dostarczaniu wydalonym z uniwersytetu kolegom należytej pomocy do ukończenia nauk gdzieindziej. Natomiast błędem byłoby gromadne, w imię chęci protestu, opuszczenie uniwersytetu. Błędem nie tylko dlatego, że, miast ustępujących studentów polaków, napłynęłaby do uniwersytetu fala młodzieży obcej; ale przedewszystkiem dlatego, że nie należy protestować przeciwko samemu faktowi skazania demonstrantów. Demonstracya jest postacią walki; o tyle więc tylko ma wartość moralną i sens, o ile wyobraża śmiałe i świadome narażenie się na niebezpieczeństwo, w imię szczytnej pobudki, dla której jest przedsiębrana. Każda zaś demonstracya, którąby z góry liczyła na zupełną swą bezkarność, byłaby jeno czczą zabawą i obniżeniem poziomu godności narodowej, byłaby tedy wręcz godna nagany i potępienia»...

Argumenty powyższe podziałały. Zamierzony protest i strejk nie doszły do skutku. A wydaleni z uniwersytetu studenci dostali fundusze na ukończenie studyów akademickich za granicą.

Drugim w dziedzinie praktycznej polityki wydatnym krokiem Pepłowskiego były jego wystąpienia w toczącej się w r. 1905 akcyi szkolnej. Pamiętne jest zwłaszcza na głośnym ówczesnym «wiecu rodziców» w sali warszawskiego Muzeum rolnictwa i przemysłu, gorące i mocne przemówienie Pepłowskiego do kuratora Szwarca, nawołujące tegoż, by umiał stać się mężem stanu, rozumiejącym istotny interes państwowy, i przyłożył się do uczynienia zadość słusznym dążeniom społeczeństwa polskiego.

Tu atoli wymowa Pepłowskiego nie odniosła skutku... Pan Szwarc pozostał Szwarcem; a potem, snać w nagrodę tej nieustępliwości, zrobiono go ministrem...

Z chwilą nastania w kraju przedstawicielstwa politycznego (w r. 1906), Pepłowski, przy czterokrotnie odbytych wyborach poselskich, był stale obierany do grona 84 wyborców z naszej stolicy. Natomiast mandatu poselskiego, gdy mu go zaproponowano w r. 1910, przyjąć nie chciał, z racyi choroby, która już wtedy mocno podkopała jego siły, a obecnie przecięła długie pasmo zacnego życia...

W Pepłowskim zmarł człowiek wielkiego serca, wielkiego umysłu i wielkiej zasługi.

A okrom tego zmarł w nim talent świetny, iście wyjątkowy.

Był to bowiem najznakomitszy podotąd mówca są-

dowy polski. I nietylko polski. Jego mowy obroncze śmiało nazwać można wzorami krasomówstwa sądowego wogóle, bo nie tracą na porównaniu z najsłynniejszemi wzorami wymowy sądowej we Francyi, Niemczech, Włoszech czy Rosyi. Czar słowa kojarzył się w nich ze swadą polemiczną, bogactwem obrazowania, polotem myśli i jasnością wysłowienia. A przytem żadnego efekciarstwa, żadnej pogoni za frazesem.

Mówca z Bożej łaski, Pepłowski, nigdy mów swoich nie przygotowywał. Uczył się sprawy, ale nie uczył się obrony. Nigdy jej nie pisał, ani nawet nie szkicował. Szkoda. Szkoda dla tego, że z tej przyczyny trudno jest obecnie zebrać i utrwalić w druku spuściznę jego świetnego talentu. Wybór mów Pepłowskiego możnaby odtworzyć jedynie z okruchów sprawozdań dziennikarskich.

Można i trzeba.

Bo będą to nietylko świetne wzory polskiej wymowy, ale i szacowne przyczynki do dziejów naszej doli i niedoli z ostatniego czterdziestolecia.

Będzie to, wreszcie, pomnik *aere perennius* ku czci męża, przez którego zgon adwokatura nasza straciła najświetniejszą swą gwiazdę, społeczeństwo — dzielnego i prawego obywatela, a Polska cała—jednego z najlepszych i najwierniejszych swych synów, co zawsze był rzecznikiem jej myśli i obrońcą jej interesów, i co w najtrudniejszych dla narodu chwilach nie tracił hartu i wytrwania, bo k chał, wierzył i miał nadzieję.

Franciszek Nowodworski.

WŁADYSŁAW ROTHERT.

Burza dziejowa, która tylu nas wyrzuciła ze swych ognisk domowych, odrywając od warsztatu pracy i skazując na długą tułaczkę po obczyźnie, zabiera nam wciąż nowe ofiary, którym niestety nie sądzono już wrócić do kraju i pracować w nim przy bardziej może pomyślnych warunkach. Ze smutkiem musimy zapisać do kroniki żałobnej naszego wychodźtwa przedwczesną śmierć ś. p. Władysława Rotherta, wybitnego uczonego botanika, zmarłego w Piotrogrodzie 3 stycznia 1916 roku.

Zmarły pochodził z rodziny ewangielickiej wprawdzie, lecz oddawna osiadłej w Kaliskiem, a z Polską duchowo zrosłej. Ojciec ś. p. Władysława pracował w za-

kresie handlu i przemysłu uprzednio w Warszawie, następnie w zarządzie dóbr ks. Wittgensteina w Wilnie: i tu w r. 1863 przychodzi mu na świat najstarszy syn Władysław. Później osiada w Rydze, gdzie jako dyrektor wielkiej kredytowej instytucyi zamieszkuje przez długie lata, aż do śmierci. Dom Rothertów w Rydze staje się jednem z ognisk polskości, gdzie młodzież, przebywająca na studyach, czerpie ducha narodowego i przyucza się do społecznych obowiązków. P.p. Rothertowie dają kilkorgu swym dzieciom staranne wychowanie, którego podstawą jest spartanizm w przyzwyczajeniach, oszczędność, porządek, wysokie poczucie obowiązku i zamiłowanie do pracy. Cnoty te wynosi z domu i ś. p. Władysław i wstępuje z niemi w życie. Po ukończeniu szkół w Rydze udaje się na uniwersytet w Dorpacie, gdzie w r. 1885, mając lat 21, kończy wydział przyrodniczy. Następnie po trzechletnich studyach botanicznych zagranicą, w r. 1888 w Kazaniu zyskuje stopień naukowy magistra i D-ra botaniki i w r. 1889 habilituje się jako docent prywatny botaniki. Z Kazania zostaje powołanym na nadzwyczajnego profesora botaniki do Charkowa i tu w r. 1900 zostaje prof. zwyczajnym, a w r. 1902 przenosi się do Odesy.

W długiej wędrówce po obczyźnie ś. p. Rothert ani na chwilę nie zapomina o nauce polskiej, ogłaszając liczne swe prace w języku ojczystym. Akademia Umiejętności w r. 1901 powołuje młodego uczonego na swego członka-korespondenta.

Po sześcioletnim pobycie w Odesie ś. p. Rothert, wyłącznie oddany pracy naukowej po za wszelkiemi sprawami politycznemi, mimowolnie zostaje wciągniętym do walki, w której paść musiał ofiarą swych przekonań. Należąc wśród grona profesorów do stronnictwa postępowego i broniąc interesów młodzieży i autonomii uniwersytetu, z «powodów niezależnych» musiał opuścić Uniwersytet, a zarazem zakończył swą działalność uniwersytecką w Rosyi, lecz nie naukową.

W r. 1907 odbywa ś. p. Rothert — z ramienia Akademii Nauk w Piotrogrodzie, lecz na swój własny koszt, botaniczną wycieczkę na Jawę, skąd, po dłuższym pobycie. przywozi wiele cennych materyałów naukowych i zbiorów botanicznych, lecz także osłabiony organizm przez nabawienie się upartej malaryi, która po powrocie do kraju często wracała i nie mogła nie podkopać niezbyt silnego zdrowia.

Wróciwszy z dalekiej podróży, ś. p. Rothert, mając materyalny byt niezależny, przenosi się na stałe do Krakowa i postanawia siły swe wyłącznie poświęcić ojczystej nauce i tu pracować. W r. 1913 po wyjściu na emeryturę prof. Janczewskiego, zawakowała na Uniwersytecie katedra anatomii i fizyologii roślin. Uniwersytet Jagielloński, chcąc znaleźć dostojnego po ustępującym profesorze następcę i mając na miejscu tak wybitną siłę, postawił ś. p. Rotherta jako jedynego kandydata. Niestety, wskutek niekorzystnej atestacyi o kandydacie, nadeszłej z poza Austryi, ministerstwo wyznań i oświaty odmówiło zatwierdzenia wyboru. Uniwersytet nie chciał ustąpić i dopiero po trzykrotnem przedstawieniu ministerstwo zaczęło się skłaniać do zgody, tak że katedra zapewne nie ominęłaby ś. p. Rotherta po ukończonej wojnie.

Zamieszkując w Krakowie, ś. p. Rothert pracował nietylko naukowo w zakładzie botanicznym, lecz przy braku dyrektora przez lat parę nim kierował. Prace Rotherta z zakresu botaniki odnoszą się przeważnie do fizyologii, a poczęści do anatomii roślin. Znane są jego badania nad spargoiną. Długie lata poświęcił badaniom nad heliotropizmem, które należą do najwybitniejszych i weszły do wszystkich podręczników botanicznych, zyskując ś. p. Rothertowi szeroki rozgłos w nauce europejskiej. Pracował też zmarły i nad systematyką roślin. Wszystkie wogóle prace jego noszą na sobie piętno wyjątkowej dokładności i sumienności i z tego względu są szczególnie cenione przez specyalistów. W Krakowie ostatnie lata zmarły pracował nad obszernym podręcznikiem anatomii roślin, który ze szkodą dla wiedzy nie został ukończony.

Różne instytucye i towarzystwa naukowe krajowe i zagraniczne, oceniając zasługi naukowe ś. p. Rotherta, mianowały go swym członkiem, a Akademia Umiejętności w Krakowie w r. 1913 zaszczyciła go najwyższem swem odznaczeniem, mianując czynnym członkiem Akademii. Krwawa wojna obecna zaskoczyła małżonków Rothertów latem 1914 r. w czasie wycieczki letniej do Norwegii. Nie mogąc, jako poddani rosyjscy, wrócić do Krakowa, zmuszeni zostali przez Finlandyę udać się do Rosyi, pozostawiając cały swój dobytek, zbiory, prace na los Opatrzności. Znalazłszy się w takiem położeniu, jak tysiące innych, ś. p. Rothert rąk nie opuszcza, zapału do nauki nie traci ani na chwilę, i uzbrojony w rezygnacyę sobie właściwą dalej oddaje się ulubionym zajęciom, nie

poddając się żywiołowej sile bezwładności, wytworzonej atmosferą wojenną. Przez Piotrogród udaje się do Kijowa, gdzie przebywa zimę 1914/15 roku, pracując prywatnie w Uniwersytecie nad zjawiskami heliotropizmu, lato 1915 r. spędza pod Helsingforsem na wycieczce botanicznej, a nie mogąc już na zimę wrócić do Kijowa, pozostaje w Piotrogrodzie dalej, prowadząc swe badania nad heliotropizmem i geotropizmem w ces. ogrodzie botanicznym i w Akademii Nauk.

Codzienne odległe paiorazowe przejazdy dla swych spostrzeżeń w surowe mrozy grudniowe spowodowały, że ś. p. Rothert uległ epidemicznie grasującej influenzy z komplikacyą zapalenia płuc i po miesięcznej chorobie nagle z udaru sercowego w 52 roku życie zakończył. Zgasło tak przedwcześnie życie człowieka, który pełen był jeszcze planów naukowych na przyszłość, w chwili, kiedy nauce polskiej, dotąd skrępowanej, szersze przedstawiają się widnokręgi w przyszłości, a pracowników tak bardzo potrzeba.

W życiu prywatnem ś. p. Rothert był człowiekiem bardziej zamkniętym w sobie, małomównym, wypowiadającym się lakonicznie i stanowczo, co mu nadawało pozory pewnej oschłości i szorstkości w obejściu. Zwykle oszczędny tam, gdzie chodziło o sprawy publiczne, umiał być szczodrym. W zapatrywaniach politycznych wróg wszelkiej pompy, nie znosił żadnych kompromisów i sytuacyi niedomówionych, gorąco kraj miłował, wierzył, że polegać można tylko na sobie, a nie na zwodniczych i wciąż zmieniających się oryentacyach, i że tylko przez wiedzę i kulturę zdobędziemy wolność i odrodzenie.

S. p. Rothert bliższej własnej rodziny nie zostawił, lecz zostawił bogatą spuściznę naukową, którą Żona zmarłego, przez ćwierć wieku wierna Jego towarzyszka, obca pochodzeniem, lecz szanującą jego ideały i zamiłowania, według woli męża rozporządzi. Cały dobytek naukowy, pozostały w mieszkaniu w Krakowie, jak cenny księgozbiór, kolekcye botaniczne i prace, pozostałe w rękopisach, przejdą na własność Uniwersytetu i Akademii Umiejętności, a prace będą ogłoszone. Notatki, dotyczące badań, dokonanych w Kijowie i w Piotrogrodzie, przedstawiające surowy materyał, wdowa przeznaczyła do wydawnictw Akademii Nauk.

Zwłoki zmarłego złożone zostały czasowo w podziemiach ewangelickiego kościoła św. Piotra, zanim zosta-

ną przewiezione do kraju na miejsce wiecznego spoczynku. Ponieważ zmarły nie posiadał stosunków i znajomości, smutnemu obrzędkowi towarzyszyło tylko kilka osób z rodziny, przypadkowo bawiących w Piotrogrodzie, natomiast licznie się stawili miejscowi botanicy, którzy dla uczczenia pamięci zmarłego zebrali pośród siebie pewną kwotę na rzecz polskich wygnańców.

Pisma miejscowe, jak polskie, tak też rosyjskie, poświęciły gorące wspomnienia zmarłemu, podnosząc jego zasługi naukowe, a zaznaczając obywatelską śmiałość, z jaką walczył i uległ w obronie autonomii uniwersyteckiej.

Smutna ta wieść najpóźniej doleci do podwawelskiego grodu i najbardziej zasmuci Uniwersytet i Akademię Umiejętności, które liczyły na długą jeszcze pracę ś. p. Rotherta na niwie ojczystej nauki i pedagogii.

Niech Ci ziemia rodzinna, w której kiedyś spoczniesz, lekką będzie!

J. Talko Hryncewicz.

KRONIKA.

MONUMENTIS PATRIAE NAUFRAGIO EREPTIS.

Przy Komitecie Polskim w Moskwie powstał Wydział opieki nad zabytkami sztuki i przeszłości Polski. Ogromna ilość zabytków tych zginęła w obecnej wojnie lub została rozgrabioną, — z rozlicznych jednak wiadomości i starań uwieńczonych pomyślnym skutkiem okazuje się, że przy natężeniu energii i poparciu społeczeństwa wiele cennych pamiątek da się uratować. Dążąc do rozszerzenia akcyi na całe imperyum, Wydział wszedł w porozumienie z koloniami polskiemi w Kijowie, Mińsku i Smoleńsku, gdzie powstały lub powstają analogiczne koła, zyskał poparcie jednostek energicznych w całym szeregu miejscowości, godnych szczególnej naszej uwagi,—działa zaś w ścisłem porozumieniu z petrogradzką filią Warszawskiego towarzystwa opieki nad zabytkami przeszłości, która świeżo ukonstytuowała się pod egidą członka Rady Państwa p. Glezmera i artysty malarza p. A. Borawskiego, a zdobywszy fundusze potrzebne, rozwija się bardzo pomyślnie.

Najdonioślejszem dla pomyślnej pracy jest zbieranie jak największej liczby wiadomości dotyczących wszelkiego rodzaju zabytków. Wydział zebrał już przeszło 300 informacyi i dzięki temu zdołał uratować, względnie i zabezpieczyć, szereg pamiątek i dzieł sztuki polskiej, lub wydobyć z obcych rąk, lub wreszcie wdrożyć postępowanie w celu ich ocalenia. Ponad nadzieje początkowe przekonywujemy się ciągle, że istnieją nieoczekiwane drogi dotarcia do zagubionych lub zaprzepaszczonych bez wieści zabytków polskich. Zbrojny tem doświadczeniem, które każe wierzyć, bezwzględnie, że liczne sposoby ratowania zabytków są i tylko trzeba umieć ich szukać, —Wydział zwraca się do społeczeństwa z gorącym apelem o dostarczanie wszelkiego rodzaju wiadomości dotyczących jakiegokolwiek rodzaju zabytków i pamiątek polskich, czy to będą obrazy i rzeźby, czy sztychy i drzeworyty, porcelana i ceramika, wyroby tkackie, meble artystyczne, stroje narodowe, pasy, stare książki, dokumenty, listy znakomitych ludzi i t. d.

Aby uratować rzeczy te od sprzedaży w obce ręce, Wydział wykupuje te przedmioty w razie, gdy im grozi sprzedaż w obce ręce, a gdy środki Wydziału nie pozwalają, zwraca się do zamożnych jednostek polskich, które przyrzekły ten sposób poparcia, aby dane przedmioty nabyły. Ponadto Wydział otworzył skład własny, do którego bierze bezpłatnie w depozyt przedmioty, których przechowywanie u siebie stanowi w jakikolwiek sposób kłopot dla właściciela.

Jedną z wielkich klęsk jaka nas w tej wojnie spotyka jest to, że gdy zniszczeje zabytek architektury lub inny dotąd niesfotografowany,—

wyobrażenie o nim przepada na zawsze tak dla ogółu jak i dla dobra nauki polskiej, dla historyi sztuki w Polsce. Wydział zwraca się przeto z najgorętszą prośbą do tych wszystkich, którzy granic stałego osiedlenia polskiego nie opuścili a mieszkają w okolicach blizkich zagrożonym,—aby starali się usilnie o wszelkiego rodzaju reprodukcye kościołów i kaplic, figur i pomników np. cmentarnych, pałaców i dworów, bożnic, dworków, karczem, śpichlerzy i lamusów starożytnych, w ogóle wszelkich dzieł z piętnem artystycznem, zwłaszcza starych drewnianych, choćby najskromniejszych. Ważnemi są też bardzo fotografie i szkice fragmentów danej budowli czy dzieła.

Do tych zaś wszystkich którzyby takie szkice, fotografie, lub inne reprodukcye posiadali, (z jakichkolwiek stron ziem polskich) zwracamy się z gorącą prośbą o nadsyłanie nam ich w darze, a jeśli to niemożliwe, to o użyczenie ich na krótki czas w celu zrobienia z nich na nasz koszt szkiców lub fotografii wtórnych dla naszego zbioru.

Adres wydziału: Moskwa, Kriwokolenny 5 (z Miasnickiej) parter, telefon 3-39-18. Kierownik biura p. A. Bogucki, urzęduje dla publiczności od godz. 12 do 3, tak w dni powszednie jak w niedziele i święta. Prócz tego wszelkie zgłoszenia przyjmuje sekretarz wydziału, M. Morelowski, cały dzień telefonicznie Nr. telefonu 5-73-92.

Zarząd Wydziału stanowią: Prezes—Maciej ks. Radziwiłł. zastępca Wacław Lednicki, skarbnik—Franciszek Xawery hr. Pusłowski, sekretarz (jak wyżej), dalsi członkowie Zarządu: Marya hr. Hutten-Czapska, — ks. Róża Radziwiłłowa, — p. Jerzewa Zdziechowska,—mec. A. Bellier,— dyr. K. Kulwieć, — dyr. Wasserberger, — art. mal. A. Zarzycki.

POLSKIE KOŁO NAUKOWE W MOSKWIE.

Niespożytą energię i zdumiewająco silną odporność na ciosy losu nieubłaganego wykazuje w tej wojnie okropnej zrujnowany ekonomicznie, w głód i najokropniejszą nędzę wtrącony, a jednak na duchu nie upadający naród polski.

Płonie Europa niemal cała morderczym, wojennym ogniem, objęły kraj nasz tego strasznego pożaru płomienie i chłoną kulturalny dorobek stuleci i pożerają nielitościwie wielkiej przeszłości po wielkich ojcach czczone, święte pamiątki i trawią to bujne, wczoraj jeszcze na niwie polskiej tak kwitnące życie i znaczą straszliwy swój pochód ruiną, śmiercią, zgliszczami!

A my?

Na podobieństwo człowieka zewsząd pożarem otoczonego idziemy pewnym i odważnym krokiem w świty lepszego jutra, przeciwstawiając niszczącemu ogniowi wojny twórczy a niewyczerpany zapał i ogień naszego ducha.

Poparciem powyższego twierdzenia i dowodem istotnym naszego nawet w czasie tak okropnym niestygnącego zapału są przedewszystkiem te już dzisiaj tak liczne nasze kulturalno-oświatowe instytucye na obczyźnie. Powstały jakby pod działaniem czarodziejskiej różdżki przedziwnie i mimo kolosalne trudności niesłychanie szybko, rozwinęły się szeroko i wspaniale i funkcyonują sprawnie oraz z największym dla rzesz wygnańczych narodu polskiego pożytkiem. Zdobyliśmy się tu, w obcym nam żywiole i społeczeństwie, nie tylko na strawę dla ciała, ale i na pokarm dla troskami znękanego ducha, za co inicyatorom i organizatorom tychże instytucyi największa cześć i chwała!

Do szeregu instytucyi naszych oświatowych na obczyźnie, niemal od początku naszego wygnania istniejących, należy zaliczyć co do czasu

najmłodszą, aczkolwiek rangą duchową najwyższą — Polskie Koło Naukowe w Moskwie.

Z inicyatywy szanownego mecenasa A. Lednickiego wzięli się zamieszkali obecnie w Moskwie uczeni polscy do dzieła, zorganizowali się w poważne towarzystwo naukowe, stworzyli Polskie Koło Naukowe, które skupiło w swem gronie polską elitę umysłową, w Moskwie z racyi tej wojny zamieszkałą, a na posiedzeniach Koła naukowo i twórczo pracująca myśl polska znajduje swój silny a tak piękny wyraz.

Moskiewskie Koło Polskie Naukowe z prof. Doroszewskim na czele, podzieliło się na dwie sekcye: humanistyczną, której przewodniczy znany językoznawca prof. Uniw. Mosk. Porzeziński i matematyczno-przyrodniczą z prezesurą znanego i cenionego w sferach naukowych chemika prof. Pol. Warsz. Boguskiego.

Obydwie sekcye odbyły już kilka posiedzeń, na których przeczytano i przedyskutowano prace członków Koła, prace gruntowne o niezwykle wysokim poziomie naukowym, świadczące wymownie i dobitnie, że nawet wśród klęsk i nieszczęść, jakie przeżywamy, potrafi naukowa myśl polska skupić się poważnie i głęboko i ani na chwilę nie zboczyć z drogi, wskazanej jej naukową tradycyą mądrych ojców, którzy również, gdy okręt upadającej ojczyzny w morze niedoli się pogrążał, nie oddawali się rozpaczy, lecz dzielnie i mądrze nad ratunkiem kraju radzili.

Plon obrad moskiewskiego Polskiego Koła Naukowego przedstawia się mimo krótki, bo zaledwie dwumiesięczny czas istnienia tegoż Koła, bardzo obficie. Referowali o pracach swoich: prof. Świętosławski i prof. Klimowicz (chemia), prof. Jakubowski i prof. Chodynicki (historya), prof. Porzeziński (języki), prof. K. Kulwieć (geografia). Posiedzenia odbywają się przy nader licznym udziale członków, co ożywia bardzo duchową atmosferę tych prawdziwych naukowych uczt, jakiemi są dla ludzi nauki takie pełne głębokiej dyskusyi, piękne posiedzenia. Widok tak poważnej, twórczej pracy naukowej, zakreślonej na wysoką i szeroką skalę a obliczonej na duchowy pożytek przyszłych naszych pokoleń, widok tego orlego wzlotu duchowego nad krwawe dzisiaj, przejmuje i przepełnia serca polskie silną wiarą w niegasnącą moc polskiego narodu i w jego lepsze, szczęśliwsze dni jutrzejsze.

Dr. L. Jachno.

BIBLIOTECZKA WYCHODŹTWA POLSKIEGO.

W lutym zaczęła wychodzić w Moskwie pod kierunkiem dr. fil. Tad. Jaworskiego «Biblioteczka Wychodźtwa Polskiego». Pojedyncze tomiki opuszczać będą prasę w odstępach dziesięciodniowych. «Biblioteczka» zawierać będzie pieśni i śpiewy polskie, dzieje ojczyste, «Pana Tadeusza» i «Dzieje Narodu i Pielgrzymstwa polskiego» Mickiewicza, utwory Kraszewskiego, Orzeszkowej, Prusa, Sienkiewicza, Konopnickiej i in.

Tomik I-szy obejmuje: «Pieśni i Śpiewy polskie», t. II «Dzieje ojczyste». t III i IV «Pan Tadeusz» Mickiewicza.

Czysty dochód z każdego tomiku wydawca przeznacza na rzecz «Funduszu powrotu do kraju».

Cena pojedynczego tomiku «B. W. P.» wynosi 20 kop., z przesyłką 25 kop. Przy zamówieniu 10 egz. przesyłka pocztowa bezpłatna, przy 50 egzemplarzach przesyłka bezpłatna i 5 proc, ustępstwa, przy 100 egzemplarzach i wyżej przesyłka bezpłatna i 10 proc. ustępstwa. Adres wydawnictwa: A. P. Popławski, Moskwa, zaułek Lalin № 19, dla wydawnictwa «Świt».

O KSIĄŻKI POLSKIE.

Rada Zjazdów nadsyła nam odezwę następującą: «Do szeregu dotkliwych braków, które składają się na smutny stan wysiedleńców polskich, należy brak książki polskich.

Nauczyciel w szkole polskiej pozbawiony jest dzieł naukowych, uczeń nie ma podręczników i wzorów literatury ojczystej, dziecko w wieku przedszkolnym nie posiada elementarza; człowiek dojrzały, czy to włościanin, czy pracujący w zawodzie inteligentnym, pozbawiony jest drukowanego słowa polskiego nietylko jako osłody chwil ciężkich, ale i jako zaspokojenia głodu duchowego, niemniej dotkliwego od głodu fizycznego.

Odczuwając tę prawdziwą klęskę, Sekcya szkolna zakłada bibliotekę, uwzględniającą potrzeby tych wszystkich warstw czytelników. Zadanie to trudne i od Was, rodacy, zależy powodzenie tego przedsięwzięcia.

Dzielicie się wszak kawałkiem chleba z głodnymi, podzielcie się i strawą duchową. Ofiarujcie książki, kto jakie może, lub złóżcie je w depozycie — książki deponowane nie wyjdą poza obręb biblioteki i Sekcya ręczy wam za zwrot ich w całości. Niema książki, poczynając od elementarza, a kończąc na dziele naukowem, któraby się nie przydała. I pamiętajcie, że tam, gdzie chodzi o zaspokojenie potrzeby pierwszorzędnej, pomagać należy nie tylko hojnie, ale i prędko.

KOŁO LITERATÓW I DZIENNIKARZY POLSKICH W KIJOWIE.

Dnia 21 lutego (5 marca) w Kijowie w lokalu P. T. G. odbyło się nadzwyczajne walne zebranie członków «Koła Literatów i Dziennikarzy Polskich w Kijowie». Według sprawozdania zarządu, w d. 20 lutego kapitał zakładowy Koła (rach. bież. w Banku Handlowym w Warszawie, oddział kijowski) wynosił 441 rb. 78 kop., kapitał obrotowy (rach. bież. w Tow. Wzaj. Kred. «Samopomoc» i kasa skarbnika) 171 rb. 20 kop. Pozostały majątek Koła wynosił 1,052 rb. 82 kop. (w tem wartość inwentarza 652 rb. 88 kop.).

Koło liczyło w dniu zebrania 2 członków dożywotnich i 32 członków rzeczywistych, korzystających z prawa głosu. Pozatem kilkanaście osób przyjętych do składu Koła, dotąd jeszcze nie załatwiło przepisanych przez ustawę formalności.

Następnie dokonano wyborów członków zarządu i ich zastępców oraz członka komisyi rewizyjnej, w celu dokompletowania komisyi dotychczasowej.

Nowowybrani członkowie zarządu z pośrod swego grona wybrali na prezesa red. Edwarda Paszkowskiego na wice-prezesa prof. Bohdana Szyszkowskiego, na skarbnika p. Ignacego Grabowskiego, na sekretarza p. Leona Radziejowskiego, na zastępcę skarbnika powołany został p. Kazimierz Rosinkiewicz, na zastępcę sekretarza p. Stanisław Pieńkowski

NOWA PLACÓWKA KULTURALNO-NAUKOWA.

W ostatnich dniach lutego b. r. została zatwierdzona ustawa «Polskiego Towarzystwa miłośników historyi i literatury w Petrogradzie» Obok tow. przyrodników i lekarzy i tow. prawników i ekonomistów będzie to już trzecia polska instytucya, skupiająca nasze siły naukowe nad Newą. Potrzeba założenia tow. miłośników historyi i literatury tem sil-

niej dawała się odczuwać w obecnej chwili, że w ostatnich czasach i Petrograd stał się poważnym punktem oparcia dla części inteligencyi polskiej, rozrzuconej wskutek burzy wojennej po miastach i miasteczkach Rosyi. Dla nowopowstałej instytucyi otwiera się szerokie i wdzięczne pole do pracy. Biblioteki, archiwa i muzea petrogradzkie są niewyczerpaną skarbnicą materyałów do dziejów kultury w Polsce. Planowo prowadzone systematyczne badania naukowe po zbiorach rosyjskich byłyby pięknem świadectwem polskiego ruchu intelektualnego w stolicy rosyjskiej podczas wojny i zarazem pięknym czynem obywatelskim. Ustawa nowozałożonego tow. daje w tym względzie możność rozwinięcia intensywnej, na szeroką skalę zakreślonej, działalności. Statut t-wa zezwala bowiem na: urządzanie wykładów, referatów i dyskusyi, odczytów publicznych i systematycznych kursów ze wszystkich gałęzi historyi i literatury. Towarzystwo ma prawo zwoływać zjazdy historyków i literatów ogłaszać konkursy na prace z dziedziny historyi i literatury, tworzyć stypendya, wyznaczać i wydawać nagrody, wydawać pisma i dzieła, zakładać biblioteki i czytelnie i wreszcie prowadzić seminarya dla studyowania history i literatury.

Dnia 28 lutego odbyło się pierwsze zebranie t-wa, z udziałem założycieli i zaproszonych gości, na którem dokonano wyborów do Rady t-wa. W skład Rady weszli: prof. T. Zielinski, jako przewodniczący, prof. S. Ptaszycki, jako wiceprezes, prof. Ks. Kan. M. Godlewski, p. Fr. Cichocki, p. R. Kwiatkowski, p. Z. Wasilewski, dr. B. Winiarski. Na kandydatów na członków Rady zostali wybrani: Dr. P. Bańkowski. p. J. Nowakowski, p. W. Rogojski.

Pragnąc niezwłocznie przystąpić do pracy, zarząd zorganizował już seryę odczytów z zakresu historyi i literatury polskiej. Odczyty te odbywać się będą w sali «Ogniska» co czwartek.

BIBLIOGRAFIA.

Affaires de Pologne. La proclamation du Généralissime Russe et l'opinion française. Paris, Agence Polonaise de presse, 1915.

Varsovie par M. Antoni Potocki, M-lle Laurence Alma Tadema, M. Marius-Ary Leblond etc. etc. 16 illustrations hors texte. 2 éd, Paris, 1915.

Georges Bienaimé: la Pologne (Extrait de «La Géographie). Paris Agence polonaise de presse, 1915.

La question juive en Pologne. Paris, Agence Pol. de presse, 1915.

Sur le Passé de la Prusse. Avec une carte des provinces polonaises de la Prusse. Paris, Agence Pol. de presse, 1915.

Georges Bienaimé. La Pologne économique (Extrait du bulletin de la Sté de Géographie commerciale de Paris). Paris. Agence Polonaise de presse, 1915.

Henri Grappin. La Pologne «aristocrate» (Extrait de la Revue «Polonia»). Paris, Agence Polonaise de presse, 1915.

Simon Askenazy. Le prince Joseph Poniatowski. Marechal de France (1763 — 1813). Trad. par. H. Grappin. Paris, Agence Pol. de presse, 1915.

Italy for the reconstruction of Poland. Referendum prepared by the Review «L'Eloquenza». Rome, 1915 (w jęz. angielskim i włoskim. To samo wydawnictwo istnieje w jęz. francuskim i włoskim).

Poland by W. Alison Phillips, M. A, — London, Williams et & Norgate, 1915. («Home University Library»).

The Partitions of Poland by Lord Eversley. London, T. Fisher Unwin, 1915.

Lewis B. Namier. B. A., Balliol College, Oxford: Germany and Eastern Europe. With an Introduction by H. A. L. Fisher, Vice-Chancellor of the University of Sheffield. London, Duckworth & Co, 1915.

Prof. M. Kranz. Neu-Polen. München, J. F. Lehmann, 1915.
Die Ukraine und der Krieg. Deukschrift des Bundes zur Befreiung der Ukraine. Ibid.

J. Berezowski. Psychologia techniki gry fortepianowej i jej znaczenie pedagogiczne. Cena 50 k. Petrograd. Skład gł. Grendyszyński.
Jednodniówka. Skład gł. L. Idzikowski. Kijów. 1916.
S. W. Zaczarowana Góra i Królestwo Sędziwoja. Książka dla dzieci, ilustr. przez L. Kowalskiego. Kijów. L. Idzikowski. 1916.
Ks. Ad. Lech. Krótka historya święta ilustr. N. Testamentu. Kijów. 1916. Nakł. L. Idzikowskiego.
Ks. W. Kalinowski, dr. fil., kand. św. Teol. Apologetyka. Podręcznik szkolny dla klas wyższ. Wyd. II. Skład. gł. L. Idzikowski.
J. R. Sobieszczański. Studya syberyjskie. I. str. 19. Petrograd. 1916.
St. Socha. Elementarz dla dzieci polskich. L. Idzikowski. Kijów.
St. Jachowicz. Bajki i powiastki. 4 zesz. L. Idzikowski. Kijów.
Bronisław Siwik. Na przełomie. Petrograd. 1916.
Feliks Ignacy K. Akordy i pieśni żałoby. Nakładem ludzi dobrej woli. str. 69. Petrograd.
Zofia Cieszkowska. Krzywdy dozwolone. Kijów. Nakł. L. Idzikowskiego.
Nakładem Rady Zjazdów organizacyi pomocy ofiarom wojny w Moskwie, wydane zostały następujące książki, odbite w «Drukarni Polskiej» w Kijowie:
M. Brzeziński. Poradnik dla młodzieży. Książka do czytania i nauki dla tych, co nie chcą być ciemnymi. Kijów. 1916. Cena 1 rb. 75.
Adam Mickiewicz. Konrad Wallenrod. Powieść historyczna z dziejów litewskich i pruskich. Kijów. 1916. Cena 25 kop.
Adam Mickiewicz. Grażyna. Powieść litewska. Kijów. 1916.
Henryk Galle. Krótka stylistyka wraz z teoryą wierszowania. Kijów. 1916. Cena 40. kop.
J. St. Bohuszewicz. Zbior zadań arytmetycznych dla szkół średnich. Część I. Cena 1 rb.
Pozatem ukazały się następujące podręczniki szkolne:
Promyk K. Elementarz (krótki).
Bogucka i Niewiadomska. Pierwsza książka do czytania.
Bogucka i Niewiadomska. Druga książka do czytania — w druku.
Moszyńska J. Czytania polskie na kl. II. 90 kop.
Bogucka i Niewiadomska. Wypisy polskie na kl. III. 1,20 rb.
Galle. Wypisy na kl. IV. «Wzory prozy i poezyi». 2,—rb.
Bogucka, Niewiadomska i Warnkówna. Pierwsze ćwiczenia do nauki poprawnego pisania. Stop. I. 25 k., II: 25 k., III: 30 k., IV: 30.
Niewiadomska. Krótka gramatyka języka polskiego z ćwiczeniami. Część I «Części mowy» (kurs kl. I i II). 30 kop.
Niewiadomska. Krótka gramatyka języka polskiego z ćwiczeniami. Część II «Składnia». 30 kop.
Dzierżanowska M. Dzieje ojczyste. 50 kop.
Zieliński i Ostaszewski. Botanika, kurs średni (w tekście 126 rys.). 1,10 rb.

Naskręcki Ks. K. Mały Katechizm. 12 kop.
Program nauk 7-mio klasowego polskiego gimnazyum żeńsk. w Moskwie. 20 kop.
Okólnik sekcyi statystyczno-informacyjnej. Część I. Treść: Rada Zjazdów. Polskie organizacye. Centralne rosyjskie instytucye rządowe i społeczne pomocy wysiedleńcom. Komitety Narodowe. Kościoły, kaplice i domy modlitwy Archidyecezyi Mohylowskiej (bez Dyecezyi Mińskiej) i Dyecezyi Terespolskiej. Moskwa. 1916.
Okólnik sekcyi statystyczno-Informacyjnej Część II. Treść: Kościoły, kaplice i domy modlitwy Archid. Mohylowskiej (bez dyec. Mińskiej) i Dyecezyi Tyraspolskiej. Moskwa. 1916.

Pragnąc, aby pismo nasze stało się wyrazem polskiej myśli naukowej na obczyźnie podczas wielkiej zawieruchy dziejowej, zdołaliśmy w krótkim stosunkowo czasie skupić koło «Myśli Narodowej» poważny poczet polskich sił naukowych. Do ostatnich czasów przyrzekli nam łaskawie współpracownictwo Pp.:

Prof. Baudouin de Courtenay, Dr. K. Chodynicki, Dyr. S. Cybulski, Dr. R. Dyboski, prof. Uniw. Jagiell., Dr. J. Flach, ks. prof. M. Godlewski, Wł. Grabski, L. hr. Grocholski, Dr. Wł. Günther, Dr. L. Jachno, Dr. St. Jasiukowicz, Dr. F. Kierski, J. Kożuchowski, Dr. A. Kropatsch, J. Krzyżanowski, J. Kurnatowski, R. Kwiatkowski, Al. Łętowski, K. Mayzel, prof. H. Merczyng, Dr. M. Morelowski, Dr. W. Nakonieczny, prof. K. Noiszewski, Mec. Fr. Nowodworski, Dr. Z. Pazdro, prof. Polit. Lwowskiej, prof. L. Petrażycki, prof. W. Porzeziński, M. Piotrowski, prof. St. Ptaszycki, J. Ptaszycki, J. Raciborski, ks. dr. J. Radziszewski, Rektor Akademii duchownej Rz.-Kat., dyr. A. Sznuk, Dr. J. Talko-Hryncewicz, prof. Uniw. Jagiell., dr. H. Ułaszyn, Z. Wasilewski, B. Wasiutyński, Ks. prof. A. Wóycicki, Z. L. Zaleski, Dr. M. Zdziechowski, prof. Uniw. Jagiell, prof. T. Zieliński.

KOMITET REDAKCYJNY

Dr. Piotr Bańkowski, P. Klemens Jędrzejewski, P. Wacław Kryński, Dr. Bohdan Winiarski.

Nie zdołaliśmy jeszcze porozumieć się że wszystkimi, których do wspólnej pracy pragniemy zaprosić. Żywimy nadzieję, że uda nam się to uczynić w najbliższej przyszłości.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie	12 rb.
Półrocznie	6 „
Kwartalnie	3 „
Numer pojedyńczy	1 rb. 50 kop.

Adres Redakcyi i Administracyi: Petrograd, Kowieński zaułek 26, m. 7, tel. 687-10.

Wydawca: **Dr. Bohdan Winiarski.**
Redaktor: **Dr. Piotr Bańkowski.**

Druk. «NAUCZNOJE DIEŁO», Petrograd, Zagorodnyj pr. 74. Tel. 19-30.